

WYDAWCA PIĘCDZIESIĘCIU TWARZY GREYA POLSKA



irene

CAO

WIDZĘ  
CIĘ



Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

irene

CAO

WIDZĘ  
CIĘ

Z włoskiego przełożyli  
Marta Natalia Wróblewska, Wojciech Wąsowicz





Tytuł oryginału:  
IO TI GUARDO

Copyright © 2013 RCS Libri S.p.A., Milano

Copyright © 2015 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2015 for the Polish translation by Wydawnictwo Sonia Draga

Projekt graficzny okładki: Dariusz Sikora

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Aneta Iwan

ISBN: 978-83-7999-239-3

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

Pl. Grunwaldzki 8-10, 40-127 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2015

Skład wersji elektronicznej:

[Virtualo Sp. z o.o.](#)

**VIRTUALO**  
Digital platform of tomorrow

# Spis treści

## Dedykacja

1.

2.

3.

4.

5.

6.

7.

8.

9.

10.

11.

12.



13.

14.

15.

16.

17.

18.

Dziękuję

Przypisy

Manuelowi, mojemu bratu

**Ż**ółć pochłania światło słoneczne, przechodzi w pomarańcz, by w końcu przeobrazić się w intensywną czerwień. Pęknięcie, podobne do rany, odsłania drobinki połyskującego fioletu. Od wielu godzin wpatruję się w owoc granatu. Oczywiście, to tylko detal, ale także kluczowy element fresku.

Tematem jest porwanie Prozerpiny, migawka z chwili, w której posępny władca piekieł, Pluton, spowity purpurową chmurą swojej szaty, chwytą mocno biodra bogini zrywającej ogromny granat nad brzegiem jeziora.

Fresk nie jest sygnowany, autora otacza więc mgiełka tajemnicy. Wiem jedynie, że żył na początku XVIII wieku oraz, sądząc po kresce, ziarnie pigmentu i delikatnej grze światłocienia, że musiał być najprawdziwszym geniuszem. Przemyślał każde pociągnięcie pędzla, a ja staram się nie zaprzepaścić jego wysiłku w dążeniu do

---

doskonałości. Teraz, po upływie kilku stuleci, moim zadaniem jest zinterpretowanie jego aktu twórczego i odtworzenie go we własnych ruchach.

To pierwsza prawdziwa restauracja dzieła sztuki, przy której pracuję całkiem samodzielnie. Mam dwadzieścia osiem lat i czuję wielką odpowiedzialność, ale także dumę – odkąd ukończyłam Szkołę Konserwacji Zabytków, czekałam na swoją okazję i teraz, kiedy nadeszła, zrobię wszystko, by nie wypuścić jej z rąk.

I dlatego jestem tutaj, godzinami stojąc na tej drabinie w moim impregnowanym kombinezonie, czerwonej bandanie utrzymującej w ładzie brązowe włosy przycięte na boba (i tak zawsze jakiś zbuntowany kosmyk uparcie spada mi na oczy), ze wzrokiem wbitym w ścianę. Na szczęście w pobliżu nie ma luster, bo na pewno mam zmęczoną twarz i podkrążone oczy. Nieważne. To w końcu widoczne dowody mojej determinacji.

Przez chwilę patrzę na siebie z boku – to właśnie ja, Elena Volpe, sama w ogromnym holu

---

starego i od dawna niezamieszkanego pałacu w samym sercu Wenecji. I dokładnie w tym miejscu chcę teraz być.

Spędziłam cały tydzień na oczyszczaniu tła fresku i dziś po raz pierwszy użyję koloru. Cały tydzień to dużo, być może za dużo, ale nie chciałam ryzykować. Należy działać z najwyższą ostrożnością, bo wystarczy jeden fałszywy ruch, żeby zniszczyć całą pracę. Jak mawiał mój profesor: „Jeśli dobrze oczyścisz, połowę pracy masz za sobą”.

Niektóre fragmenty fresku są całkowicie zniszczone i w tych miejscach będę musiała dać za wygraną i położyć nową warstwę tynku z gipsem. To wina weneckiej wilgoci, która przenika wszystko – kamień, drewno i cegłę. Ale wokół obszarów uszkodzonych są i takie, na których kolory zachowały pełnię swojego blasku.

Dzisiaj rano, wchodząc na drabinę, powiedziałam sobie: „Nie zejść, dopóki nie znajdę odpowiednich odcieni dla tego granatu”. Ale może to

---

było zbyt optymistyczne. Nie wiem nawet, ile minęło już godzin, a ja wciąż tu stoję, wypróbując całą gamę czerwieni, pomarańczy i żółci, a rezultat wciąż nie jest satysfakcjonujący. Wyrzuciłam już osiem pojemniczków, w których rozrabiam pigmenty w proszku z odrobiną wody i kilkoma kroplami oliwy, nadającej mieszance odpowiednią konsystencję. Właśnie mam zamiar zmierzyć się z dziewiątym pojemniczkiem, kiedy rozlega się dzwonek. Dobiega z kieszeni mojego kombinezonu. Niestety. Nie ma sensu go ignorować. O mały włos nie spadam na ziemię, sięgam po telefon i odczytuję imię, które uparcie miga na wyświetlaczu.

To Gaia, moja najlepsza przyjaciółka.

– Ele, jak leci? Jestem na campo Santa Margherita, wpadniesz napić się czegoś w Il Rosso? Dzisiaj przyszło więcej ludzi niż zwykle, jest super, chodź! – mówi wszystko jednym tchem, nie pytając, czy mi nie przeszkadza, ani nie dając szansy na odpowiedź.

---

Cała ona, już włączyła tryb bywalczyni salonów. Gaia pracuje dla najmodniejszych lokali w mieście i całym Veneto, organizuje eventy i imprezy dla VIP-ów. Zaczyna koło czwartej po południu, a kończy późną nocą. Ale w jej przypadku to coś więcej niż praca, to prawdziwe powołanie: załóżę się, że robiłaby to nawet, gdyby jej nie płacili.

– Poczekaj... która jest godzina? – pytam, żeby zatrzymać lawinę słów.

– Szósta trzydzieści. Więc przyjdiesz?

Il Rosso to lokal, w którym zbiera się zblazowana wenecka młodzież potrzebująca kogoś takiego jak Gaia, kto zdecyduje za nich, co mają robić ze swoimi wieczorami.

Boże, jest już tak późno? Nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak szybko minął czas.

– Hej, Ele... jesteś tam? Dobrze się czujesz? Cholera, powiedz coś... – Gaia wrzeszczy, a jej głos świdruje mi w uszach. – Zwariujesz przez ten fresk... musisz tu przyjść, natychmiast! To rozkaz.

---

– OK, Gaia, za pół godziny kończę, obiecuję – biorę głęboki wdech – ale potem idę do domu. Proszę cię, tylko się nie wkurzaj.

– Oczywiście, że się wkurzam, ty małpo! – wybucha.

Klasyk. To nasz teatr – mijają dwie sekundy i znów jest pogodna i uśmiechnięta. Na szczęście Gaia każde moje „nie” zapamiętuje na nie dłużej niż trzy sekundy.

– W porządku, posłuchaj, idź do domu, odpocznij trochę, a później spotkamy się w Molo-cinque. Powiem ci tylko, że mam dwie wejściówki na imprezę zamkniętą...

– Dzięki, że o mnie pomyślałaś, ale niespecjalnie mam ochotę pakować się w ten kocioł – mówię pospiesznie, zanim zacznie opowiadać dalej. Wie, że nie znoszę tłumy, że jestem niemal abstynentką i że taniec oznacza dla mnie w najlepszym wypadku wybijanie stopą rytmu, i to, mówiąc szczerze, rytmu, który słyszę tylko ja. Jestem nieśmiała, nie nadaję się na tego typu



---

rozrywki, czuję się wtedy zawsze nie na miejscu. A jednak Gaia nie ustępuje – za każdym razem próbuje wyciągnąć mnie na swoje wieczorne wyjście. I w głębi duszy, choć nigdy się do tego nie przyznam, jestem jej za to wdzięczna.

– Skończyłaś już pracę? – pytam, próbując oddalić rozmowę od potencjalnie niebezpiecznych obszarów.

– Tak, dzisiaj poszło mi bosko. Zajmowałam się taką rosyjską menedżerką. Spędziłyśmy trzy godziny w Bottega Veneta, oglądając torebki i skórzane kozaczki, potem w końcu zabrałam ją do Balbiego i tam wielka dama zdecydowała się na dwa wazony z Murano. Tak na marginesie, u Alberty Ferretti widziałam parę sukienek z nowej kolekcji, które uszyto chyba specjalnie dla ciebie. Beżowe, pasowałyby cudownie do twoich orzechowych włosów... W najbliższych dniach pójdziemy tam i je przymierzysz.

Kiedy nie jest zajęta mówieniem ludziom, gdzie mają iść wieczorem, Gaia wyjaśnia im, na co

---

powinni wydać pieniądze – w praktyce jest osobistą stylistką. Należy do kobiet, które mają jasne poglądy i dużą zdolność przekonywania innych. Tak dużą, że niektórzy są skłonni zapłacić, aby dać się przekonać.

Ale nie ja – w ciągu dwudziestu trzech lat przyjaźni wytworzyłam przeciwniała.

– Pewnie, że pójdziemy, ostatecznie skończy się tak, że kupisz je ty, jak zawsze.

– Wcześniej czy później uda mi się ubrać cię przyzwoicie. Jeszcze z tobą nie skończyłam. Zapamiętaj, moja droga!

Odkąd byliśmy nastolatkami, Gaia prowadzi krucjatę przeciwko mojemu, powiedzmy, nieco niedbałemu stylowi ubierania. Dla niej dzinsy i buty bez obcasów nie są wygodną alternatywą, ale ewidentnym i niezrozumiałym życzeniem śmierci towarzyskiej. Według Gai powinnam codziennie wyruszać do pracy w minispódniczce i na dwunastocentymetrowym obcasie i nie ma znaczenia, że muszę tysiąc razy wchodzić na

---

chwieżną drabinę malarską i schodzić z niej albo że godzinami ślęczę w pozycjach, których nie można zaliczyć do wygodnych. „Gdybym miała twoje nogi...” – powtarza mi zawsze. I za każdym razem recytuje mantrę Coco Chanel: „Elegancką trzeba być zawsze, każdego dnia, bo przeznaczenie może czekać na ciebie za rogiem”. I rzeczywiście, Gaia nie wychodzi z domu bez perfekcyjnego makijażu, fryzury i dodatków.

Czasem wydaje się niewiarygodne, że do takiego stopnia jesteśmy swoimi przeciwnościami. Prawdopodobnie nie znosiłabym tej kobiety, gdyby nie była moją najlepszą przyjaciółką.

– Ale dziś wieczorem – niezłomna znowu nalega – musisz przyjść do Molo, Ele...

– Gaia, nie gniewaj się, ale już mówiłam, że dziś nie mogę!

Kiedy się na coś uprze, bywa denerwująca.

– Ale będzie Bob Sinclar!

– Kto? – pytam, a na czole miga mi napis FILE NOT FOUND.

---

Gaia wzdycha rozdrażniona:

– Francuski DJ, ten słynny. W zeszłym tygodniu był w jury Festiwalu Filmowego...

– A, no tak!

– W każdym razie – ciągnie, jakby nic nie mogło jej zrazić – wiem z pewnego źródła, że na imprezie zamkniętej będzie dużo znanych ludzi, między innymi, słuchaj dobrze... – robi efektowną pauzę – ...Samuel Belotti!

– O Boże, ten kolarz z Padwy? – wzdycham poirytowana, nie kryjąc całkowitej dezaprobaty. To jeden z wielu „słynnych” prawie narzeczonych Gai rozsianych po wszystkich zakątkach Włoch i świata.

– Właśnie on.

– Nie rozumiem, co w nim widzisz. To arogancki kretyn, nie mam pojęcia, co dokładnie ci się w nim podoba. – Również w kwestii mężczyzn mamy z Gaią odmienne gusty.

– Już ja wiem, co dokładnie... – chichocze.

---

– W porządku... – odpuszczam. – I co on na to?

– Wysłałam mu SMS. Nie odpisał, teraz jest z tą prezenterką telewizyjną – wzdycha – ale nie odpuszczam, bo to nie tak, że dał mi kosza... wydaje mi się, że po prostu gra na czas.

– Nie wiem, gdzie ty poznajesz takich ludzi, ale może nawet nie chcę wiedzieć.

– W pracy, moja droga, po prostu w pracy – mówi, a ja jestem sobie w stanie doskonale wyobrazić szelmowski uśmiech na jej twarzy. – PR, jak wiadomo, łączy się z licznymi obowiązkami...

– Słowa „praca” i „obowiązki” w twoich ustach brzmią pusto, są pozbawione znaczenia – prowokuję ją, ukrywając szczyptę zazdrości. W tej kwestii chciałabym być choć trochę do niej podobna, przyznaję. Ja jestem uosobieniem dyscypliny i poczucia odpowiedzialności. Ona lekkomyślności i bezwstydney nieodpowiedzialności.

---

– Nie doceniasz mnie, Ele. Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, ale mnie nie doceniasz! – śmieje się.

– W porządku, idź do Molo i baw się dobrze. Tylko nie zmęcz się za bardzo, kochana!

– Jasne, odmawiasz jak zwykle... ale ja mam to w nosie i dalej będę cię nękać, wiesz o tym. Nie poddam się, skarbie...

Oczywiście, że wiem. Przez ten cały teatrzyk okazujemy, że nam na sobie zależy.

– Ale teraz naprawdę mam napięty plan. Nie mogę siedzieć do trzeciej, bo jutro rano nie wstanę.

– OK, tym razem dam ci wygrać.

Wreszcie...

– Ale obiecaj mi, że w ten weekend się zobaczymy! – kończy, stawiając na swoim.

– Przyrzekam. Od soboty jestem cała twoja.

Dziewiąty pojemniczek z czerwieni tycjanowską też jest do wyrzucenia – zbliżyłam odrobinę barwnika do skórki granatu i to jeszcze nie to.

Właśnie godzę się z faktem, że trzeba zacząć od nowa, kiedy rozprasza mnie hałas za moimi plecami. Ktoś wszedł głównymi drzwiami i wspina się po marmurowych schodach – to bez wątpienia kroki mężczyzny, choć przez chwilę obawiałam się niespodziewanej wizyty Gai. Schodzę szybko z drabiny, uważając, by nie poślizgnąć się na pojemniczkach rozrzuconych na płachcie ochronnej.

Drzwi do holu otwierają się i na progu pojawia się chuda postać Jacopa Brandoliniego, właściciela pałacu, a zarazem mojego zleceniodawcy.

– Dobry wieczór – witam się z urzędowym uśmiechem.

– Dobry wieczór, Eleno – odwzajemnia mój uśmiech. – Jak idzie praca? – Spogląda na cementarzysko pojemniczków pod naszymi stopami, jednocześnie wiążąc na wysokości klatki piersiowej rękawy narzuconego na ramiona swetra, z pewnością kaszmirowego.

– Bardzo dobrze – kłamię, dziwiąc się swojej śmiałości, ale nie mam ochoty wyjaśniać mu

---

szczegółów, których i tak by nie zrozumiał. Muszę jednak coś dodać, żeby wypaść profesjonalnie: – Wczoraj skończyłam czyszczenie i od dziś mogę zająć się kolorem.

– Świetnie. Ufam pani, wszystko jest w pani rękach – mówi, przenosząc spojrzenie z podłogi na mnie. Ma małe, niebieskie oczy, dwie lodowe szczeliny. – Jak pani wie, bardzo zależy mi na tym fresku. Chcę, żeby wyszedł jak najlepiej. Chociaż jest niepodpisany, widać, że to dzieło wprawnej ręki.

Przytakuję i spieszę z odpowiedzią:

– Ten, kto go namalował, z pewnością był wielkim mistrzem.

Brandolini się uśmiecha, okazując odrobinę zadowolenia. Ma czterdzieści lat, ale wygląda na kilka więcej. Nosi starodawne nazwisko – jest potomkiem jednego z najbardziej znanych rodów szlacheckich Wenecji – i sam wydaje się nieco starodawny. Jest bardzo chudy, ma przezroczystą skórę, zapadniętą, nerwową twarz i włosy



---

w kolorze popiołu. A do tego ubiera się staro. Albo inaczej: ubrania sprawiają na nim dziwne wrażenie, trochę retro, na przykład teraz ma na sobie lewisy i niebieską koszulę z krótkim rękawkiem. Ale wydaje się, że w nich pływa, taki jest wąty. Całość kojarzy się ze starością, choć nie potrafię tego dobrze wytłumaczyć. A jednak mówi się, że hrabia ma spore powodzenie u kobiet. Jest bardzo bogaty, lepsze wytłumaczenie nie przychodzi mi do głowy.

– Jak się pani tutaj czuje? – pyta, rozglądając się wokół i sprawdzając, czy wszystko jest na swoim miejscu.

– Świetnie! – rozwiązuję jednocześnie supeł bandany, ponieważ zdaję sobie sprawę, że w tym stroju wyglądam po prostu niechlujnie.

– W razie gdyby czegokolwiek pani brakowało, proszę zwrócić się do Franca. Jeśli będą pani potrzebne jakieś materiały, może go pani po nie wysłać.

---

Franco jest stróżem pałacu. Ten krępy człowieczek jest bardzo sympatyczny, ale też cichy i dyskretny. W ciągu dziesięciu dni pracy zdarzyło mi się natknąć na niego dwa razy, w ogródku na wewnętrznym dziedzińcu, kiedy podlewał agapant, i przy drzwiach wejściowych, gdy był zajęty polerowaniem mosiężnej klamki. Nigdy nie wchodzi do środka, zawsze przebywa na zewnątrz, a około drugiej po południu idzie sobie. Jego obecność jest uspokajająca.

– Poradzę sobie sama, dziękuję. – Ponieważ się orientuję, że moja odpowiedź zabrzmiała trochę zbyt szorstko, i gryzę się w język.

Brandolini podnosi ręce w geście kapitulacji.

– W każdym razie – odchrząkuje – wstąpiłem, żeby zakomunikować pani, że od jutra w pałacu będzie mieszkał lokator.

– Lokator?

Nie. To po prostu niemożliwe. Nie jestem przyzwyczajona do pracy w sytuacji, gdy wokół kręcą się ludzie i robią zamieszanie.

---

– Nazywa się Leonardo Ferrante, to znany szef kuchni, z pochodzenia Sycylijczyk – wyjaśnia mi zadowolony. – Przyjedzie prosto z Nowego Jorku na otwarcie naszej nowej restauracji w San Polo. Jak pani pewnie wie, otwieramy za trzy tygodnie.

Hrabia wspólnie z ojcem prowadzi jeszcze dwie inne restauracje w Wenecji: jedną za placem Świętego Marka i drugą tuż przed mostem Rialto. W Los Angeles rodzina Brandolini ma jeszcze jedną restaurację, a do tego dwa prywatne kluby, kawiarnię i rezydencję. W zeszłym roku otworzyli też lokale w Abu Zabi i Stambule. Podsumowując, nierzadko trafia się na ich zdjęcia w eleganckich magazynach i plotkarskich czasopismach, które tak bardzo lubi Gaia.

Mnie ich światowe życie zupełnie nie obchodzi. Przede wszystkim zaś naruszenie mojego spokoju jest ostatnią rzeczą, jakiej potrzebuję.

– Musieliśmy się nieźle nagimnastykować, żeby załatwić wszystko w szybkim tempie, a wenecka logistyka, jak dobrze pani wie, z pewnością

w tym nie pomaga – mówi dalej, nie zwracając uwagi na moją strapioną minę – ale, widzi pani, kiedy bardzo się czegoś pragnie, żaden wysiłek nie jest zbyt wielki.

A teraz jeszcze życiowe mądrości. Potakuję mechanicznie, z wyrazem zrozumienia na twarzy. Myśl o tym, że będę musiała pracować, a po pałacu będzie kręcił się ktoś obcy, naprawdę mnie irytuje. Jak Brandolini może nie rozumieć, że moja praca jest delikatna? Że wystarczy byle co, żeby mnie zdekoncentrować?

– Zobaczysz pani, świetnie się pani dogada z Leonardem, to bardzo miły człowiek.

– Nie wątpię, ale rzecz w tym, że ten hol...

Nie pozwala mi skończyć.

– Nie mogłem go przecież ulokować w jakimś zimnym pokoju hotelowym – Brandolini mówi dalej z pewnością właściwą osobie, która nie musi nikogo prosić o pozwolenie. – Leonardo jest wolnym duchem i będzie się tu czuł jak w domu, będzie mógł gotować, kiedy przyjdzie mu ochota,

---

jeść śniadanie w nocy i obiad po południu, czytać książkę w ogrodzie i podziwiać kanał z tarasu.

Już chciałam zwrócić uwagę, że hol, w którym pracuję, prowadzi do każdego z pozostałych pomieszczeń pałacu, że jest tu układ amfiladowy i w związku z tym facet będzie zmuszony tędy przechodzić nie wiadomo ile razy dziennie. Ale on również o tym wie, tylko że najwyraźniej postanowił mieć to w nosie. Boże, zaraz się załamie.

– Jak długo ten szef kuchni musi tu zostać? – pytam w nadziei, że odpowiedź podtrzyma mnie na duchu.

– Co najmniej dwa miesiące.

– Dwa miesiące?! – Nie staram się już nawet ukryć poirytowania.

– Tak, dwa miesiące, a może nawet dłużej, przynajmniej do chwili, kiedy restauracja w pełni się rozkręci. – Hrabia znowu poprawia sweter na ramionach, potem stanowczo patrzy mi w oczy.

---

– Mam nadzieję, że to nie będzie dla pani problemem. – Co oznacza: „Proszę zadbać, żeby wszystko poszło gładko”.

– Cóż, jeśli nie ma innego wyjścia... – Co z kolei po mojemu znaczy: „Ani trochę mi to nie pasuje, ale muszę się zgodzić”.

– W porządku, zatem nie zostaje mi nic innego, jak życzyć pani owocnej pracy – kończy, podając mi swoją delikatną dłoń. – Do widzenia, Eleno.

– Do widzenia, panie hrabio.

– Proszę mi mówić Jacopo.

Czyżby starał się osłodzić gorzką pigułkę, skracając dzielący nas dystans? Posyłam mu wymuszony uśmiech.

– Do widzenia, Jacopo.

Gdy tylko Brandolini wychodzi, siadam na stojącej przy ścianie kanapie z czerwonego aksamitu. Jestem zdenerwowana, rozbita – straciłam już wenę. Nie chcę słyszeć o jego światowej sławy kucharzu, jego restauracji, nic mnie nie obchodzi

---

jej uroczyste otwarcie z bizantyjską oprawą. Chcę tylko pracować w spokoju, sama, w ciszy. Czy tak wiele żądam? Łapię się za głowę i patrzę na pojemniczki z zaschniętą temperą, które zdają się wypominać mi moją klęskę. Z wielkim wysiłkiem postanawiam je ignorować. Niech szlag trafi ten fresk! Jest siódma trzydzieści i moje skupienie poszło w diabły. Dosyć. Jestem zmęczona. Idę do domu.

Wychodzę na ulicę, gdzie otacza mnie wilgotne, słodkawe październikowe powietrze. O tej porze czuje się już wieczorny chłód. Słońce nad laguną prawie zaszło, a na ulicach zapalają się latarnie.

Pokonuję uliczki szybkim krokiem, ale moje myśli wciąż nie potrafią się uwolnić. Jakby zostały uwięzione w tym zakurzonym holu. Biorąc pod uwagę moją skłonność do roztrząsania wszystkiego, obawiam się, że zostaną tam jeszcze długo. Często mi to wytykają, zarówno Gaia, jak i moja matka; mówią, że kiedy coś nie daje mi spokoju,

---

jestem nieobecna, roztargniona, z głową w chmurach. To prawda, chętnie błędzę w ślad za moimi myślami, podążam za nimi, kiedy niosą mnie daleko... ale to tylko mała ucieczka od teraźniejszości, taki mój nałóg, z którego nie mam zamiaru rezygnować. Dlatego uwielbiam chodzić sama po mieście. Nogi niosą mnie, a mój umysł w końcu staje się wolny i nikt nie domaga się miejsca w centrum mojej uwagi.

Delikatna vibracja połączona z sygnałem przywraca mnie nagle do rzeczywistości. Na wyświetlaczu iPhone'a pojawiła się nowa wiadomość.

Bibi, chcesz iść do kina?

Dziś w Giorgione puszczają najnowszy film Sorrentina.

Buziak.

Filippo. Oto ktoś, z kim mam ochotę spędzić wieczór, nawet po dniu takim jak ten. Ale raczej nie starczy mi energii, żeby wlec się aż do Giorgione. Jestem naprawdę wykończona i nie



---

przekonuje mnie wizja zamknięcia się w sali na dwie godziny. Mam ochotę rzucić się na kanapę.

Odpisuję:

A gdybyśmy zjedli kolację u mnie i obejrzeni jakiś film?

Jestem padnięta, chyba nie mogłabym się skupić na Sorrentinie...

Natychmiastowa odpowiedź.

OK. Do zobaczenia u Ciebie ;-)

Znam Filippa od czasów studenckich. Spotkaliśmy się na zajęciach z architektury wnętrz, ja byłam studentką pierwszego roku, on już trzeciego. Któregoś dnia zaproponował, żebyśmy pouczyli się razem, a ja się zgodziłam. Wydał mi się osobą, której mogę ufać, czułam, w tajemniczy jeszcze sposób, że łączy nas jakaś więź. Bez szczególnego powodu, po prostu to wiedziałam.

Szybko zostaliśmy przyjaciółmi. Razem chodziliśmy na wystawy, do kina, do teatru. Albo gadaliśmy całymi wieczorami. Od tego czasu Filippo nazywa mnie „Bibi”. Powtarzał mi zawsze, że

---

przypominam Bibi z pewnego japońskiego komiksu, postać nieco nieporadną, o skłonności do roztrząsania wszystkiego i gubienia się w swoich pokreślonych i absurdalnych fantazjach.

Po studiach, nie pamiętam nawet dlaczego, trochę straciliśmy się z oczu. W zeszłym roku dowiedziałam się od Gai, że zaczął pracować dla Carla Zonty, jednego z najbardziej znanych włoskich architektów, i że przeprowadził się do Rzymu.

A później, miesiąc temu, jak gdyby od tamtych lat, które mnie wydają się już bardzo odległe, minął ledwie dzień, znów się odezwał, wysyłając mi mail: „Jestem znowu w Wenecji. Ile to już minęło, od kiedy ostatnio byliśmy w Muzeum Correr?”. To zaproszenie tak mnie zaskoczyło, że w jednej chwili sobie uświadomiłam, jak bardzo tęskniłam za Filippem. Zgodziłam się natychmiast.

Spotkaliśmy się po raz pierwszy od tak długiego czasu, ale tak jakby nic się nie zmieniło. Powoli przechadzaliśmy się po salach muzeum,

---

zatrzymując się przy naszych ulubionych dziełach – pamiętałam wciąż jego, a on pamiętał moje – i opowiadaliśmy sobie, co nam się przydarzyło w życiu od chwili, kiedy nasze drogi się rozeszły.

Potem spotkaliśmy się znowu, raz na kolacji i drugi raz w kinie. Powiedzieliśmy sobie, że warto byłoby zrobić zjazd z kolegami ze studiów, ale potem, nie wiedzieć czemu, nawet nie spróbowaliśmy go zorganizować.

Kilka minut przed dziewiątą na sygnał domofonu wyskakuję z łazienki. Oczywiście lekko podkreśliłam kredką, a włosy związałam w krótki kucyk, który tylko ktoś wyrozumiały mógłby nazwać starannym. Przeganiem myśli o minie, którą zrobiłaby Gaia, widząc mnie teraz. Otwieram, mam na sobie w dżinsy, biały podkoszulek i japonki, a czekając na niego, wkładam rozciągniętą bluzę. To mój domowy look, ale jestem pewna, że Filippo się nie oburzy.

---

Wbiega po schodach z dwoma pudełkami pizzy w rękach. W mieszkaniu wita go łagodny, ciepły głos Nory Jones z jej najnowszej płyty.

– Chodź, szybko, zanim wystygną! – mówi od progu. Rzuca na ziemię przewieszoną przez ramię torbę, muska mój policzek w powitalnym pocałunku i wpada jak pocisk do kuchni.

– Głodna? – Idę w ślad za nim i robię miejsce na stole.

– Jak wilk!

Już otworzył szufladę – od razu odgadł właściwą, choć od lat nie był w moim mieszkaniu – i znalazł nóż do pizzy. Najpierw zajął się moją.

Patrzę na niego. W jego twarzy jest coś otwartego, promiennego, wręcz uspokajającego – może zresztą dlatego w czasach studiów postanowiłam się z nim zaprzyjaźnić. Oczy ma duże, głęboko osadzone, lekko skośne. Wyglądałby na Azjatę, gdyby nie ich jasnozielony kolor i szopa jasnych, potarganych włosów.

---

– Warzywa, bez papryki, tak jak lubisz – mówi, wręczając mi pokrojoną na trójkąty pizzę.

Zgadza się, pamięta nawet o tym. Potwierdzam zadowolona, a on patrzy na mnie tymi swoimi oczami, które są wręcz nieziemskie i nieodparcie przyciągają wzrok. Stoimy tak przez moment jak ogłupiali, potem Filippo znów skupia się na pizzy, a ja zaczynam szukać kieliszków, głównie po to, żeby czymś się zająć.

To była tylko chwila, ale oboje zauważyliśmy, że w powietrzu unosi się jakaś dziwna energia.

– Dzisiaj też jestem wegetarianinem, może dzięki temu poczujesz się mniej samotna – żartuje, otwierając drugie pudełko. Uśmiecha się, odsłaniając równy rząd białych zębów. To też mi się u niego podoba. Tak samo jak dołeczek na prawym policzku. – Ale muszę ci powiedzieć, Bibi, że ta pizzeria pod twoim domem jest fatalna.

– Tak, wiem – odpowiadam, napoczynając nowy kawałek – ale i tak nadal będę tam

---

chodzić... to jedyny szybki i bezbolesny sposób żywienia, jaki mam.

– Może przyszedł czas, żebyś nauczyła się gotować?

Udaję, że zastanawiam się przez chwilę, zanim odpowiem.

– Nie.

Filippo zdejmuje z pizzy oliwkę i rzuca nią we mnie.

Po skończonej kolacji, kiedy ja przygotowuję sobie napar z melisy, Filippo przegląda płyty DVD ułożone byle jak na ostatniej półce biblioteczki.

– A to? – śmieje się. – Skąd się tu wzięło? – mówi, wymachując pudełkiem od *Zatańcz ze mną*.

O matko, musiała to zostawić u mnie Gaia!

Zasłaniam twarz ramieniem, ale on patrzy na mnie wyrozumiale.

– Jak dla mnie nie ma sprawy... Możesz mi powiedzieć, jeśli teraz wolisz takie rzeczy, nie musisz się wstydić. Przyznanie się to pierwszy krok,

---

żeby z tego wyjść. Z przyjacielem możesz o tym pogadać... mogę ci pomóc, jeśli tylko chcesz.

– Głupek.

Kino to jedna z pasji, które od zawsze dzieliłam z Filippem. Często podczas różnych uniwersyteckich przeglądów filmowych zostawaliśmy na sali tylko we dwoje, oglądając aż do napisów końcowych nieznane dzieła nieznanych reżyserów z jakiejś usypiającej i zapomnianej rosyjskiej awangardy, podczas gdy nasi koledzy już dawno nas zostawili i poszli napić się czegoś na kampusie.

Filippo przegląda dalej tytuły DVD i wyciąga *Szczególny dzień* Ettorego Scoli.

– Widziałem go już co najmniej cztery razy, ale wciąż mi podchodzi. Co ty na to?

– To byłby mój trzeci raz, a więc zgoda.

Filippo rzuca się na kanapę. Walczy z pilotem, gderając coś o nowych technologiach. Jest zabawny, rozśmiesza mnie. Dołączam do niego z dwiema wielkimi parującymi filiżankami

---

w rękach. Stawiam je na stoliku, rzucam w kąt japonki, piję łyk naparu, zapominając, że jest gorący i parzę się w język... Potem ja też opadam na kanapę obok niego.

Kiedy na ekranie plazmowym pojawiają się napisy początkowe, czuję, jak kolano Filippa opiera się o moje. Niepodziewanie ten dotyk sprawia, że czuję się niekomfortowo, tak jakbym dopiero teraz zdała sobie sprawę, jak blisko siebie jesteśmy. Poprawiam się na kanapie, odsuwając się o kilka centymetrów. On sprawia wrażenie, jakby niczego nie zauważył, może to tylko moja paranoja...

Akcja filmu utrzymana jest w tonie słodko-gorzkiem, tak jak ją pamiętałam. Śledzimy ją w nabożnym skupieniu, popijając melisę, która tymczasem osiągnęła ludzką temperaturę, i czasem przewijamy do tyłu, żeby jeszcze raz zobaczyć najśłynniejsze sceny. Teraz Mastroianni i Sophia Loren improwizują kilka tanecznych kroków, śledząc wzór na posadzce.



---

Kątem oka widzę, że Filippo mnie obserwuje. Ale czułam jego spojrzenie od samego początku filmu. Ciepłe i otulające. Odwracam się do niego:

– Co tam?

Uśmiecha się, jak złapany na gorącym uczynku.

– Właśnie myślałem, że przez te wszystkie lata ani trochę się nie zmieniłaś.

Nie przestaje na mnie patrzeć. Nagle czuję się trochę zakłopotana.

– A ja myślałam, że zmieniłam się na lepsze...  
– staram się obrócić wszystko w żart.

– No cóż, jedyna wada, jaką miałaś, na szczęście zniknęła.

Spoglądam na niego pytająco.

– Valerio, twój były.

Uderzam go w ramię, udając, że się obraziłam. Zaczęłam chodzić z Valeriem na przedostatnim roku studiów. Filippo go nie znosił i zupełnie nie starał się tego ukrywać. „On jest dla ciebie zbyt

---

powierzchnowy i niedojrzały” – powtarzał mi to z tysiąc razy, do znudzenia.

– Trochę mi zajęło, zanim to zrozumiałam, ale ostatecznie miałeś rację – przyznaję.

– Kiedy się rozstaliście?

– Półtora roku temu.

– A teraz nie masz nikogo?

Prosto do celu. Tego się nie spodziewałam.

– Nie.

Nie wiedzieć czemu cisza, która po tym następuje, wydaje mi się przytłaczająca. Chciałabym mieć gotową kwestię, żeby rozładować to namacalne napięcie, ale jej nie znajduję. Nie wiem, co chodzi po głowie Filippa, ale wiem, że ja nigdy o tym nie myślałam. Przynajmniej do tej chwili. Za bardzo się cieszę, że odzyskałam przyjaciela, i zupełnie nie brałam pod uwagę, że między nami mogłoby zdarzyć się coś więcej. Ale w jednej chwili wszystko, co dotąd było pewnikiem, zaczyna drżeć w posadach.

---

– To moja ulubiona scena – mówi Filippo, odwracając się w stronę ekranu. Mastroianni i Sophia Loren wyszli na taras i składają suszące się prześcieradła. Może zrozumiał, że jestem zakłopotana, i przyszedł mi z pomocą. To bardzo w jego stylu.

Odetchnęłam cichutko z ulgą. Staram się odprężyć, może to tylko moja fantazja, a on nie miał zupełnie nic na myśli. Skupiam się na filmie i powoli naprawdę się relaksuję.

Na zewnątrz zaczęło padać i mam wrażenie, że krople, które padają na okno w dachu, dotykają też lekko mojego serca. To miłe uczucie, a ja mam nieodpartą ochotę mu się poddać...

Nagle, jak gdybym budziła się z głębokiej śpiączki, słyszę delikatny głos, który szepcze:

– Bibi, idę już.

Otwieram oczy i widzę, że Filippo stoi nachylony nade mną. Na ekranie lecą napisy końcowe. Podnoszę się.

– Czemu mnie nie obudziłeś?

– Ciiii, leż – delikatnie otula mnie kocem. –

Ukradnę ci ten zepsuty parasol.

– Możesz też wziąć ten dobry.

– Nie przejmuj się... nie idę daleko.

Głaszczę mnie po policzku z czułością, jakiej nigdy u niego nie widziałam, i całuje mnie w czoło.

– Cześć, Bibi.

Tego ranka postanowiłam trochę odpocząć od fresku. Mam długą listę straszliwie nudnych domowych spraw do załatwienia. Powiedzmy, że daleko mi do perfekcyjnej pani domu. Z kosza na bieliznę wysypują się kłęby ciuchów i w końcu zmuszam się, żeby nastawić pralkę. Potem wpadam do pralni chemicznej po sukienkę zostawioną tam jeszcze latem i wybieram się do supermarketu na zakupy w moim stylu – krótko mówiąc, wypełniam koszyk gotowymi daniami i mrożonkami, które od zawsze stanowią moją specjalność. Kiedy wracam do domu, na chwilę ogarnia mnie pokusa, żeby trochę posprzątać, ale szybko ją od siebie odsuwam. Lepiej popracuję. Biorę więc klucze i wychodzę.

Po drodze do pałacu wstępuję do sklepu Nobili – potrzebuję pięćdziesiąt gramów proszku w kolorze ultramaryny, na wypadek gdyby mi go

---

zabrakło. Wolę kupować barwnik sama, żeby własnym okiem ocenić, czy to ten właściwy. Gdybym wysyłała Franca, jak to zasugerował Brandolini, za każdym razem wracałby z niewłaściwym odcieniem. Jest druga po południu i na ulicy, przy której znajduje się wejście do pałacu, nie ma żywej duszy. Dzięki temu, że pracuję jako freelancerka w budynku, do którego klucze mam praktycznie tylko ja – no, w każdym razie do wczoraj... – w przypadku gdyby praca posuwała się zbyt powoli, mogę przyjść też w sobotę, kiedy wokół kręci się mniej osób. Nie ma studentów, a ruch turystyczny koncentruje się w okolicy placu Świętego Marka i mostu Rialto, dość odległych od tego miejsca.

Wsuwam długi klucz do dziurki w głównych drzwiach, przekręcam go najpierw w lewo, potem dwukrotnie w prawo i nie czuję żadnego oporu. Drzwi są otwarte, a alarm wyłączony. To lepiej, bo kiedyś przez przypadek go włączyłam – to był jedyny raz, kiedy musiałam zwrócić się o pomoc do

---

Franca. Pewnie to on jest w środku. Wchodzę po marmurowych schodach i delikatnie popycham boczne drzwi prowadzące do holu.

Nadeszła chwila, której się obawiałam.

Przede mną sylwetka o masywnych plecach, ubrana w czerwoną koszulę. To on. Lokator. Nie spodziewałam się, że już tu będzie. Wpatruje się jak zaczarowany w pokrytą freskami ścianę. Nieruchomy. Wielki. U jego stóp leży torba podróżna, która sprawia wrażenie, jakby widziała niejedno lotnisko. Wystaje z niej skrawek dzinsowej kurtki.

Chrząkam cicho, by zasygnalizować moją obecność, a on odwraca się i omiata mnie spojrzeniem tak intensywnym, że niemal się cofam. Jego oczy mają barwę nieprzeniknionej czerni, a jednak zza gęstych rzęs zdaje się bić światło, które w tajemniczy sposób sprawia, że brakuje mi oddechu.

---

– Cześć, jestem Elena – mówię, odzyskując nieco pewność siebie i rzucając spojrzenie na fresk. – Konserwatorka.

– Cześć – uśmiecha się do mnie. – Leonardo, miło mi.

Wymieniamy uścisk ręki i czuję szorstkość jego skóry. Pewnie zdarł sobie dłonie w pracy.

– Jacopo wiele mi o tobie mówił – dodaje.

Podkrążone oczy, pełne usta, mocno zarysowany nos, krótko przycięty, miejscami rudawy zarost, ciemne włosy, które dawno nie widziały fryzjera – wygląda jak z obrazu Goi. Pewnie dobiega czterdziestki, ale z wyglądu sprawia wrażenie solidnego i niezbędnego – jak wiekowe drzewo.

– To wyjątkowo zmysłowe malowidło – mówi, zwracając się znowu ku ścianie, a w jego głosie wychwytyuję lekki sycylijski akcent.

Korzystam z okazji, by dokładnie mu się przyjrzeć. Ma na sobie czarne lniane spodnie oraz lnianą, do połowy rozpiętą koszulę, pod którą



---

zarysowują się mocne mięśnie. Na opalonej klatce piersiowej można zauważyć kępkę czarnych włosów. Na nogach ma poprzecierane w kilku miejscach trampki. Zdaje się zamykać w sobie tajemniczą i dziką energię, która w każdej chwili może eksplodować pod ubraniem.

– Właściwie to jest gwałt – precyzuję.

Kiedy nie czuję się swobodnie i chcę utrzymać dystans, mam tendencję do zachowywania się jak nauczycielka – nic na to nie poradzę. Patrzy na mnie, a ja spuszczam wzrok. Iskierka wstydu rozpala mi policzki.

– Przedstawia scenę z mitologii klasycznej, porwanie Prozerpiny – dodaję już nieco mniej aroganckim tonem.

Przytakuje, wciąż bez reszty zajęty kontemplowaniem fresku.

– Pluton porywa Prozerpinę i zabiera ją do Hadesu. Przed odesłaniem jej na ziemię daje jej do zjedzenia ziarenka granatu, a Prozerpina będzie

---

musiała już zawsze wracać do niego na pół roku. To mit związany z czasem i z porami roku.

Jeden do zera dla kucharza z Sycylii, który zna mitologię. Przegadał mnie, a ja jestem sama sobie winna.

Leonardo rozgląda się wokół z zachwytem i wzdycha. Zauważam, że w płątku prawego ucha ma mały złoty kolczyk.

– Naprawdę wspaniały pałac. Cudownie móc tu przebywać, prawda?

„Było cudownie aż do dziś – dopóki nie pojawiłeś się ty” – myślę, ale w życiu nie miałabym odwagi mu tego powiedzieć.

– Wszystko w porządku, przyjacielu, możemy iść – przerywa nam Jacopo.

Nagle wychynął z korytarza po lewej od holu i gdy tylko zauważył moją obecność, pośpiesznie się wita.

– Cześć, Eleno.

---

– Dzień dobry, hrabio... przepraszam... Jacopo – wciąż z trudem przychodzi mi zwracanie się do niego po imieniu.

– Widzę, że już się poznaliście.

– Tak – mówi Leonardo. – Elena jest bardzo miła, opowiedziała mi o swojej pracy.

Kłamie w moim imieniu – z pewnością nie byłam bardzo miła – i przesyła mi porozumiewawcze spojrzenie, którego jednak nie odwzajemniam.

Brandolini uśmiecha się z zadowoleniem.

– Chodź, Leo – bierze go pod ramię. – Pokażę ci twoje mieszkanie. Olga wczoraj wszystko przygotowała.

Leonardo podnosi z ziemi torbę, zarzuca ją na ramię i rusza za hrabią.

Na myśl o pani sprzątającej nachodzi mnie niepokój.

– Jacopo, przepraszam... – mój głos brzmi bardziej piskliwie, niżbym chciała.

– Tak? – hrabia się odwraca, a wraz z nim Leonardo.

---

– Nic takiego, chciałam tylko pana prosić o przysługę – wracam do bardziej przyjacielskiego tonu – jeśli to możliwe, proszę poprosić Olgę, żeby nie sprzątała holu, kurz mógłby zaszkodzić konserwowanym fragmentom.

– Oczywiście, proszę się nie przejmować, już jej o tym mówiłem – zapewnia.

Znów czuję wbity we mnie wzrok Leonarda. Staram się go zignorować, ale to niemożliwe, jest jak magnes.

– Dziękuję – mówię i odwracam się, by uciec przed jego magnetyzmem. Mężczyźni zegnają się ze mną i odchodzą.

Oddycham głęboko, żeby pozbyć się tego dziwnego uczucia niepokoju, ale to na nic. Zabieram się od razu do pracy – chcę wypróbować kupiony przed chwilą niebieski barwnik. Podchodzę do kuchennego kranu i wypełniam do połowy pojemnik z filtrem chroniącym przed zanieczyszczeniami. Kamień obecny w weneckiej wodzie jest zabójczy, potrafi bardzo zaszkodzić

---

kolorom. Nauczyłam się tego sama – niestety, w praktyce – i jestem z tego odkrycia bardzo dumna.

Słyszę głosy dwóch intruzów poruszających się po prawym skrzydle pałacu. Będę musiała się do tego przyzwyczaić, jeszcze nie wiem jak. Mam nadzieję, że ten Leonardo jest dyskretny. Najlepiej, żeby cały dzień spędzał w restauracji, a resztę czasu siedział cicho w swoim pokoju. Nie chcę, żeby się przy mnie kręcił, czuję się przy nim nieswojo.

Klękam na rozłożonej na podłodze płachcie ochronnej i zaczynam mieszać w trzech pojemniczkach biały i niebieski pigment w różnych proporcjach. Kolor sukni Prozerpiny nie jest zbyt problematyczny, w przeciwieństwie do barwy granatu. Przy trzeciej mieszance mam wrażenie, że jestem blisko. Ta próba ma na celu zaspokojenie mojej manii perfekcjonizmu i sprawdzenie, czy pigment rzeczywiście jest wysokiej jakości.

Po chwili pojawia się w holu Brandolini. Sam.

---

– Cześć, Eleno, ja idę. Zostawiam cię w dobrym towarzystwie. Zobacysz, świetnie się dogadacie z Leonardem.

Mówi mi to już po raz drugi i nie wiedzieć czemu, odnoszę wrażenie, że to zły znak. Przesuwa palcem wskazującym po klamce drzwiczek, jakby chciał zetrzeć warstewkę kurzu, której nie ma.

– Miłej pracy. Do widzenia.

– Do widzenia, panie hrabio. Chciałam powiedzieć... Jacopo.

Jest prawie szósta, a Leonardo jeszcze się nie pokazał. Przez jakiś czas słyszałam muzykę klasyczną dobiegającą z wyższego piętra, potem i ona ucichła. Pewnie spał przez całe popołudnie. Pewnie ma jet lag po przylocie z Nowego Jorku. W każdym razie byłabym zadowolona, gdyby został w tej swojej kryjówce na zawsze.

Idę do łazienki, żeby doprowadzić się do porządku. Ściągam dzinsy i koszulkę, którą noszę w pracy, a zamiast tego wkładam czyste spodnie

---

i bawełnianą koszulę, którą przyniosłam w sportowej torbie. Gaia może mówić, co chce, dla mnie to jest elegancja.

Idę do rodziców na rodzinną kolację zorganizowaną z okazji odejścia mojego ojca z marynarki wojennej, jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem tego faktu. Po czterdziestu pięciu latach zaszczytnej służby porucznik Lorenzo Volpe odchodzi, by poświęcić się życiu rodzinnemu. Co za ironia losu – jestem córką marynarza, a ledwo potrafię pływać. Być może to wina mojej matki, która podczas wakacji spędzanych w Lido wpadała w panikę, gdy tylko oddalałam się nieco od brzegu. Z pewnością to po niej odziedziczyłam nerwowy charakter i, przyznaję, lekką skłonność do paranoi. Po ojcu natomiast mam ośli upór i ogromną pracowitość.

Już teraz wiem, że kiedy tylko przekroczę próg domu, mama wyjdzie mi naprzeciw, mówiąc, że jestem za chuda, zbyt zmęczona, niezadbana – i to pomimo wszystkich moich wysiłków, by ukryć

---

stres pod warstwą fluidu i pomadki. Tata natomiast będzie patrzył na mnie w milczeniu przez cały wieczór, a gdy będę już wychodziła, odprowadzi mnie do drzwi, wyprostowany, z rękoma złożonymi na plecach. „Wszystko w porządku?” – zapyta, zanim pozwoli mi wyjść. „Gdybyś czegoś potrzebowała, pamiętaj, że tu jesteśmy. Dla ciebie”. A ja jak zawsze powiem, żeby się nie martwił i pocałuję go w policzek. Wrócę do domu spokojna i w zgodzie z samą sobą, tak jak zdarza mi się tylko wtedy, kiedy jestem z nimi.

Nie widziałam ich od tak dawna i cieszę się na myśl o tym, jak będą mnie rozpieszczać.

Przed lustrem poprawiam nałożoną w pośpiechu szminkę, układam rzeczy w torbie i jestem gotowa. Zanim wyjdę, rzucam ukradkowe spojrzenie w kierunku schodów. Leonardo wciąż siedzi w swoim pokoju, nie wiem, czy warto mówić „do widzenia”. Być może nie ma takiej potrzeby?

Uznaję, że nie.



---

Wychodzę przez główne drzwi z grubego drewna, uważając, by nie wywołać hałasu. Na ulicy instynktownie obracam się, żeby zerknąć na pałac. Na pierwszym piętrze świeci się światło. Myśl, że od dziś nie jestem już sama z moim freskiem, wywołuje we mnie dziwne uczucie.

Jest późne popołudnie leniwej i niezwykle gorącej weneckiej niedzieli. Umówiłam się z Gaią na aperitif w barze Muro przy Rialto. Niedawno przez telefon wygrażała mi z całą powagą: „Jeśli nie przyjdiesz ubrana jak kobieta, przysięgam, że każę ochroniarzowi cię wyrzucić!”. Na ogół ignoruję jej rady, ale od czasu do czasu lubię dawać jej satysfakcję.

Jeśli chodzi o buty na monstrualnych dwunastocentymetrowych obcasach, to nie ma mowy! Wybrałam sandałki z zielonej satyny, na obcasach ósemkach. Do tego jedwabna sukienka mini bez ramiączek i czarny sweterek. Jak na mnie – to szczyt odwagi. Nie potrafię sobie nawet

---

wyobrazić, że mogłabym być jeszcze bardziej kobieca (cóż, może powinnam była pozwalać sobie na więcej w czasach licealnych...). Już wiem, że będę żałowała, bo w Wenecji wieczorem trzeba przemieszczać się pieszo pomiędzy mostami i brukowanymi zaułkami, taksówki kosztują majątek, a vaporetto porusza się niemiłosiernie powoli. Mam nadzieję, że Gaia doceni moje poświęcenie.

Muro już pęka w szwach – tłum okupuje bar i stoliki przy wielkich oknach wychodzących na plac. Myśl o wmieszczeniu się w tę masę ludzką nie napawa mnie entuzjazmem, ale muszę to zrobić, przynajmniej po to, by uzasadnić nadludzki wysiłek włożony w dotarcie aż tutaj na szpilkach. Przepychając się łokciami, toruję sobie drogę wśród ludzi stojących przy wejściu i dwoma susami godnymi emerytowanej top modelki w końcu dostaję się do lokalu. W środku panuje chaos – ścieżka dźwiękowa nie należy do najłżejszych – a poziom upojenia towarzystwa osiąga

---

stan alarmowy, choć jest dopiero siódma. Jestem niemal abstynentką, więc nie najlepiej się odnajduję w sytuacjach czystej alkoholowej przyjemności. Gaia tymczasem potrafi wychylić trzy mojito w ciągu godziny i wcale nie będzie tego po niej widać.

Oto i ona, królowa życia towarzyskiego! Krąży między stolikami, czarując wszystkich swoim najbardziej uwodzicielskim uśmiechem i pozdrowieniami rzucanymi głosem tak słodkim, że aż wpadającym w ultradźwięki. W tłumie miga blond kucyk – choć Gaia jest wysoka, i tak jak zawsze włożyła bojowe szpilki. Teraz zatrzymała się pośrodku grupki naszych znajomych. Stając na czubkach palców, macham jej z daleka. Na szczęście zauważyła. Rusza ramionami energicznie, przywołując mnie do siebie. Potrącając kilkanaście osób, przepycham się przez tłum i dołączam do niej.

– Nareszcie! Gdzie ty się podziewałaś? – cmoka mnie w policzek. Potem, jak

---

przewidziałam, taksuje mnie wzrokiem od góry do dołu. – No, no, jakie sandałki! Stylowa ta zielen. Brawo, Ele, ładnie wyglądasz!

Zdałam egzamin. Dziś wieczór nie będę musiała stawiać czoła ochroniarzom.

– Opowiadaj, jak wczoraj poszło z cyklistą? – szepczę jej do ucha, szczypiąc ją w bok.

– Wcale. – Gaia robi przygnębioną, ale mało wiarygodną minę. – Obawiam się, że myśli teraz o czym innym.

– No coś ty? – udaję zdziwienie.

– Ale nie myśl, że dałam się usidlić Belotiemu! To nie wchodzi w grę. – Znów uśmiecha się od ucha do ucha. – Oczywiście... wciąż ma szczególne miejsce w moim sercu, ale niech sam zdecyduje. Jeśli mnie chce, niech po mnie przyjdzie.

– Kto wie...

Wciąż nie mogę zrozumieć, czemu aż tak bardzo interesuje ją ten facet. Ot, nieprzeniknione

---

tajemnice miłości. Albo hormonów, w przypadku Gai.

– W każdym razie wczoraj wieczorem w Piccolo Mondo wpadłam na Thiaga Mendozę. Kojarzysz go? Jest modelem Armaniego. Wymieniliśmy się numerami.

– No, no, nie tracisz czasu.

Nie mam pojęcia, kim jest ten nowy obiekt zainteresowania, ale odreagowanie porażki nowym podbojem to typowe dla Gai zachowanie.

Wybucha dźwięcznym śmiechem, po czym zwraca się do reszty grupy:

– Kochani, chce mi się pić. Jeszcze jeden spritz dla wszystkich?

Wszyscy wyrażają entuzjazm, a Gaia bierze mnie pod ramię i ciągnie z powrotem w środek największego tłumu.

– Nico, możesz przygotować osiem spritzów z aperolem? – pyta baristę, dobijając do baru i trzepocząc ciężkimi od tuszu rzęsami.

– Już się robi, *amore*.

---

Wenecjanie, zarówno kobiety, jak i mężczyźni, często zwracają się per „amore” nawet do osób, które znają od niecałej godziny. Nico, barman marzący o karierze aktora, z pewnością nie jest wyjątkiem.

– I jeszcze coca-colę dla koleżanki – dodaje Gaia, uprzedzając moją prośbę.

Reszta towarzystwa zbliża się do baru, kieliszki wędrują z dłoni do dłoni i stykają się w błyskawicznym toaście.

– Idziemy zapalić? – proponuje ktoś i nasza gromadka przesuwa się powoli w stronę wyjścia. Gaia zostaje i siada na stołku naprzeciwko mnie. Coca-cola jeszcze nie jest gotowa.

– Filippo dołączy do nas na kolację? – pyta Gaia.

– Chyba tak.

– Fajnie będzie go znów zobaczyć.

Kiedy poznałam Filippa, ona już od jakiegoś czasu nie była studentką. To ja ich sobie przedstawiłam, ale wkrótce odkryli, że mają innych

---

wspólnych znajomych. Wenecja jest stosunkowo mała, przez co z czasem człowiek poznaje prawie wszystkich mieszkańców, szczególnie jeśli jest uzależniony od życia towarzyskiego, tak jak Gaia.

W pewnym momencie woła ją ktoś siedzący w kąciku z kanapami.

– Przepraszam, muszę się z kimś przywitać – mówi, zeskakując ze stołka.

– Idź spełnić swój obowiązek – odpowiadam.

Gaia puszcza do mnie oko i już paraduje przez salę w swoich superobcisłych jegginsach. Niedawno się dowiedziałam, oczywiście właśnie od niej, że tak nazywają się džinsy tak ciasne, że niemal uniemożliwiają oddychanie. Gaia nosi je często, mimo że ma dość grube łydki – to jej największy feler. Ze swojego miejsca podziwiam widok – kocie ruchy i fabrycznie sprana bawełniana bluzeczka o dekolcie niewiele pozostawiającym wyobraźni, choć i tak jest on zasługą mocno wywatowanego stanika push-up. Gaia w wersji naturalnej ma rozmiar B – ale o tym

---

wiemy tylko ja i mężczyźni, z którymi poszła do łóżka.

Nico w końcu podaje mi moją colę.

– Mogłabym dostać do niej trochę lodu? – pytam.

– Chcesz też plasterek cytryny, *amore*?

– Tak, poproszę.

Właśnie pociągam ze słomki pierwszy łyk, kiedy czuję wibrowanie telefonu. To SMS od Filippa.

Bibi, spóźniam się.

Będę za pół godziny.

Całuję.

Odpowiadam mu natychmiast. Mam nadzieję, że się pospieszy.

OK, czekamy!

Ledwo zdążyłam wysłać wiadomość, kiedy mojego nagiego ramienia dotknęła delikatnie czyjaś dłoń. Obracam się gwałtownie i przede mną pojawia się Leonardo Ferrante. Lokator.



---

– Cześć, Eleno – mówi. – Wenecja jest naprawdę mała...

Z koszulą wyciągniętą na wierzch pogniecionych spodni wciąż sprawia wrażenie nieco zdrożonego, ale wygląda, jakby naprawdę cieszył się na mój widok.

– Hej.

Zaskoczył mnie. Poprawiam się na stołku. Nie wiem, czy ja też się cieszę. W jego obecności nie jestem pewna własnych myśli. I to mi się nie podoba.

Siada naprzeciwko mnie, choć go wcale nie zaprosiłam i spogląda na mnie swoimi czarnymi oczami.

– Jesteś tu sama?

Jego dłoń muska moje ramię i nie wiem, czemu wywołuje to we mnie tak silne emocje.

– Nie, jestem z przyjaciółmi... – odpowiadam, wykonując ruch ręką oznaczający, że kręcą się gdzieś w pobliżu.

---

W Leonardzie jest coś, co mnie wybija z rytmu, coś przypominającego krótkie uderzenie prosto w brzuch. Chciałabym, żeby już sobie poszedł. A może nie?

Nagle odwraca się w stronę grupki osób, które właśnie zajmują miejsca przy stoliku:

– Nie czekajcie na mnie z zamówieniem – mówi autorytarnym tonem. – Dołączę do was później.

Znów zwraca się do mnie.

– To cała załoga restauracji, moi współpracownicy – wyjaśnia, wskazując ich ruchem ręki.

– Jeśli musi pan iść, to... – zastrzegam czym prędzej.

– Skąd, cieszę się, że cię spotkałem.

A więc to już oficjalne – choć ja wciąż zwracam się do niego per „pan”, on zdecydował, że może przejść na bardziej bezpośrednią formę.

– Może będziesz mi mówić po imieniu? – dodaje.

---

Marszczę czoło i spuszczam wzrok na swoje ręce. Zupełnie jakby czytał w moich myślach!

– Tak, oczywiście... – mamroczę.

Z grzeczności i żeby zatuszować zakłopotanie, staram się nawiązać rozmowę.

– Wczoraj, wychodząc z pałacu, starałam się cicho zamknąć drzwi. Mam nadzieję, że cię nie obudziłam.

Natychmiast żałuję, że to powiedziałam. W gruncie rzeczy to on powinien uważać, żeby nie przeszkadzać mi w pracy. Czemu się usprawiedliwiam?

– Nie przejmuj się, śpię jak kamień.

Łapie spojrzenie barmana, który właśnie podszedł do naszej części baru.

– Dla mnie martini bianco.

Nico napełnia mu kieliszek, a on wyciąga portfel.

– Płacę też za nią – mówi, wskazując ręką w moim kierunku.

---

– Nie, nie trzeba... – staram się sprzeciwić i już wsuwam dłoń do torby.

On zatrzymuje moją rękę. Mój nadgarstek wydaje się drobniutki w objęciu jego palców. Jego dotyk jest delikatny, ale zdecydowany. Lekko kręci głową, a ja natychmiast ustępuję.

– W porządku... dziękuję.

Upija łyk martini i spogląda na moją szklanekę.

– Nie pijesz alkoholu?

– Jestem abstynentką – usprawiedliwiam się, wzruszając ramionami.

– To źle, bardzo źle – uśmiecha się wieloznacznie. – Ktoś, kto pije tylko wodę, musi mieć coś do ukrycia.

– Ale ja nie piję tylko wody. To na przykład jest coca-cola.

Leonardo się śmieje, odsłaniając białe zęby drapieżnika. Odnoszę wrażenie, że nie śmieje się z mojego żartu, lecz ze mnie. Potem upija jeszcze łyk z kieliszka i znów wlepia we mnie wzrok, tym razem poważny.

---

– Przeszkadza ci moja obecność w pałacu.

– Nie... – odpowiadam automatycznie, ale zaraz urywam.

Wcale nie zadawał mi pytania, a moja sztuczna grzeczność jest mu wyraźnie obojętna. Próbuję więc zacząć od nowa.

– Tak już mam, nie jestem w stanie się skoncentrować, jeśli wokół kręcą się inni ludzie. A poza tym prace konserwatorskie należy przeprowadzać w możliwie największej izolacji.

Spodziewam się, że powie coś w rodzaju „rozumie, postaram ci się nie przeszkadzać”. Tymczasem nie. Dalej wpatruje się we mnie tak, jakby właśnie zrozumiał coś niesamowicie ważnego, co do mnie nie dociera.

Nagle wyciąga dłoń w moim kierunku. Instyktownie się cofam – czy ja kiedykolwiek pozwoliłam mu się dotykać? Ale jego palce już są w moich włosach, a opuszki muskają kark.

– Uważaj, spadł ci.

---

Między kciukiem a palcem wskazującym trzyma mój kolczyk. Przez chwilę patrzę na niego zdziwiona, a potem szybko go odbieram i z powrotem zawieszam.

– Cały czas mi się to zdarza, taki mają defekt – tłumaczę się, unikając jego spojrzenia. Na mojej twarzy pojawiają się wszystkie barwy czerwieni. Tak, teraz naprawdę chciałabym, żeby sobie poszedł.

Na szczęście woła go jeden ze współpracowników. Leonardo odpowiada skinieniem, po czym znowu odwraca się ku mnie.

– Wybacz, dołączę teraz do mojej ekipy – mówi. – Zobaczymy się jutro.

– Jasne. Do jutra.

Patrzę, jak dosiada się do grupki przy stole, i obsesyjnie sprawdzając niepokorny kolczyk, próbuję się otrząsnąć z absurdalnego poczucia zakłopotania.

Wkrótce pojawia się przy mnie Gaia. Udało jej się uwolnić od PR-owych zadań. Znowu siada na

---

swoim stołku i wbija we mnie spojrzenie godne policyjnego detektywa. Przygotowuję się psychicznie do przesłuchania.

– Ele, skarbie – już wiem, dokąd zmierza – kim był ten facet?

– Kto?

– Już nie udawaj – przywołuje mnie do porządku. – Ten, z którym gadałaś minutę temu.

– To człowiek, którego Brandolini uznał za stosowne zakwaterować w pałacu. Ma na imię Leonardo i jest szefem kuchni. – W moim głosie słychać nerwową nutę.

– Ciekawe – Gaia przygląda mu się z daleka. – A ile ma lat?

– O rety, Gaia, ty nigdy nie przerywasz polowania! – rozkładam ręce. – W każdym razie nie rozumiem, co ci się w nim podoba, to prostak – dodaję, także obrzucając go spojrzeniem.

– Pewnie, to nie jest jeden z tych chłopaczków jak z szablonu. To prawdziwy samiec, uwierz mi, Ele. – Gaia przygryza wargę.

---

Szukam słów protestu, ale ich nie znajduję.

– Dziewczyny! – znajomy głos ratuje mnie od lekcji męskiej anatomii, której właśnie miała mi udzielić Gaia.

Filippo przepycha się przez tłum i wita się z nami, całując w oba policzki.

– Przepraszam, ale miałem dziś w studiu młyn. Ten dupek, Zonta, każe mi pracować nawet w niedzielę. On i jego klienci milionerzy... Gaia, kiedy my się ostatnio widzieliśmy?

– Mniej więcej dwa lata temu, Filippo. I masz mi powiedzieć, że się nie zestarzałam, nawet jeśli tak nie myślisz.

Wszyscy troje wybuchamy śmiechem. Następnie Gaia wręcza mu spritz.

– Teraz wypijesz to, a potem idziemy na kolację – mówi.

– Już zdecydowałyście gdzie? – Filippo posłusznie popija drinka.

– Może do wegetariańskiej knajpy w dzielnicy żydowskiej? – proponuję.



---

Po ich spojrzeniach widzę od razu, że mój pomysł nie przypadł im do gustu.

– Ele – mówi Gaia – jak by to powiedzieć... Trochę przeginasz z tą fiksacją na punkcie niejedzenia mięsa.

– W porządku, zapomnijcie. Barbarzyńcy.

Robię naburmuszoną minę, ale nigdy nie obrażam się na serio, kiedy Gaia dogryza mi z powodu mojej wegetariańskiej obsesji.

– Chodźmy do Mirai – wtrąca się Filippo – tej japońskiej restauracji w Cannaregio<sup>1</sup>.

– Tak! – wykrzykuje Gaia. – Uwielbiam sushi, a tam robią je fantastyczne.

– OK, przynajmniej będę mogła zjeść trochę ryżu z warzywami.

– A więc wszyscy się zgadzają? – Filippo patrzy na mnie, jakby chciał powiedzieć: „Mam nadzieję, że udało mi się znaleźć kompromis”.

Uśmiecham się do niego i przytakuję.

– Pewnie, idziemy!

---

Kolacja w Mirai była udana. W końcu dotarliśmy tam w dziesiątkę, bo Gaia zaprosiła jeszcze kilka osób spotkanych w Muro. Oczywiście, był to przemysłany ruch. Po kolacji królowej nocy udało się zaciągnąć wszystkich do Piccolo Mondo, jednej z dyskotek, dla których pracuje jako PR-owiec. Poszli wszyscy, poza mną i Filippem.

Gdy tylko odrzuciłam zaproszenie, Filippo zaproponował, żebyśmy spędzili resztę wieczoru razem. Teraz snujemy się we dwójkę uliczkami. Na mieście wciąż kręcą się przechodnie, temperatura jest przyjemna i zachęca do zostania na dworze. Bary są pełne ludzi i od czasu do czasu widzimy, jak ktoś wychodzi na ulicę, zataczając się. Ja też zaczynam się zataczać, ale to nie wina alkoholu, lecz sandałów, które torturują moje stopy.

– Nie daję już rady, proszę, zatrzymajmy się na chwilę.

Nim skończę zdanie, opadam na wolną ławkę i zaczynam grzebać w torbie w poszukiwaniu

---

plastra. Na próżno. Przed wyjściem pomyślałam nawet, by wziąć ich kilka, ale potem zapomniałam. Ściągam sandały i ukazują się moje stopy – napuchnięte i czerwone, poprzecinane śladami odcisniętymi przez paseczki. Okrucieństwo mody.

– O matko, co ja im zrobiłam – mamroczę, rozcierając obolałe miejsca. Ale to przypadek beznadziejny.

Filippo chwyta moją prawą nogę i opiera ją sobie na kolanie, zmuszając mnie, bym całym ciałem odwróciła się w jego stronę.

– Co robisz? – pytam zdziwiona.

– Ruszam na ratunek – odpowiada, zaczynając masować.

Jego dotyk jest uzdrowicielski, czuję, jak krew znów zaczyna pulsować. Na chwilę się zapominam i pozwalam jego delikatnym dłoniom poruszać się po mojej skórze. Jednak powoli miejsce ulgi zajmuje zakłopotanie. Oto leżę na ławce w środku nocy, a Filippo masuje mi stopy. To nieco dziwna sytuacja... a jego gest jest zbyt intymny jak na

---

nasze standardy. Patrzę na niego i zauważam, że on także się we mnie wpatruje. Ale nie w sposób, w jaki patrzą przyjaciele. Nasze twarze zbliżają się do siebie, jesteśmy o krok od pocałunku, czuję, że to się wydarzy, pragnę tego, ale trochę się boję, wstrzymuję oddech...

Dźwięk komórki sprowadza nas brutalnie na ziemię. To moja.

– Ele, przepraszam, że tak późno. Spałaś już?  
Dzwoni Gaia.

– Nie, nie.

Czar prysł. Opuszczam nogi i wsuwam je w sandały. Zawiązując je, rzucam ukradkowe spojrzenie na Filippa. Wydaje się rozczarowany, być może ja też jestem rozczarowana. Ale już nic nie można zrobić, teraz Gaia absorbuje całą moją uwagę.

– Słyszysz mnie? Gdzie jesteś?

– Tak, tak, przepraszam. Jestem jeszcze na ulicy...

---

– Słuchaj, jestem w dupie! Pokłóciłam się w Piccolo Mondo z Frankiem. To świr, wezwał mnie na górę do biura i zaczął opowiadać, że poprzednim razem wniosłam mu do lokalu narkotyki. Wyszłam, trzaskając drzwiami. Ale zostawiłam klucze i wszystkie rzeczy na jego biurku.

– A nie możesz po nie wrócić?

– Nie, Ele, nie chcę widzieć tego popaprańca na oczy. Wrócę jutro, kiedy dyskoteka będzie zamknięta, a jego nie będzie. Ale dziś wieczór... mogłabym spać u ciebie?

– Jasne, czekam na ciebie w domu, niedługo będę.

– Ja będę za dwie minuty.

Dwie minuty? A więc już była pewna, że się zgodzę.

Rozłączam się i odwracam do Filippa.

– Przepraszam, ale Gaia do mnie przychodzi, zgubiła klucze od domu.

---

Uśmiecha się, ale w jego oczach dostrzegam cień żalu.

– Nie ma problemu, Ele, odprowadzę cię na vaporetto.

Czekamy na statek przez kwadrans w atmosferze zakłopotania wywołanej pocałunkiem, który nie doszedł do skutku. Wymieniamy kilka kurtuazyjnych zdań, żeby zamaskować napięcie. Kiedy w końcu pojawia się vaporetto, wydaje mi się, że to biały rumak, który przybył mi na ratunek i wskakuję na niego ochoczo, niemal pospiesznie.

– Bibi... odezwiesz się, prawda? – pyta mnie z brzegu Filippo.

– Jasne, do usłyszenia – odpowiadam, machając ręką.

A potem odpływam.

Przed drzwiami wejściowymi już czeka Gaia, wciąż wściekła. Kiedy wchodzimy po schodach, opowiada mi ze wszystkimi szczegółami o sytuacji z Frankiem, odciągając na chwilę moje myśli od

---

Filippa. Co chwilę daje się ponieść emocjom i muszę jej przypominać, żeby była cicho. Jest późno, a w budynku wszyscy śpią.

W łazience, gdy zmywamy makijaż, zauważam w lustrze badawcze spojrzenie przyjaciółki.

– A może ty coś przede mną ukrywasz, co?

Oto Gaia w roli Wielkiej Inkwizytorki.

– Niby co? – bełkoczę, myjąc zęby.

– Nie wiem, ty i Filippo chyba nie mówicie mi całej prawdy. A może w czymś wam przeszkodziłam?

– Gaia, jesteśmy tylko przyjaciółmi.

Nie wydaje się przekonana.

– Hmm... według mnie ty mu się podobasz. Co więcej, zawsze mu się podobałaś.

Wzruszam ramionami.

– A tobie on się podoba?

– Nie wiem. Nigdy się nad tym serio nie zastanawiałam.

---

To prawda. A przynajmniej tak było do dzisiejszego wieczoru.

Wskakujemy pod kołdrę w moim szerokim łóżku i nie wiedzieć czemu wpadamy w nagłą wesołość. Gaia rzuca we mnie jaśkiem i zaraz przypominają się nam pidżama party z czasów nastoletnich. Śmiejemy się z tego, jakie byliśmy i jakie się stałyśmy. Wyłączam światło i życzymy sobie słodkich snów.

Już zasypiam, kiedy budzi mnie głos Gai.

– Ele...

– Mhm? – odpowiadam zaspana.

– Ten Leonardo... mówiłaś, że mieszka w pałacu, w którym pracujesz.

– Tak.

– A gdzie to dokładnie jest?

– Jutro ci wytłumaczę. Teraz śpij.



### 3.

– Ele!

Ktoś szarpie mnie za ramię.

– No już, Ele, obudź się! – Głos Gai brutalnie przywraca mnie do rzeczywistości.

– Co jest? – mruczę zachrypniętym głosem.

– Kurwa, przypomniałam sobie, że muszę odebrać Continiego z lotniska... tego reżysera... ma spotkanie w atelier Nicolao w sprawie kostiumów do swojego nowego filmu.

Aromat świeżo zaparzonej kawy przyjemnie wypełnia mi nozdrza.

– Ale która jest godzina?

– Siódma piętnaście. Mam tylko nadzieję, że lot z Rzymu jest opóźniony...

Przecieram oczy, żeby lepiej widzieć. Gaia jest już ubrana i umalowana. Nie wiem, jakim cudem wciąż chodzi na szpilkach z wczorajszego wieczoru.

---

– Muszę uciekać. Kawa jest gotowa w kafetierce. – Całuje mnie w policzek. – Dzięki za gościnę.

– Daj spokój – mamroczę, odwracając się na drugi bok. – Fajnie jest, gdy ktoś cię kopie przez całą noc.

Gaia targa mi włosy i wychodzi, przymykając drzwi, a ja zostaję sama w pokoju i strząsam z siebie resztki snu. W myślach idę za nią po schodach i wyobrażam sobie, jak przyklejona już do swojego BlackBerry gada o ubraniach, dodatkach i cekinach.

Z wysiłkiem, który zdaje mi się nieludzki, opieram się o zagłówek łóżka. Moje ciało skrzypi. Może powinnam wziąć pod rozwagę pomysł pójścia z nią na siłownię. Gaia na pewno nie wygląda na nasze dwadzieścia dziewięć lat, jest niewyczerpanym źródłem energii.

Ale kiedy sobie wyobrażam, że wciskam się w kolorowe legginsy i drepczę przed lustrem w rytm muzyki, wszelki entuzjazm wobec fitnessu

---

we mnie gaśnie. Przyjdzie mi żyć ze skrzypiącymi stawami i będę musiała się z tym pogodzić.

Wychodzę z łóżka i nurkuję w szafie, skąd wyciągam pierwszą lepszą sportową spódniczkę i koszulkę, po czym zmykam do łazienki.

Za bramą witają mnie pierwsze promienie tego październikowego poranka. Miękkie światło grzeje, nie rażąc w oczy. Dziś nie płynę vaporettem, z San Vio do Ca' Rezzonico jest dziesięć minut i mam ochotę cieszyć się każdą z nich.

Powoli przyzwyczajam się do światła dziennego. Moje oczy nie mogą mnie dzisiaj zdradzić, bo dziś poświęcę się całkowicie temu granatowi – moje wyzwanie to odnalezienie doskonałego odcienia.

Idę bez pośpiechu, wolnym, swobodnym krokiem, trochę przez fakt, że po wczorajszym wieczorze jeszcze bolą mnie stopy, a trochę dlatego, że nie sposób nie poddać się temu spokojowi Wenecji.

---

Pierwszy most tego dnia przypomina mi, że dusza tych miejsc tkwi na pewno nie w kamieniu, lecz w wodzie. Lubię przystawać choćby na chwilę i z góry obserwować toczące się wokół życie. Znajdujący się pode mną kanał San Vio jest wąski, dziwaczny. To pasek łączący Canal Grande z Zattere<sup>2</sup>, przecinający dzielnicę na dwie części. Stąd można zobaczyć dwie twarze Wenecji: San Marco<sup>3</sup> z jednej strony i Giudeccę<sup>4</sup> z drugiej. Wenecja turystów i Wenecja miejscowych.

Dzwon kościoła Sant'Agnese wybija dziewiątą. Przyspieszam kroku. Jestem spóźniona. Gdy przechodzę obok Gallerie dell'Accademia, jakaś blondynka z nadwagą prosi mnie, żebym zrobiła jej zdjęcie z narzeczonym. Nie mam ochoty, śpieszę się, ale wyrażam zgodę, a ona podaje mi aparat, wyjaśniając, który guzik przycisnąć. Przekładam torbę na plecy i staję stabilnie na rozstawionych nogach, podczas gdy oni zastygają z wyrazem szczęścia na twarzach.

---

Klik. Łapię ostrość, pierwsze ujęcie. Klik. Poza, uśmiech z pełnym uzębieniem i pocztówkowy widoczek, prawdopodobnie to zdjęcie wybiorą do albumu. Klik. Trzecia fotka, z zaskoczenia, kiedy przestali pozować. Najlepsza.

Para przestaje się obejmować i dziękuje mi kilkakrotnie. Tak jak wielu, przyjechali do Wenecji nie tylko po to, by ją zwiedzić, ale też by przeżyć swoją romantyczną bajkę. I mają do tego pełne prawo. Przynajmniej tak mi się wydaje...

Uśmiecham się lekko, po czym uciekam. Lekka bryza rozwiewa mi włosy. Jeszcze nie zaczyna mocno, ale to już zapowiedź nadchodzącej jesieni.

W powietrzu unosi się aromat ciepłych *cornetti* i cappuccino, ten zapach towarzyszy mi za każdym razem, gdy idę do pracy na piechotę. Prawie nigdy nie zatrzymuję się na śniadanie w barze. Rano nie jem nic, mam ściśnięty żołądek, a poza tym gdybym coś zjadła, zachciałoby mi się spać. Dziś wstępuję na chwilę do kiosku pod arkadami, żeby

---

kupić opakowanie cukierków lukrecyjnych – pomagają mi utrzymać koncentrację i uniknąć chronicznych spadków ciśnienia.

Ulica, przy której znajduje się pałac, wychodzi bezpośrednio na Canal Grande. Chodząc tu, trzeba być ostrożnym, szczególnie nocą. To anonimowa, ukryta uliczka, słabo oświetlona i niezbyt reprezentacyjna, w wielu miejscach obrośnięta wspinającymi się po murach chwastami. Mało kto odgadłby, że na końcu tego cypla kryje się jeden z najpiękniejszych budynków w Wenecji.

Z drugiej strony, to miasto jest urbanistycznym dziwołagiem. Wszystko sprawia wrażenie, że zaraz się rozsypie, runie w mętłą wodę. Ale jednocześnie wszystko jest żywe, każda rzecz obezwładnia swoim pięknem i pozostawia bez tchu.

Pędzle i tempery leżą dokładnie tak, jak zostawiłam je w sobotę, w takim samym doskonałym porządku. Nikt ich nie dotykał i to mnie uspokaja. Fresk również ma się dobrze, nic mu się

---

nie stało. To wydaje się oczywiste, ale kiedy restaurowane dzieło pozostaje niechronione, może mu się przydarzyć nieskończenie wiele rzeczy. Każdego ranka nachodzi mnie niepokój, czy nie zastanę wielkiej plamy wilgoci, kolonii mrówek albo odcisniętych palców.

Z pokoju Leonarda nie dobiegają żadne oznaki życia.

Zakładam swój roboczy uniform i odstawiona jak pogromca duchów jestem gotowa do pracy. Prawie gotowa... Muszę koniecznie zakropić sobie oczy. To przez Gaię, która bez przerwy wierciła się w łóżku, i szczerze mówiąc, także z powodu Filippa, który wciąż chodził mi po głowie – nie spałam dobrze tej nocy i oczy ciążyą mi jak dwie ołowiane kule.

Przez myśl przebiega mi obraz Filippa masującego mi stopy na tamtej ławce. To działo się wczoraj wieczorem, ale teraz wydaje mi się, że to był sen. Wspomnienie jest zamglone, nie potrafię

---

odtworzyć emocji, które temu towarzyszyły. Dziwne.

Wyciągam niebieską buteleczkę z kieszeni ogrodniczek, odchylam głowę do tyłu i wpuszczam dwie krople do prawego i dwie do lewego oka. Na początku płyn powoduje pieczenie, ale po pięciu sekundach wszystko ustępuje i czuję się jak nowo narodzona.

Nagle w holu rozlega się figlarny śmiech. Wciąż widzę zamazany obraz, ale dostrzegam dwie sylwetki zbliżające się w moją stronę. Trzymają się za ręce. Leonardo i... mrugam oczami, żeby widzieć ostrzej... i piękna kobieta o bujnych włosach i porcelanowej skórze, ubrana w elegancką krótką sukienkę z czerwonego ałtasu, która nie tylko podkreśla jej zgrabne, sprężyste nogi, ale odsłania też całe plecy. Spojrzenie jasne i zadowolone. Sylwetki mogłaby jej pozazdrościć Audrey Hepburn.

– Dzień dobry, Eleno – odzywa się Leonardo, kiedy przechodzą obok mnie.



---

Nie jest ubrany wyjściowo, ma na sobie bluzę i japonki. Dziwnie kontrastuje z jej elegancją.

– Cześć – odpowiadam z wystudiowanym dystansem.

Diwa pozdrawia mnie skinieniem głowy i podąża za Leonardem, stukając obcasami po posadzce. Kierują się w stronę schodów prowadzących do wyjścia, on zmysłowym, a jednocześnie opiekuńczym gestem przesuwa dłońią po jej nagich plecach. Kontrast między jego ciemną dłońią a jej jasną skórą jest niepokojący. Nie potrafię się opędzić od tej myśli. To jasne, że spędzili razem noc, można niemal wyczuć unoszący się za nimi zapach seksu.

Chciałabym oddać się z powrotem mojej pracy, ale znów coś mi przeszkadza, tym razem huk z zewnątrz, który wprawia ściany w drżenie. To chyba silnik motorówki. Zaciekawiona odsuwam zasłonkę przeszklonych drzwi wychodzących na Canal Grande i widzę białą łódkę przycumowaną do pałacowego pomostu. Na jej

---

pokładzie jest diwa: właśnie zdjęła buty na obcasie i włożyła czarną skórzaną kamizelkę. Teraz zbliża się do burty i woła Leonarda. Ten nie daje się prosić i nachylając się z pomostu, muska jej usta w pocałunku, po czym odcumowuje i macha do niej. Diwa zakłada czarne okulary słoneczne, przesuwając dźwignię i odpływa, pozostawiając za sobą srebrzystą smugę. Przypomina to scenę z filmu, a jednak dzieje się naprawdę, tu, na moich oczach.

Poprawiam zasłonkę i wracam natychmiast do pracy. To mnie nie interesuje, powtarzam sobie, i staram się myśleć o czymś innym.

Leonardo wraca zaraz potem. Udaję, że jestem bardzo zajęta, mieszam przypadkowe pigmenty i staram się nie podnosić wzroku. On przechodzi przede mną bez słowa i po chwili znika w swojej części pałacu, pogwizdując.

Przygotowuję trochę czerwieni, wspinam się na drabinę i jestem gotowa, by zabrać się za granat. Mam nadzieję, że teraz będę mogła pracować

---

w spokoju, ale jak zwykle myśli wędrują swoimi ścieżkami, a ja zaczynam je gonić. Ciekawe, czy to była dziewczyna Leonarda, czy tylko przygoda na jedną noc... Nie mogę zapomnieć widoku jego dłoni muskającej jej nagie plecy i tego pocałunku, tak ulotnego, lecz zmysłowego.

Teraz z łazienki dobiega dźwięk leżącej się z kranu wody. Po chwili mocny, lecz fałszujący głos zaczyna wyśpiewywać melodię, która kojarzy się z latem i morzem. Leonardo przygotowuje się na zwolnionych obrotach, wygląda na to, że dziś nie spieszy się zbytnio do pracy.

Odwracam się po pędzel i widzę, że właśnie wyszedł z kąpieli i idzie w stronę holu. Z nagim torem. Ma niebieski ręcznik owinięty wokół bioder, mokre włosy i jest boso. Przypomina antycznego wojownika. Zbliża się do mnie z wyzywającą miną, a chwiejna podłoga lekko drży pod jego ciężarem.

– I jak, Eleno, co słyszeć?

---

– W porządku, dziękuję – odpowiadam niemal szeptem, demonstrując obojętność.

Staram się nie odrywać wzroku od fresku. Czuję się niekomfortowo, mała i zaniedbana w tym moim uniformie. Czemu nie pójdzie się ubrać?

– A prace? – Potrząsa głową, uwalniając chmurę kropelek. Widzę go kątem oka. Na szczęście jest w bezpiecznej odległości od ściany.

– No cóż...

– Wiesz, na tej drabinie wydajesz się bardziej w swoim żywiole niż na barowym stołku.

– Uznam to za komplement.

– To jest komplement.

Nie ma zamiaru sobie pójść. Czuję się obserwowana, prawie jak na egzaminie, i wcale mi się to nie podoba.

– Wybacz, jestem bardzo zajęta... – mówię, odwracając się w stronę fresku.

– Jasne – odpowiada, uśmiechając się, jakby doskonale to rozumiał i rozkłada ręce. – Nie lubisz,

---

jak wokół kręcą się ludzie, kiedy pracujesz. Wczoraj wieczorem wyraziłaś się bardzo jasno...

– No właśnie – cedzę przez zęby, kiedy oddała się w stronę swojej sypialni. Ale nie wiem, czy to mówię, czy tylko tak myślę.

Kiedy tylko zostaję sama, schodzę z drabiny – potrzebuję lukrecji. Przeszkadza mi czyjakolwiek obecność, ale przebywanie z nim wyprowadza mnie z równowagi.

Biorę głęboki oddech. Z cukierkiem rozpływającym się pod językiem jestem gotowa zacząć od nowa. Cholera, farba zupełnie wyschła. Za gęstą przygotowałam. Teraz muszę opróżnić pojemniczki, umyć je i dobrać odpowiednią ilość pigmentów. Spróbuję użyć płaskiego pędzelka, przynajmniej do nałożenia pierwszej warstwy, w ten sposób uwinę się szybciej.

Wspinam się znów na drabinę, jeszcze raz sprawdzam z bliska odcień ziaren barwnika i staram się dobrze go zapamiętać. Potem próbuję nowej mieszanki czerwieni i fioletu.

---

Z korytarza po prawej dobiega mnie ten sam odgłos pewnych kroków. Odwracam się instynktownie. Tym razem jest ubrany. Ma na sobie parę podartych dżinsów i białą lnianą koszulę – ten człowiek jest uzależniony od lnu. Na szyi ma szalik z czarnego jedwabiu, który powiewa przy każdym jego ruchu. Nie wiem, jakim cudem nie marznie. Jest już październik...

Podchodzi bliżej i opiera się ramieniem o drabinę. Po plecach przebiega mi dreszcz i lekko tracę równowagę. Nie mam pojęcia, co się ze mną dzieje, ale wcale mi się to nie podoba.

– Wychodzę zrobić zakupy do restauracji – mówi, spoglądając do góry. – Idę na Rialto, potrzebujesz czegoś?

– Nie, dziękuję, nie potrzebuję niczego.

– Na pewno? – przechyliła głowę lekko w bok, a światło pada na jego kolczyk, sprawiając, że zaczyna połyskiwać.

Jego oczy też błyszczą w dziwny sposób. Zda się, że wręcz się uśmiechają. Nigdy dotąd

---

zwykle zmarszczki mimiczne wokół oczu nie wydały mi się takie sexy. Boże, duch Gai przejmuję nade mną kontrolę...

– Tak, naprawdę. Nie dlatego, że się krępuję.

Otrząsam się i odwracam w stronę ściany, żeby nie stać jak ogłupiała po raz kolejny. Fresk jest moim jedynym wybawieniem.

– Aha, jeśli chcesz się dostać na Rialto, najlepiej pojechać tramwajem wodnym, inaczej możesz się zgubić – dodaję z udawaną swobodą.

– Ale czyż nie pięknie jest zgubić się w Wenecji? – wzrusza ramionami.

– Chciałam zaoszczędzić ci czasu. Wyobrażam sobie, że masz tysiąc rzeczy do załatwienia.

– Pewnie, ale najgorsze zostawiam swoim współpracownikom. Mnie przypada najciekawsza część zabawy.

Uśmiecha się, pewny siebie. Sprawia wrażenie kogoś, kto całkowicie wierzy w swój talent, kogoś, komu wszystko się udaje w sposób naturalny, bez zbyteńnego wysiłku.

---

– Jeśli masz ochotę na śniadanie, w kuchni są rogaliki i kawa, jeszcze ciepłe.

– Nie, dziękuję. Rano prawie nigdy nic nie jem... A poza tym teraz nie mogę przerwać pracy.

– Dlaczego? – wydaje się zaciekawiony.

– Nie mogę teraz odejść od koloru, w przeciwnym razie go stracę.

Leonardo przesuwa dłonią po podbródku i patrzy na mnie.

– Koloru tego granatu?

– Zgadza się – potakuję, spoglądając przed siebie. – Od dawna łamię sobie nad tym głowę, doprowadza mnie to do szału. Ma tysiąc odcieni, każdy niezwykle trudny do odtworzenia, nie mówiąc już o światłocieniu... – Mimowolnie język mi się rozwiązuje, zapalam się, mówiąc o mojej pracy. Leonardo musiał zdać sobie z tego sprawę, bo się uśmiecha. Przygląda się uważnie granatowi, potem mnie, jak gdyby głęboko się nad czymś zastanawiał.



---

Nagle milknę, nie wiem, o czym myśli, ale mówię sobie, że nie powinno mnie to obchodzić. Straciłam przez niego i tak za dużo czasu. Już mam się pożegnać, kiedy dobiega mnie znajomy głos i słowa więzną mi w gardle.

– Ele, jesteś tutaj? – na schodach rozbrzmiewa rozpoznawalny stukot obcasów. – Jest tu ktoś?

Leonardo spogląda na mnie pytająco, a ja gestem daję mu do zrozumienia, że wszystko jest pod kontrolą. W holu pojawia się Gaia: wstąpiła do domu się przebrać z wczorajszej sukienki i jak zawsze wygląda bez zarzutu. Najpierw wita się z Leonardem.

– Cześć...

– Cześć – odpowiada lekkim ukłonem.

– Wpadłam do ciebie na chwilę... – zwraca się do mnie z niewinnym uśmiechem. Kłamczucha. Od kiedy pracuję w tym pałacu, ani razu nie przyszła mnie odwiedzić. Jest tu wyłącznie z jego powodu, musiała zobaczyć gdzieś u mnie adres.

---

Kiedy chce, potrafi ujawnić swój ukryty talent detektywistyczny.

Zostaję na drabinie – niby po co miałabym schodzić? Stąd mogę przynajmniej podziwiać całość tej sceny:

– Nie miałaś mieć rano bardzo ważnego spotkania? – pytam z czystej złośliwości, by postawić ją w kłopotliwej sytuacji.

– Już załatwione! Odebrałam nawet torbę z Piccolo Mondo – spieszę poinformować i spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Może mnie w końcu przedstawiś?”.

Spostrzegam, że Leonardo taksuje ją z uznaniem, trzymając rękę w kieszeni dzinsów, a palec przy ustach.

– To jest moja przyjaciółka Gaia – mówię.

Z góry moja prezentacja brzmi dziwnie uroczyście.

– Leonardo, miło mi – energicznie ściska jej dłoń.

---

Czy jego mina wyraża bardziej oczarowanie czy rozbawienie? Nie jestem w stanie zdecydować. Wracam do mieszania kolorów, dając do zrozumienia, że nie interesuje mnie to, co się dzieje półtora metra przede mną.

– Miło mi... – słyszę głos Gai i jestem przekonana, że właśnie uwodzicielsko trzepocze rękami. Chociaż jej nie widzę, jestem pewna, że daje z siebie wszystko.

Nagle słyszę jej okrzyk:

– Ele, jaka potężna robota! Jest wielki i do tego przepiękny... – zaskoczona patrzę na nią podejrzliwie. Freski i ich konserwacja nigdy nie obchodziły jej ani trochę. – Nieprawdaż? – dodaje, odwracając się w stronę Leonarda. No tak, to był tylko pretekst, żeby nawiązać rozmowę.

– Elena wkłada pasję w to, co robi. To widać – ciepła wibracja jego głosu dociera aż do mnie.

Gaia tymczasem otworzyła sobie wyłom i śmiało prze dalej:

– A ty? Czym się zajmujesz?

---

– Jestem szefem kuchni. Rozkręcam teraz nową restaurację Brandolinich.

Wiem dokładnie, jakie będą następne słowa Gai: „Szef kuchni... ale fajnie!”.

– Szef kuchni, fajna praca.

Pomyliłam się, ale niewiele. Uśmiecham się, i tak mnie nie widzą.

Gaia zadaje zwyczajowe pytania: od kiedy jesteś w Wenecji, jak długo zostajesz, jak ci się tu podoba...

Chichocze i przytakuje za każdym razem, kiedy on coś mówi. Znam na pamięć jej arsenał uwodzicielskich sztuczek: powłóczyście spojrzenie, palce bawiące się włosami, szelmowski uśmieszek, wydęte usta...

Przechylałam się przez drabinę, żeby przyjrzeć się widowisku, a może też sprawdzić, jakie wrażenie robi na Leonardzie. Wygląda na zadowolonego. On również, tak jak każdy, uległ urokowi Gai. Ale nagle przypomina sobie o mnie i podnosi

---

wzrok. Cofam się odruchowo i prawie upuszczam pojemniczek z barwnikiem.

– Eleno, może ci przeszkadzamy?

Postanawiam być trochę uszczypliwa:

– A jak wam się wydaje?

Leonardo zwraca się znowu do Gai:

– Lepiej pójdę, zresztą jestem już spóźniony.

W każdym razie było mi bardzo miło.

– Mnie również – odpowiada ona, rozpływając się jak czekoladka na słońcu.

Leonardo żegna się z nami i rusza w kierunku wyjścia. Gaia patrzy na jego tyłek, ja patrzę na Gaię, po czym mój wzrok również nieuchronnie ląduje na przedmiocie jej zainteresowania. Potem spoglądamy na siebie nawzajem.

„Niezły...”, pomyślałyśmy razem, ale tylko ona to powiedziała.

– Jak ci się udaje pracować, kiedy ktoś taki kręci się koło ciebie?

– Jak mi się udaje pracować, kiedy wy dwoje flirtujecie tuż pode mną, chciałaś powiedzieć! –

---

parskam oburzona. – I jeszcze udajesz, że przyszłaś mnie odwiedzić... Nie masz wstydu...

– Coś w końcu muszę wymyślić, skoro ty nie jesteś skłonna do współpracy. Może zejdziesz z tej drabiny?

– Nie.

Wzdycha, opiera nogę u podstawy drabiny, a rękę na jednym ze szczebli, patrząc wciąż w kierunku, w którym odszedł Leonardo. – Tak czy inaczej, Eleno, w tym facecie jest coś niesamowitego. Musisz to przyznać, inaczej zrzucę cię z tej drabiny.

Przyjmuję strategię obojętności.

– Podaj mi tę gąbkę, przynajmniej do czegoś się przydasz.

Gaia wykonuje polecenie, potem rozgląda się dookoła, badając otoczenie, bo dotychczas nie miała na to czasu.

– On mieszka tam? – pyta, wskazując korytarz odchodzący w lewo.

– Tak.

---

– Widziałaś jego pokój?

– Nie, czemu pytasz?

– Nie wierzę... nie przyszła ci ochota, żeby udać się na przeszpiegi?

– Nie, nie przyszła... – struchlałam na myśl o tym, co ona knuje.

– A mnie tak – i rusza, nie czekając na mnie.

– Gaia, wracaj tu natychmiast! – krzyczę za nią, ale oczywiście na darmo. Jestem zmuszona zejść z drabiny.

– Co ty chcesz zrobić? Uspokój się!

Doganiam ją i łapię za rękaw, ale ona jest silniejsza oraz bardziej zmotywowana i ciągnie mnie za sobą.

– Chodź, rzucimy tylko okiem! – nalega podekscytowana.

Przeszliśmy już przez korytarz i wchodzimy po schodach prowadzących na wyższe piętro, gdzie znajduje się sypialnia Leonarda. Nie mogąc jej zatrzymać, nie mam wyjścia i idę za nią, żeby

---

dopilnować, by nie spowodowała jakiejś katastrofy albo co gorsza nie zostawiła śladów.

– Słuchaj, pakujesz mnie w kłopoty, ja tu pracuję! – próbuję uderzyć w patetyczne tony, ale zapomniałam, że temat pracy nie robi na niej większego wrażenia.

Drzwi pokoju stoją otworem. Pomieszczenie jest ogromne, tak jak sobie wyobrażałam, wygląda jak apartament w luksusowym hotelu. Na środku stoi niepościelone łóżko, jedwabna pościel, zmięta, zwisa z jednej strony. Czerwona i złota okładzina odbija się nieskończoną ilość razy w ogromnych lustrach pokrywających dwie ściany po obydwu stronach baldachimu. Całość sprawia wrażenie cieplej i eleganckiej, urządzonej z odrobiną frywolności. I nie jest z pewnością dziełem przypadku, że Brandolini dał mu właśnie ten pokój...

– Co za styl! – wykrzykuje Gaia.

– Co za burdel! – dopowiadam ja. Wszędzie panuje bałagan. Wygląda na to, że Leonardo nie



---

przejmuje się zbytńio utrzymywaniem porządku. Na obitym czerwonym aksamitem krześle z dziesięć koszul piętrzy się jedna na drugiej, a na perskim dywanie leżą dwie pary lnianych spodni.

– To zrozumiałe, że jest taki nieporządný – odzywa się Gaia ze znanstwem – to artysta.

– Tak naprawdę to kucharz – studzę ją. – Zresztą cała ta historia z geniuszem i nieporządkiem to wielka bzdura albo po prostu wymówka...

– Może i tak, ale w jego przypadku prawdziwa – nie ustępuje. – Wystarczy na niego spojrzeć, żeby wiedzieć, że jest ekscentryczny, twórczy.

– Nie gadaj. Czyli wiesz już o nim wszystko.

– Pewne rzeczy są oczywiste. Kropka.

Na stoliku nocnym stoi odkorkowana butelka Moët & Chandon i srebrna taca z dwoma kieliskami. Na jednym widać wyraźne ślady szminki.

Gaia rzuca mi wymowne spojrzenie, a ja potwierdzam to, co ona już przeczuła.

---

– Dziś rano była u niego kobieta, nie ma wątpliwości, że spędzili razem noc.

Chyba znalazłam sposób, żeby ją zneutralizować, więc pastwię się nad nią dalej:

– Na dodatek ona jest piękna, bogata i fascynująca. Praktycznie poza konkurencją. Nawet dla ciebie... Dlatego chodźmy już stąd.

– Hmm, gra staje się interesująca...

W oczach Gai pojawia się błysk zaciekawienia. Chyba osiągnęłam efekt odwrotny do zamierzonego.

– Może ona nie jest wcale jego dziewczyną. Gdyby tak było, mieszkaliby razem, prawda? – mówi dalej, czepiając się swoich domniemań. – To normalne, że taki facet może mieć więcej niż jedną kochankę.

Następnym razem muszę pamiętać, że próbując ją zniechęcić, tylko pogarszam sytuację.

Zamiast wyjść z pokoju, tak jak chciałam, Gaia podchodzi do szafy i otwiera ją. Przez moment moje spojrzenie pada na popielniczkę stojącą na

intarsjowanym stoliku i dostrzegam w niej resztki skręta. Nie mówię nic Gai, nie chciałabym dodatkowo podsycić jej zainteresowania.

– Jest fanatykiem ręcznie tkanego lnu – stwierdza, wynurzając się z wnętrza szafy. Potem podchodzi do przywalonego ciuchami krzesła i z rozmarzoną miną przebiega palcami po noszonych ubraniach Leonarda.

– Jest elegancki, ma gust... a wierz mi, u mężczyzn to rzadka cecha.

– A teraz wystarczy, zaczynasz mnie wkurzać!  
– wybucham, rezygnując z tych wszystkich strategii psychologicznych. – Chodźmy stąd, proszę!

Podchodzę do Gai, żeby wziąć ją za ramię, i wtedy mój nos przyjemnie łechce jakiś intensywny zapach, być może ambry. Wyczuwam go wyraźnie, natychmiast – to zapach Leonarda, przesiąkły nim jego ubrania. Czuję się niezręcznie, tak jakby on tu był. Ciągnę Gaię za rękaw.

---

– Daj spokój, przestań być upierdliwa... Jeszcze tylko chwilę... – protestuje, próbując się uwolnić.

Nagle odgłos z zewnątrz paraliżuje nas obie. Dobiega do nas skrzypienie zamykających się drzwi. Boże, Leonardo już wrócił.

– Widzisz? – warczę na nią w panice.

Wypadamy z pokoju, zbiegamy po schodach. Gdy tylko docieramy do holu – zdyszane i z łomoczącym sercem – niemal z rozczarowaniem stwierdzamy, że to nie Leonardo, tylko dozorca pałacu.

Doprowadzam się do porządku i mówię jak gdyby nigdy nic:

– Dzień dobry, Franco.

– Dzień dobry, *signorina*. Wstąpiłem tylko rzucić okiem. Wszystko w porządku?

– Tak, dziękuję, wszystko dobrze – po niedawnym biegu głos nieco odmawia mi posłuszeństwa. – Właśnie oprowadzałam przyjaciółkę, która przyszła mnie odwiedzić.

---

– Dzień dobry panu – mówi Gaia, pozdrawiając go gestem dłoni. Franco posyła nam życzliwe spojrzenie, którym niewątpliwie obdarowuje tylko porządne dziewczęta.

– Dobrze, a zatem ja już idę – kończy, wycofując się w kierunku wyjścia. – Jeśli czegoś pani potrzebuje...

– Dziękuję, Franco, niczego mi nie potrzeba. Do jutra.

– Do widzenia.

Kiedy drzwi się zamykają, spoglądamy sobie z Gaią w oczy. Chętnie stłukłabym ją na kwaśne jabłko, a jednak czuję, jak mięśnie twarzy rozciągają mi się w uśmiechu. Wybuchamy śmiechem, zakrywając usta dłonią tak jak wtedy, gdy byliśmy małe i właśnie coś zbroiliśmy.

Z trudem odzyskuję powagę.

– Ale teraz znikaj, jasne? – rozkazuję jej groźnym tonem. Dociera do mnie, że jest już naprawdę późno i muszę nadrobić całą zaległą pracę.

---

– Dobrze, zostawiam cię w spokoju. – Przed wyjściem Gaia odwraca się jeszcze w moją stronę i dodaje: – Ale było fajnie. I jak zawsze to moja zasługa... – mówi, puszczając mi oko.

– Znikaj – uśmiecham się.

– Cześć, jędzo.

Jest już po szóstej i godzę się z faktem, że muszę wrócić do domu, mimo że dzień nie był tak produktywny, jak na to liczyłam. Nic na to nie poradzę, nie da się pracować, kiedy wokół co chwila przewijają się jacyś ludzie! Zmarnowałam praktycznie cały rano, dopiero po południu udało mi się trochę skoncentrować, ale dałam spokój granatowi, na razie, i zrobiłam pierwszą wersję sukni Prozerpiny. Przynajmniej to wyszło mi dobrze.

Otwieram drzwi wejściowe i natychmiast zdaję sobie sprawę, że zbyt lekko podeszłam do alarmu meteorologicznego nadanego wczoraj wieczorem przez centrum ostrzegania przeciwpowodziowego.

---

Woda podnosi się w zastraszającym tempie. Powinnam była wyjść wcześniej, kiedy tylko usłyszałam syrenę alarmową, ale prawie nigdy nie zwracam na to uwagi i zawsze mi się wydaje, że minie sporo czasu, zanim woda się podniesie. Zresztą czasem nie podnosi się wcale. Tym razem zachowałam się naprawdę jak idiotka. Kalosze zostawiłam w domu, oczywiście – w końcu rano świeciło słońce! Typowe: noszę je ze sobą wtedy, kiedy nie są potrzebne, podobnie jak parasol.

Próbuję przejść kilka metrów na palcach w moich zamszowych balerinkach, przez wodę, która powoli, lecz nieubłaganie zaczyna się przelewać. To prawdziwe wyzwanie. Kiedy docieram do końca ulicy, nogi mam już całkowicie przemoczone. Mogłabym poszukać dwóch plastikowych torebek i zawiązać je sobie wokół kostek. Ale na to już raczej za późno, biorąc pod uwagę, że w ciągu pięciu minut woda podniosła się co najmniej o trzydzieści centymetrów.

---

Znajduję bezpieczną przystań na jeszcze suchym murku i zastanawiam się, co robić... chociaż zdaję sobie sprawę, że nie ma tu wiele do zastanawiania. Albo pójdę dalej w stronę domu, wiedząc, że dotrę tam zupełnie przemoczona, a ubrania będą się nadawały do wyrzucenia, albo wrócę do pałacu, ryzykując, że zostanę tam uwięziona do późnej nocy, dopóki przyplływ się nie cofnie.

I kiedy tak rozmyślałam nad tymi dwiema równie mało zachęcającymi opcjami, w drzwiach pałacu pojawia się Leonardo. Pogwizduje, a na nogach ma rybackie kalosze.

– Cześć, Eleno, co tu robisz? – pyta, gdy tylko zauważy mnie przycupniętą na murku jak bojący się wody kot.

– Staram się wrócić do domu... – odpowiadam, desperacko próbując zachowywać się z godnością. – A ty nie byłeś w restauracji?

– Byłem, ale wróciłem koło piątej. – Podchodzi do mnie, rozgarniając swoimi krokami metry sześciennie wody. – Ale byłaś tak



---

zaabsorbowana pracą, że nie zwróciłaś uwagi, a ja nie chciałem ci przeszkadzać.

– Aha.

Dotarł do mnie. Siedząc na tej wysokości, jestem prawie równie wysoka jak on.

– Co zrobimy? – obserwuje uważnie poziom wody. – Odprowadzić cię do domu?

– Jak?

– Wskakuj na mnie – mówi, poklepując się po ramieniu – a ja zajmę się resztą.

Jego propozycja brzmi nieco nieprzyzwoicie. Patrzę na niego z powątpiewaniem. Mam ochotę odpowiedzieć: „Nie przejmuj się mną, dziękuję, jakoś dam sobie radę”, ale w tej sytuacji nie byłoby to zbyt wiarygodne. Obawiam się, że będę musiała się zgodzić.

– Jesteś pewien? Nie chcę zabierać ci czasu...

– Już prawie się zgadzam...

Oddała wszelkie obiekcje machnięciem ręki, odwraca się i wskazuje na swoje plecy. OK, zgoda.

---

Jego plecy są wielkie, wydają się górą, na którą muszę się wspiąć. Pod lnianą koszulą widać mięśnie. Podnoszę nogę, niezdecydowana stawiam ją z powrotem na ziemi. Niech mnie, rano musiałam włożyć spódnice i zakolanówki. Czuję się niezręcznie, jak w podstawówce, gdy nauczycielka wf. kazała mi wspinać się na drabinki na oczach okrutnych kolegów z klasy. Próbuję jeszcze raz, opieram rękę na jego ramieniu, potem drugą, podciągam całe ciało i przywieram mocno do jego pleców. Leonardo chwytą moją nogę i obejmuje się nią w talii. A ja robię to samo z drugą.

– Gotowa? – pyta.

– Chyba tak. – Teraz moje ciało przylega do niego dokładnie. – A ty? Dasz radę?

Śmieje się.

– Jesteś lekka jak piórko.

Podtrzymuje rękami moje nagie uda, idzie krokiem tytana i w mgnieniu oka przekracza pierwszy most. Czuję, jak moje piersi przyciskają się do jego pleców. Żeby nie spaść, ręką obejmuję go

---

za szyję. Ma przyjemny zapach, ten sam, który wyczułam dziś w jego szafie. Ale przeczuwam, że pod ubraniem pachnie inaczej, że jego skóra wydziela woń bardziej autentyczną i dziką. Woń wiatru i morza.

– W którą stronę? – pyta, kiedy już przekraczamy most.

Wyjaśniam mu, z ustami o centymetr od jego ucha, szeptem, który nie wiem dlaczego ma w sobie coś nieprzyzwoitego, a potem ruszamy dalej. Leonardo idzie spokojnie, jakby to wszystko było zupełnie normalne, podczas gdy ja zadaję sobie pytanie, co do diabła robię na plecach niemal nieznanego faceta. Wszystko to jest absurdalne, a jednak mi się podoba. Czuję ciepło, które przez chwilę sprawia, że nie chcę schodzić już nigdy, chcę na zawsze tak zostać, przyklejona do Leonarda, i nagle zdaję sobie sprawę, że moje łono przyciśnięte jest do jego pleców – dzieli je jedynie materiał bielizny, bo pończochy sięgają mi tylko za

kolano. Jestem pewna, że Gaia zapłaciłaby majątek, żeby znaleźć się teraz na moim miejscu.

O Boże, zaraz się ześlizgnę...

– Na pewno jest ci wygodnie? Jesteś naprawdę leciutka. Prawie cię nie czuję... – Ściska moje nogi i lekkim podskokiem poprawia mnie sobie na plecach.

– Tak...

Jest silny, jego mięśnie są napięte, ciepła krew pulsuje w jego żyłach. Jego dłonie prześlizgują się po moich udach z naturalnością, która całkiem pokonuje moje zakłopotanie. Wydaje się, że zna już moje ciało i to sprawia, że czuję się zdezorientowana, nie wiem, co myśleć.

Na ulicy Toletta zamiatacze ulic układają drewniane kładki. Wśród dwuznacznych uśmiezków i barwnych komentarzy patrzą na mnie, jak gdybym była arabską księżniczką na grzbiecie wielbłąda. Jakby chcieli powiedzieć: „Tej to się powodzi...”. Poziom mojego zakłopotania rośnie wraz z poziomem wody, która

---

wypływa bez przerwy ze studzienek i zalewa wszystko, przenika mury, rozsadza drewniane belki. Na szczęście Leonardo nie może zobaczyć, jak czerwienią mi się policzki.

W sklepach w pośpiechu ściągają towary z dolnych półek. Na każdym kroku sprzedawcy wykrzykują przekleństwa. *Acqua alta*<sup>5</sup> jest straszna, zabiera wszystko, nie ma litości dla niczego i nikogo. Rzeczywiście, muszę przyznać – mnie się dzisiaj powiodło.

No i jesteśmy. Otwiera się przed nami drewniany most Akademii. Stąd do domu mam już tylko sto metrów i na szczęście od tego miejsca trasa wyłożona jest kładkami.

Delikatnie szczypię Leonarda w plecy.

– Możesz mnie postawić – mówię. – Stąd mogę iść sama.

Zatrzymuje się.

– Na pewno? Dla mnie to żaden problem przejść jeszcze tych kilka metrów.

---

– Nie, w porządku, naprawdę. I tak bardzo mi pomogłeś...

Przez chwilę rozważam, czy nie zaprosić go do siebie i nie zaproponować czegoś do picia, ale nie chciałabym powodować nieporozumień. I tak jak na jeden dzień dzielący nas dystans zmniejszył się już wystarczająco. Poza tym moje mieszkanie wygląda katastrofalnie, postanawiam więc uniknąć kolejnych kompromitacji.

– Koniec jazdy – oznajmia, puszczając stopniowo moje nogi i przelotnie muskając moją bieliznę. Bez wątplenia tego nie zauważył. A może po prostu to była moja wyobraźnia... Następnie ugina nogi w kolanach, chwytając mnie za ramiona i pomaga mi zejść.

Zeskakuję na kładkę i poprawiam ubranie.

– Dzięki za ratunek.

– To była przyjemność.

Patrzę mu w oczy. Naprawdę to była przyjemność? Bo dla mnie chyba tak.

– No to cześć. Do zobaczenia.

---

– Cześć, Elena, do jutra. – Robi krok w mętnej wodzie, potem odwraca się i mówi: – Fajnie było przejść się w czasie *acqua alta*, wiesz? Zawsze chciałem to zrobić... i nigdy nie pomyślałbym, że to będzie z tobą.

Uśmiecham się do niego, on też się uśmiecha i zostawia mnie samą, a Wenecja poddaje się dalej pieszczotom morza.

Dziś żadnych wymówek – muszę zmierzyć się z tym granatem, mimo że jestem ledwie żywa. Przez całą noc miałam okropne koszmary, kiedy zaś otworzyłam oczy, leżałam w poprzek łóżka, prześcieradło było skłębione, a poduszka znajdowała się na podłodze. Podniosłam się z trudem, serce pompowało mi krew do skroni i nie pomogło nawet dwadzieścia kropel relaksującego ekstraktu z lipy. Przez chwilę próbowałam porozciągać obolałe mięśnie, ale kiedy zdałam sobie sprawę, że końcówki palców u stóp jeszcze nigdy nie wydawały mi się tak odległe, porzuciłam ten pomysł.

Nie było też mowy o porannym spacerze. Z uwagi na kiepską kondycję fizyczną i marny humor postanowiłam pojechać do pracy tramwajem wodnym.



---

Opieram się o drabinę i spoglądam na granat z dołu. Wydaję z siebie westchnienie, na wpeł podziwu, na wpeł zniechęcenia.

Chciałabym powiedzieć sobie, że jestem naładowana energią, że na pewno sobie poradzę, ale to nieprawda. Boję się, że restauracja nie wyjdzie doskonale, czego sama od siebie wymagam, że w końcu będę musiała się zadowolić rezultatem przybliżonym, jakimś kolorem, który nie jest dokładnie taki sam, a tylko bezskutecznie próbuje zbliżyć się do oryginału. Już to widzę – bezimienny malarz przyjdzie do mnie nocą, we śnie, i oskarży o zniszczenie swojego arcydzieła.

Przejeżdżam dłonią po włosach, by przegonić głupie myśli, i zakładam bandanę. Muszę się skoncentrować i jakoś skończyć ten przeklęty granat. Jeśli tak dalej pójdzie, mogę stracić wizję całości i zawalić wszystko.

Dzwon kościoła San Barnaba wybił właśnie jedenastą. Zwykle o tej porze jem drugie śniadanie, jak w szkole – tak naprawdę byłoby to spóźnione

---

pierwsze śniadanie – ale teraz w ogóle nie jestem głodna. Dzień zaczął się źle i wygląda na to, że dalej będzie jeszcze gorzej. Zgubiłam też krople do oczu, akurat teraz, kiedy ich potrzebuję. „Jak zwykle z głową w chmurach”, powiedziałyby moja matka i miałyby rację. Szukam ich na podłodze w holu, mogły przecież wysunąć mi się z kieszeni, ale bez rezultatu. Cholera, i co teraz? Mam iść do apteki po nowe? Jasne, w końcu tyle już dziś zrobiłam...

Dobrze, do diabła z kroplami. Opuszkami palców robię delikatny masaż powiek, po czym wchodzę znów na drabinę, powtarzając moją nową mantrę – „dasz radę, Eleno” – i znów stoję twarzą w twarz z granatem. Patrzy na mnie wyzywająco.

Nie boję się ciebie, wcale się ciebie nie boję.

Pracuję już prawie od godziny, z marnymi wynikami, kiedy głos za moimi plecami przebija delikatną bańkę skupienia, w której udało mi się zamknąć.

– Cześć, Eleno.

---

Ferrante, tylko jego brakowało.

– Leonardo... – pozdrawiam go roztargnionym gestem, z nadzieją, że nie ma zamiaru wchodzić w interakcję.

Nie natknęliśmy się na siebie od wielu dni, od wieczora, w którym na plecach zaniósł mnie do domu. Ale od tamtej chwili, i to wbrew mnie samej, często stawał się bohaterem pewnych sekretnych i niestosownych myśli, które zazwyczaj duszę już w zarodku.

Śledzę go kątem oka. Ma w ręku brązową papierową torbę, taką jakich używa się na targu.

Patrzy na malowidło, drapiąc się dwukrotnie w podbródek, po czym podchodzi do stojącej przy ścianie kanapy i rzuca na nią pakunek, a ten z głuchym odgłosem ląduje na aksamitnym obiciu. Odwrócony do mnie plecami, zdejmuje skórzaną kamizelkę i zostaje w białej koszulce z krótkimi rękawkami. Ma ciemną, ogorzałą skórę, wyrzeźbione fizyczną pracą mięśnie ramion, dobrze widoczne żyły. Jest bardzo przystojnym

---

mężczyzną. Nie ma dwóch zdań, muszę przyznać Gai rację.

– Możesz zejść na chwilkę? – pyta.

Odwracam się do niego, marszcząc brwi, i kręcę głową.

– No chodź... – ponagla mnie zdecydowanym tonem. – Chcę zrobić eksperyment.

– Jaki eksperyment?

– Najpierw zejdź, potem ci wyjaśnię – na jego ustach maluje się dwuznaczny uśmiech.

Nie wiem, co powiedzieć, to spojrzenie niespecjalnie dodaje mi otuchy, a jednak w jego propozycji jest coś nieodpartego, co wzbudza moją ciekawość. Jednocześnie rośnie moje zakłopotanie – czuję, jak płoną mi policzki, a jedynym sposobem, żeby to przewyciężyć, jest wykonanie polecenia bez gadania. Odkładam więc pojemniczek z farbą i pędzel na ostatni stopień drabiny, po czym schodzę powoli, szczebelek po szczebelku.

---

Staję w końcu przed nim. Leonardo przygląda mi się, przenikając mnie wzrokiem.

– Dobrze – bierze głęboki oddech. – Teraz musisz zamknąć oczy.

– Hmm? – przełykam ślinę. – Mogę wiedzieć, co zamierzasz?

– To tylko próba – w jego głosie brzmi zachęta. – Ale jeśli się powiedzie, podziękujesz mi.

Zauważam, że moje dłonie lekko drżą. To nie jest normalne, że ten mężczyzna przychodzi tutaj, przerywa mi pracę, wydaje rozkazy, a ja nie potrafię mu odpowiedzieć tak, jak bym chciała. Jest w nim coś magnetycznego, coś, czego nie potrafię kontrolować ani tym bardziej się temu sprzeciwić.

Oddycham głęboko. Potem jeszcze raz, opuszczając ramiona wzdłuż ciała i teraz, tak, zamykam oczy. Oddaję się w jego ręce, wyobrażając sobie, że nie mam wyboru.

– Musisz mi przyrzec, że nie otworzysz, dopóki ci nie powiem.

– OK – potakuję. – Czuję się trochę głupio.

---

– Zaufaj mi, Eleno – uspokaja mnie. Teraz jego głos jest łagodniejszy.

Słyszę, że przesuwa się o kilka kroków. Od-  
dala się ode mnie. Potem słyszę odgłos miętego,  
rozwijanego papieru. Zakładam, że szuka czegoś  
w torbie. Podglądam przez rozchylone powieki, ale  
Leonardo jest odwrócony plecami i nic nie widzę,  
lepiej więc zamknąć oczy z powrotem. Zadaję  
sobie pytanie, czy nie powinnam się bać, w końcu  
to zupełnie obcy mężczyzna... Nie, jeśli się dobrze  
zastanowić, nie ma powodu do obaw. Tak  
naprawdę chce mi się śmiać.

– Widzę, że dobrze się bawisz... w porządku!  
Dobrze robisz – komentuje.

O matko, zauważył. Teraz zbliża się do mnie.  
Zatrzymał się – tak mi się wydaje – kilka centy-  
metrów przed moją twarzą, czuję nawet jego  
oddech.

– Teraz nie myśl o niczym. Tylko słuchaj –  
rozkazuje stanowczo.

---

Z prawej strony dobiega mnie suchy odgłos. Dźwięk jest zagadkowy, z początku twardy, potem miękki. Jak coś żywego, co rozłamuje się na pół z trzaskiem.

– Co to jest? – pytam zaskoczona.

– Musisz zgadnąć, na tym polega gra.

Wyczuwam, że się uśmiecha, czuję na twarzy jego oddech. Przybliża się coraz bardziej.

– Powąchaj.

Przysuwa tajemniczy przedmiot do mojego nosa, wciągam powietrze. Uderza mnie bardzo charakterystyczny zapach, który schodzi mi aż do gardła. Ma nutę mchu, ziemi... żywej materii.

– To owoc? – próbuję.

Leonardo nie odpowiada. Delikatnie ujmuje moje dłonie i odwraca je wierzchem do góry. Ciepły dreszcz przebiega mi po plecach i schodzi w dół między pośladkami.

– Dotknij go – szepcze. Kładzie mi na dłoniach dwie półkule.

---

Zginam lekko palce, żeby lepiej poczuć fakturę. Na zewnątrz jest gładki, a jednocześnie pomarszczony, podczas gdy w środku rozpoznaję dotykiem gęste kłębowisko ziaren pokrytych cienką błoną, porozrywaną w wielu miejscach.

Chyba wiem.

– To granat?

– Zaraz się dowiesz – Leonardo uwalnia mi rękę. – Otwórz usta, spróbuj.

Waham się, nie podoba mi się, że nie widzę tego, co zaraz znajdzie się w moich ustach, ale robię to, co mówi. Kilka chłodnych drobin ląduje na moim języku. Mają kwaskowy smak, lekko szczypią, a pod zębami czuję mięsz – twardy, słodkawy, o łykowanym rdzeniu. – Teraz otwórz oczy – mówi Leonardo.

Powoli rozchylam powieki. On stoi przede mną i patrzy na mnie zadowolony.

– To jest prawdziwy granat. Najśłodsze pochodzą z Hiszpanii, wiesz? – mówi, trzymając owoc w ręku. – Wydaje mi się, że powinnaś zacząć



---

od tego, żeby dojść do tamtego – wskazuje granat na fresku.

Ja też na niego patrzę, wciąż mając w ustach zgniecione ziarna. Ten detal, który dotychczas był jedynie siatką kształtów i kolorów, teraz nagle stał się żywy. Bardziej niż w głowie mam go w ustach, w nozdrzach, w brzuchu. I wydaje mi się, że widzę go naprawdę po raz pierwszy, że mogę odkryć jego tajemnicę. Nie wiem, co powiedzieć, jestem zupełnie oniemiała. Szukam ratunku w spojrzeniu Leonarda. On uśmiecha się do mnie.

– Czasem oczy nie wystarczą, żeby zobaczyć wszystko, nie sądzisz?

Kiwam głową, jeszcze niepewna.

– Chyba rozumiem, co chcesz powiedzieć...

– Więc powinnaś od razu wziąć się do pracy. Zostawiam cię w spokoju – i zbiera się, by odejść.

Idzie w kierunku korytarza, ale nagle wraca, jakby o czymś zapomniał, może torby z granatami albo kamizelki. A jednak nie. Na chwilę opuszcza wzrok, grzebie w kieszeni dżinsów i wyciąga moje

---

krople do oczu. – Znalazłem je wczoraj w moim pokoju – wyjaśnia, wręczając mi je. – Może będą ci potrzebne.

Skamieniała sięgam po buteleczkę. Teraz chcę tylko wybić dziurę w podłodze, zagrzebać się w niej i nie wychodzić już nigdy.

– Dziękuję, szukałam ich całe rano – mówię jak gdyby nigdy nic, na próżno starając się zamaskować rosnące zakłopotanie. – Naprawdę nie wiem, jak to znalazło się w twoim pokoju – ciągnę, a moje policzki zaczynają płonąć. Znowu. Chciałabym znaleźć stosowne alibi, ale nigdy nie potrafiłam kłamać. Ta idiotka Gaia... A ja, jeszcze większa idiotka, poszłam za nią! Teraz on myśli na pewno, że go szpieguję, albo gorzej, ma mnie za szaloną, bo przecież w jego oczach na pewno to ja jestem sprawczynią tego występku.

Leonardo spogląda na mnie porozumiewawczo, jak gdyby potrafił czytać w moich myślach. Rozbawiony wzrusza ramionami i uśmiecha się przyjaźnie, co oznacza: „Spokojnie, nic się nie

stało”. Potem, nie dodając nic więcej, idzie sobie, zostawiając mnie skamieniałą na środku holu. A ja nie wiem, czy udawać, że nic się nie stało, czy biec i schować się gdzieś, gdzie nikt nie będzie mnie szukał.

Kiedy wychodzę z pałacu, jest prawie ciemno, wzdłuż ulicy palą się już latarnie, a chłodne październikowe powietrze zmusza mnie do postawienia kołnierza płaszcz. Poprawiam włosy i wtedy dobiega mnie głos, prawie szept.

– Pssst... Bibi! – to głos Filippa.

Siedzi na brzegu miejskiej fontanny na środku placu. Gdy tylko nasze spojrzenia się spotykają, zeskakuje, ląduje na bruku, po czym otrzepuje swój prochowiec w kolorze szarego dymu.

– Twój fresk nie chciał cię puścić... – chowa telefon do kieszeni i podchodzi.

– To był owocny dzień – odpowiadam, ale postanawiam przemilczeć eksperyment Leonarda.  
– Co tu robisz?

---

– Przyszedłem się przywitać – mówi, poprawiając przewieszoną przez ramię torbę na laptop. – Nie dzwoniłem, bo wiem, że nie odbierasz, kiedy jesteś w pracy.

– Wiesz, gdybyś ty dzwonił, może bym odebrała – szturcham go żartobliwie w ramię.

Ruszamy w stronę placu San Barnaba. Cieszę się, że Filippo jest ze mną. Ma tę niezwykłą zdolność – sprawia, że czuję się przy nim swobodnie i natychmiast się odprężam.

– Muszę ci coś powiedzieć – drapie się w kark, jak gdyby szukał właściwych słów. Jego oczy smutnieją na moment.

– Co takiego?

– Jutro muszę znów jechać do Rzymu. Na stałe – mówi to jednym tchem.

– Ach, ale... – nie wiem, jak zareagować.

Być może dla niego to dobra wiadomość i nie powinnam okazywać rozczarowania, a mimo to czuję, jak do gardła podchodzi mi smak żalu.

– Nic mi nie mówiłeś...

---

– Dowiedziałem się dwie godziny temu – rozkłada ramiona w geście rezygnacji. – To decyzja szefa. Pomyślał, żeby wysłać do biura w Rzymie właśnie mnie, bo według niego mam najlepsze kwalifikacje.

– To brzmi jak awans.

– Na to by wyglądało, przynajmniej tak mówi Zonta. „Uważaj to za krok naprzód w karierze”, powiedział z tą swoją arogancką miną, rzucając mi na biurko dokumenty – Filippo wkłada ręce do kieszeni i spogląda w stronę nieokreślonego punktu na horyzoncie. – Podwyżka i oczywiście pokrycie kosztów pobytu. Wygląda na to, że to propozycja nie do odrzucenia... – mówi, naśladując głos Marlona Brando z *Ojca chrzestnego*. Ale nie wygląda na szczęśliwego.

– I nie jesteś zadowolony? – pytam bez namysłu.

– Jestem – odpowiada. – Tylko że wszystko wydarzyło się tak szybko, ledwie urządziłem się na nowo w Wenecji, a teraz znów muszę wyjeżdżać...

---

– Patrzy na mnie przez moment i mam nadzieję, że doda „a poza tym nie chcę cię zostawiać”, ale natychmiast każe sobie przestać. To jego chwila, jego kariera, sukces, na który ciężko pracował... Powinnam cieszyć się jego szczęściem i odsunąć na bok swoje egoistyczne pobudki.

– Jak długo cię nie będzie? – pytam, starając się, by nie zabrzmiało to płacziwie.

– Nie wiem dokładnie, ale na pewno to kwestia miesięcy... a początek będzie zupełnie szalony – bierze głęboki wdech, jak gdyby chciał się z czegoś zwierzyć. – Nasza pracownia będzie współpracować przy realizacji budynku projektowanego przez Renza Piano.

– Kurczę, Fil, gratulacje! Czemu nie mówiłeś tak od razu?

Ta wiadomość jest nie tylko dobra, jest fenomenalna. Niestety. Całuję go w policzek.

– To twoja życiowa szansa.

Filippo uśmiecha się grzecznie. Jego skromność jest rozbijająca i ta jego cecha bardzo mi się

---

podoba. Wiem, że jest dumny ze swoich osiągnięć, ale nie należy do tych, którzy będą się nimi chwalić. Nie zadzierałby nosa, nawet gdyby poprosili go o przeprojektowanie Empire State Building.

– Posłuchaj, mam teraz kolację z kolegami z pracowni. Zorganizowali ją na moje pożegnanie. – Po jego spojrzeniu poznaję, że nie ma na to wielkiej ochoty, ale musi tam pójść przez grzeczność. Szkoda, miałam nadzieję, że spędzimy razem chociaż ten wieczór. Ale pociesza mnie myśl, że on czuje to samo.

– A my? Chyba nie pożegnamy się w ten sposób? – protestuję.

– Przykro mi, Bibi – mówi skruszonym głosem, opuszczając wzrok. – Jutro najpierw przygotowania, potem wyjazd, nie będę miał wiele czasu.

– Cholera, Fil... – to wszystko dzieje się dla mnie za szybko.

On unosi mój podbródek i uśmiecha się pocieszająco.

---

– Ale czekam na ciebie. Musisz przyjechać do mnie do Rzymu.

– Pewnie, że przyjadę – odpowiadam z grymasem.

– Daj mi tylko trochę czasu na urządzenie się i umówimy się na weekend. OK?

– OK. – Ale ta perspektywa wcale mnie nie pociesza.

– Cieszę się, że jesteś smutna, wiesz? – i odgarnia mi z czoła kosmyk włosów. – Ja też jestem. Nie potrafię tego dobrze okazać. Ale teraz uciekam, bo tamci mnie zlinczują... albo gorzej, zastaną ich już kompletnie pijanych.

– Będzie mi ciebie strasznie brakować.

– Mnie ciebie też.

Obejmujemy się mocno, tak jakbyśmy chcieli w ten sposób odcisnąć na sobie nawzajem ślady naszych ciał. Potem całujemy się mocno w policzki i patrzymy na siebie przez chwilę, niepewni. Może oboje chcielibyśmy, żeby ten pocałunek był inny, ale szybko odrywamy wzrok od



---

siebie i przemieniamy się z powrotem w dwójkę starych przyjaciół.

– Idę. Do zobaczenia niedługo.

– Szczęśliwej podróży, Fil. I powodzenia.

Jeszcze jeden szybki uścisk i rozstajemy się, odchodząc w kierunku przeciwległych narożników placu. Odwracamy się jeszcze raz, żeby sobie pomachać, a potem ruszamy dalej, drogami, które teraz biegną już w różnych kierunkach.

Kiedy idę wolnym krokiem w stronę domu, ogarnia mnie ogromny smutek. Wydaje mi się okropnie niesprawiedliwe, że Filippo musi wyjechać właśnie w tym momencie – ledwie spotkaliśmy się znowu i zaczynaliśmy dowiadywać się o sobie nawzajem tylu rzeczy. To głupie, ale dopiero teraz zauważam, jak ważna była dla mnie jego obecność w ciągu ostatnich dwóch miesięcy.

Od ponad roku jestem sama, to znaczy w moim życiu nie ma żadnego mężczyzny, ale to nigdy specjalnie mi nie ciążyło. Odkryłam, że

---

jestem bardziej wolna i niezależna, niż sądziłam. A potem zjawił się Filippo i poczułam, że jest mi bliski jak nikt inny. Po raz pierwszy od dawna zaczęłam mieć wątpliwości, czy na pewno pisane mi być singielką.

Po chwili przed oczyma staje mi odarty ze złudzeń obraz Valeria, mojego ostatniego chłopaka. Nasza miłość zrodziła się w beztroskich czasach studiów i skończyła przy pierwszym zderzeniu z dorosłym życiem. Zastanawiam się teraz, czy wtedy naprawdę kochałam jego, czy tylko sztuczne bezpieczeństwo naszego związku. Po studiach nie cierpiałam mojej niepewnej pracy, miałam mnóstwo obaw co do przyszłości i byłam ciągle niezadowolona, a on w tamtym okresie był jednym z niewielu stałych elementów mojego życia. Tak bardzo chciałam w to wierzyć, że nie dostrzegałam, jak bardzo on sam jest delikatny, a nasze słabości złożone w całość nie przekształcały się w siłę. Rozstanie przeżyłam bardzo boleśnie, ale z perspektywy sędzę, że podjęłam

---

właściwą dla nas obojga decyzję. Valerio był tylko moją ucieczką od rzeczywistości. Problem w tym, że czasem taka ucieczka może wydawać się cholernie podobna do miłości. Ale zerwanie z nim, teraz jestem tego pewna, zaznaczyło moje wejście w świat dorosłych.

Doszłam do domu. Dosyć rozmyślania o minionych latach. Nie bez przyczyny nazywają się minionymi, a teraz rozsądnie byłoby otworzyć się na nowe rzeczy, które są przede mną. Gdybym tylko mogła spędzić więcej czasu z Filippem, może nasza przyjaźń – choć teraz mam poważne trudności z nazwaniem tak naszej relacji – przerodziłaby się w coś innego. Kto wie, może nie wszystko stracone, może w jakiś sposób odnajdziemy się jeszcze raz. Jedno jest pewne – będę tęsknić za naszymi wyjściami, za dyskusjami o filmach, za kolacjami i wygłupami. Będę tęsknić za wszystkim, co jest z nim związane. Nie ma sensu teraz temu zaprzeczać.

---

Po kolacji zakładam swój strój domowy, rzucając się na kanapę i zaczynam skakać po kanałach. Przysypiam na filmie dokumentalnym o zwierzętach sawanny, kiedy ktoś dzwoni do drzwi. Patrząc na zegarek: jest prawie północ. Kto to może być o tej porze? Z lekką obawą zerkam przez wizjer i widzę przed sobą blond czuprynę. A niżej – zielone oczy Filippa.

– Hej, cześć – mówię, otwierając drzwi, trochę zdeorientowana.

– Przechodziłem tędy i chciałem sprawdzić, czy jeszcze nie śpisz – oznajmia z szelmowskim uśmiechem.

– Jeszcze nie, oglądałam trochę telewizję – odsuwam się na bok.

Filippo wchodzi, a ja idę za nim do pokoju. Zachowuje się dziwnie, jest spięty, skrępowany. Wskazuję na kanapę, po czym siadam obok niego. Jest wręcz trupio blady, zaczynam się niepokoić.

– Coś jest nie tak? – pytam ostrożnie.

---

– Nie, ale chciałem porozmawiać z tobą, zanim...

– Fil, nie rozmyśliłeś się chyba? Nie chcesz już jechać?

– Nie, nie o to chodzi.

– Więc o co?

– O ciebie, Eleno.

O mnie. W porządku, teraz wszystko jest jasne: Filippo postanowił wyjawić, co do mnie czuje i chce to zrobić na parę godzin przed przeprowadzką do innego miasta. Wspaniale – nie jestem ani trochę gotowa, mam na sobie najgorsze ubranie z całej mojej garderoby i nawet nie umyłam zębów.

– Nie chciałem wyjechać, nie mówiąc ci, jak bardzo mi na tobie zależy – ciągnie.

– Przecież wiem, jak bardzo mnie kochasz. – Nie przychodzi mi do głowy nic lepszego, potem próbując rozluźnić atmosferę, uśmiecham się i czochram jego włosy. Niemal mam nadzieję, że poprzestanie na tym, że nie doda nic więcej.

– Nie, nie wiesz. – Ujmuję moją dłoń i składa na niej długi pocałunek. Ciepło jego ust rozprzestrzenia się wzdłuż mojego ramienia i trafia prosto do serca. Potem, nic nie mówiąc, przysuwa się i całuje także moje usta, lekko, niepewnie, jakby prosił mnie o pozwolenie.

Nie cofam się, przeciwnie, zbliżam się do niego. Masz moje pozwolenie, Fil. Jego usta stają się bardziej zuchwałe, a język zaczyna powoli szukać mojego. Jego dłonie, tak delikatne, obejmują moją głowę, chwytają moje myśli i zatrzymują je wszystkie w tym skrawku przestrzeni, której coraz mniej między nami. Przymykam powieki, wstrzymuję oddech. Teraz naprawdę się całujemy. Filippo odrywa się i patrzy mi prosto w oczy.

– Chciałem to zrobić tysiące razy, Bibi. Ale nie byłem pewien, czy ty też tego chcesz.

– Czekałam na to.

Całujemy się jeszcze i jeszcze, nie mogąc się nasycić, nie mogąc zdobyć się na odwagę, by coś

---

powiedzieć. Potem Filippo delikatnie kładzie mnie na kanapie i układa się obok mnie. Nie przestając mnie całować, wsuwa dłoń pod moją bluzę i czubkiem palców muska moją pierś. Przebiega mnie dreszcz. Patrzy na mnie, jakbym była najcenniejszą rzeczą na świecie, jakby nie mógł uwierzyć własnym oczom. I mnie też trudno uwierzyć, że po tak długim wahaniu, tylu niewykorzystanych okazjach, jesteśmy teraz tutaj, objęci i rozedrgani, z tylko jedną wspólną nocą, w czasie której mamy nadrobić stracony czas.

– Zawsze cię pragnąłem. Od pierwszej chwili – szepcze mi do ucha, po czym znów zaczyna mnie całować, w jeszcze większym uniesieniu.

Jego dłoń przesuwa się teraz po mojej skórze i pieści moje piersi, zatrzymawszy się na chwilę na małym pieprzyku w kształcie serca, który mam tuż pod lewą piersią. Filippo siada na mnie okrakiem i za jednym zamachem zdejmuje mi bluzę i koszulkę. Nie mam nic pod spodem i czuję się trochę skrępowana, na chwilę odrywam więc

---

wzrok i szukam wyłącznika lampy, by zgasić światło.

Teraz widzę jego ciało, które powoli pochyła się nade mną, czuję jego usta, które odnajdują moje już nabrzmiałe sutki i ssą je powoli, jak gdyby były z cukru. Czuję, że rozpływam się pod nim. Przesuwam płacami po jego włosach, ciesząc się tą chwilą czystego szczęścia.

Odnajduje rozporek moich dzinsów i rozsuwa go. Napinam mięśnie brzucha, kiedy jego ręka wsuwa się pod moją bieliznę. Pieści moją łechtaczkę, nie przestając całować piersi. To wspaniałe uczucie, które prawie już zapomniałam. Zatrzymuje się, ale tylko po to, by zsunąć mi spodnie, razem z majtkami. Ja też ściągam mu koszulkę, w tym czasie Filippo sam pozbywa się dzinsów. Teraz jesteśmy nadzy, w półmroku mogę dostrzec jego zgrabnie zarysowaną klatkę piersiową, jego sztywny członek, wymierzony wprost we mnie. Właśnie idę z Filippem do łóżka, powtarzam sobie po cichu, to dzieje się teraz, tutaj,



---

w moim domu, ale wciąż jeszcze trudno mi to pojąć. Myśli poruszają się wolniej niż nasze ciała.

On tymczasem zaczął znowu drażnić moją łechtaczkę, jego palce wsuwają się między wargi, a potem dalej, wypełniając pustkę. Cofam się troszkę, zaskoczona.

– Wszystko w porządku? – pyta Filippo.

– Tak – upewniam go.

Nie robiłam tego od prawie roku i prawdę mówiąc, jestem trochę niespokojna. Filippo czeka, aż będę gotowa, potem kładzie się na mnie i trzymając w ręku swoją męskość, wchodzi we mnie powoli, po troszeczkę, bez pośpiechu. Kiedy jest już całkiem w środku, bierze głębszy oddech i zaczyna poruszać się miarowym rytmem. Obejmuję go ramionami za szyję i całuję w usta, odpowiadając biodrami na jego ruchy. Pozwalam się kołysać jego ruchom i odpływam. Zapomniałam, że to może być tak piękne. Tak pełne.

Spotkanie naszych łon uwalnia dreszcze rozkoszy, które stają się coraz bardziej intensywne.

---

Aż w końcu Filippo wchodzi trochę mocniej, a ja chwytam się go, wręcz agresywnie, wydając cichy jęk. I nadchodzi orgazm, mokry, słodkawy, rozplývający się we mnie długą falą. Drzę w jego rami-onach, zupełnie tracę kontrolę, poczucie czasu i przestrzeni. Jestem zaskoczona, że Filippo daje mi coś takiego. Jestem szczęśliwa. Jak nie byłam już od dawna.

Filippo pochyła się, żeby mnie pocałować i porusza jeszcze biodrami, w poszukiwaniu swojej rozkoszy. On też dochodzi, teraz, czuję, jak jego penis pulsuje we mnie, podczas gdy on sam osuwa się na mnie z krzykiem, w którym brzmi coś na kształt wyzwolenia.

Całujemy się i przytulamy mocno, trochę oszołomieni. W tej chwili nie znajdujemy żadnych słów. Kochaliśmy się i to było piękne. Żadne z nas nie chce zadawać pytania, co zdarzy się jutro, nie teraz.

– Eleno – odzywa się Filippo, obejmując dłońmi moją twarz. – Chcę spać z tobą tej nocy.

---

– Dobrze – odpowiadam szeptem.

Podnosimy się z kanapy, trzymając się za ręce, nasze nogi wciąż jeszcze trochę drżą. Prowadzę go do mojego łóżka, kładziemy się w pościeli. Jesteśmy wciąż przytuleni, kiedy przychodzi sen.

Otwieram oczy i widzę pokój zalany jasnoniebieskim światłem. Wczoraj nie zamknęłam okiennic i przez okno wpada blask poranka. Odwracam się do Filippa, ale on już jest na nogach i ubiera się. Uśmiecha się do mnie.

– Śpij dalej, jest jeszcze wcześnie. Ja muszę iść się spakować.

Nie słucham i siadam na łóżku. Spoglądamy na siebie, świadomi, że teraz będzie jeszcze trudniej się żegnać. Filippo siada obok mnie i układa mi włosy, które na pewno są zupełnie potargane. Boże, nie chcę mu się zapisać w pamięci w tym tragicznym stanie, w jakim jestem rano po przebudzeniu!

– Żadnych smutnych min, Bibi.

---

– Nie boisz się, że skomplikowaliśmy całą sytuację, Fil? Może zrobiliśmy właściwą rzecz w niewłaściwym momencie.

– Może, ale nie żałuję. Pragnąłem cię. I nadal cię pragnę.

– I co teraz zrobimy?

– Nie musimy koniecznie podejmować decyzji. Mamy tyle czasu, ile zechcemy. Bibi, nie myśl, że to jest pożegnanie...

– Nie, oczywiście... – odpowiadam, choć absolutnie nie jestem pewna. – Wiesz, chodzi o to, że boję się wielkich decyzji.

– Wiem, ale my nie musimy się spieszyć. Kiedy znowu się spotkamy, zaczniemy wszystko od miejsca, w którym jesteśmy teraz.

– Czyli czekamy ze wszystkim na lepsze czasy?

– Tak, przynajmniej dopóki ja jestem w Rzymie, a ty w Wenecji.

– To chyba najmądrzejszy wybór, Fil.

– To jedyny sposób, żeby nie zwariować, Bibi.

---

Obejmujemy się mocno i całujemy ostatni raz, potem Filippo wstaje. Ja też próbuję wstać, żeby go odprowadzić, ale on mnie powstrzymuje. Okrywa mnie lepiej kołdrą.

– Nie, ty zostajesz tutaj, w cieple.

Ostatni pocałunek w czoło i znika w drzwiach pokoju. Kładę się znowu i przykrywam po same włosy. Chciałabym zasnąć i wyłączyć mózg, ale to na nic, w głowie kołacze mi się już tysiąc myśli.

Noc spędzona z Filippem była pełna czułości i emocji. Zadaję sobie pytanie, czy mogłabym naprawdę się w nim zakochać. Łączyło nas zawsze specjalne porozumienie... Ale czy to wystarczy? Muszę się tego dowiedzieć, bo nie mogę pozwolić sobie na to, by popełnić błąd, a potem się wycofać. Nie z Filippem. Muszę mieć trzeźwy umysł, rozpoznać, czy nie biorę przywiązania za coś głębszego. Odległość na pewno będzie nam ciężać, ale może potrzebujemy tej próby, żeby zrozumieć prawdziwą naturę naszych uczuć?

---

Przewracam się z boku na bok, niespokojna, pogrążając się na długo w bezużytecznych analizach – jedna noc seksu i już popadłam w paranoję? – a w końcu zbieram się, wstaję i idę do kuchni zrobić herbatę.

Na stole, wsunięta pod miskę z owocami, leży biała kartka. Na niej widnieje portret kobiety nakreślony ołówkiem. To ja. Odwracam kartkę i czytam notatkę napisaną regularnym, starannym pismem w prawym dolnym rogu.

*Jesteś przepiękna...*

*Spałaś tak słodko tej nocy...*

Poniżej podpis – *Filippo*.

Opadam na krzesło, zwieszam ręce wzdłuż ciała. Przechyliłam głowę do tyłu i głośno wzdycham. Tak nie można, Fil. Jak mam myśleć trzeźwo, kiedy ty robisz coś takiego?

Filippo wyjechał trzy dni temu. Zadzwoił do mnie, kiedy tylko dotarł do Rzymu, a przedwczoraj widzieliśmy się na Skypie.

– Bibi, nie chcę cię stracić. Nie teraz – powiedział na koniec.

Musimy często się kontaktować, tak sobie powiedzieliśmy, chociaż wiemy, że maile i telefony nie wystarczą wobec dzielącej nas odległości.

Od trzech nocy źle sypiam. W ciągu dnia udaje mi się skupić na pracy, ale dokładnie w chwili, gdy kładę się do łóżka, ogarniają mnie wątpliwości, myśli, a czasem wydaje mi się, że czuję zapach Filippa z naszej jedynej nocy. Co z nami będzie? Czy może przyjść dla nas jakieś jutro? Po całych miesiącach dobrowolnej samotności mam prawo mieć taką nadzieję... A może jednak tej nocy po prostu daliśmy się ponieść emocjom związanym

---

z wyjazdem? Co naprawdę do siebie czujemy?  
A przede wszystkim – co ja czuję?

Jakby tego było mało, dzisiejszej nocy spać nie dawały mi też dwie kotki sąsiadki, pani Clelii. Ta leciwa stara panna cały rok trzyma je w zamknięciu w swoim trzydziestometrowym mieszkanku, ale kiedy kotki dostają rui i rzecz jasna wariują, wtedy pozwala im biegać wolno po ulicy. Ich rozdzierające wrzaski wystawiają na ciężką próbę mój system nerwowy i moją miłość do zwierząt.

O czwartej nad ranem miałam już dość i z workami pod oczami jak olimpijskie koła, chcąc nie chcąc podeszłam do okna, by przyjrzeć się nocnemu show, odbywającemu się niżej, na placu. Wokół kotek Clelii pięć czy sześć kotów z ulicy rozpoczęło walkę o prawo do zbliżenia.

Kłębowisko wygiętych w łuk grzbietów, parsknięcia, najeżona sierść, a potem pazury, zęby i ostre miauknięcia. Nagle kotki poddały się swej żądzy, choć nie udało mi się odgadnąć, kto był z kim w tej zwierzęcej orgii. Rano



---

rozhisteryzowana Clelia będzie ich szukać po całej okolicy... a za dwa tygodnie kotki pojawią się w domu wychudzone, całe podrapane, ale szczęśliwe. Takim to dobrze!

Dzwonek iPhone'a gwałtownie przywraca mnie do rzeczywistości. Odkładam pędzelek na szmatkę i szybko sięgam po telefon, nie zdejmując lateksowych rękawiczek – podejrzewam, kto to może być. Rzeczywiście, to Filippo, wysłał mi MMS. Ładuję szybko zdjęcie: na pierwszym planie jest on, z ufnym uśmiechem i oczami jeszcze trochę opuchniętymi po nocy, a w tle – supernowoczesny budynek, a właściwie plac budowy.

Dzień dobry, Bibi. Ja już działałam. A ty?

Tęsknię.

Z lekką melancholią spoglądam na zdjęcie jeszcze raz. Też tęsknię.

Pomysł odwiedzenia go pociąga mnie coraz bardziej i muszę przyznać, że myśl o nowych znajomościach, które Filippo może nawiązać w Rzymie, budzi we mnie zazdrość. Może

---

nadszedł czas, żebym ja też rzuciła się w wir życia i odnalazła moją erotyczną przygodę?

Wycieram ekran komórki rękawem kombinezonu i odpisuję.

Ja jak zwykle ślęczę nad freskiem, ale przynajmniej wychodzi dobrze...

Też za Tobą tęsknię. Buziak.

Potem robię sobie zdjęcie z fragmentem fresku w tle i załączam do wiadomości. Pomimo moich niepokojów i nieprzespanych nocy restauracja fresku idzie dobrze. Może dlatego, że z czasem staję się bardziej pewna siebie, może dlatego, że poskutkował eksperyment Leonarda (bo poskutkował, nie mogę odmówić mu tego sukcesu) albo po prostu po długich próbach prędzej czy później osiąga się sukces... W każdym razie, choć może to wydać się cudem, dziś granat uzyskał w końcu właściwy odcień, którego szukałam od tyłu dni.

– Ktoś się tutaj objaja... – za moimi plecami rozbrzmiewa nagle znajomy głos. Odwracam się

---

i widzę w drzwiach Gaię z markową torebką na ramieniu, pewnie kroczącą na swoich szcudłach.

Nie do wiary! Pomimo wszystkich moich gróźb i zaleceń wróciła. Opowiedziałam jej o żenującym finale naszego wypadu i kazałam jej więcej się tu nie pokazywać, a tymczasem ona przychodzi tu znowu z tą swoją bezczelną miną kogoś, kto niczego się nie boi.

Chwytam pędzel ubrudzony w temperze i wymierzam w nią:

– Odejdź, szatanie! – Po czym przychodzi mi do głowy pytanie: – Jak, do cholery, udało ci się wejść? Brama nie była zamknięta?

– Przekupiłam stróża na dole. – Puszczam do mnie oko.

Ech, nawet stary dobry Franco dał się zbałamucić.

– Wyjdź natychmiast! Pracuję, mam tysiąc rzeczy na głowie i nie chcę kłopotów – mówię jednym tchem, wymachując pędzlem nad jej jedwabną bluzką.

---

Gaia rozkłada ręce i prezentuje ten swój uśmiech, którym zamierza zawojować cały świat:

– Ele, daj spokój... tyle hałasu o krople do oczu?

– O krople do oczu?! O wszystkie wariactwa, które przez ciebie robię... – Odkładał pędzel na miejsce, ale natychmiast się orientuję, że popełniłam błąd: ona uzna to za kapitulację. I rzeczywiście, podchodzi bliżej w poszukiwaniu zgody.

– No już... moim zdaniem nic strasznego się nie stało.

Zabieram się za czyszczenie niektórych przyborów, żeby odzyskać profesjonalną wiarygodność, a ona się pochyła, szukając mojego spojrzenia. Zdaje się, że moja niechęć ją bawi.

– W każdym razie, jeśli Leonardo się nie obraził, to znaczy, że gdzieś w głębi uznał okazywane przez nas względy za miłe, prawda?

Z dłonią przy skroni udaję, że się zastanawiam:

– Albo uznał nas za dwie biedne idiotki, na których nie warto się wyżywać.

---

– Nigdy nie lekceważ męskiego narcyzmu – ripostuje Gaia z miną znawcy. – Każdy lubi być obiektem zalotów.

– Znalazłaś to w podręczniku dla stalkerów?

W tym właśnie momencie pojawia się Leonardo, jak bóstwo, które zstępuje w greckiej tragedii, z tą różnicą, że ubrany jest w podarte dżinsy i czarną skórzaną kamizelkę. Gai świecą się oczy, mnie płoną policzki.

– Dzień dobry – wita nas serdecznie i wygląda, jakby nie zwrócił uwagi na nasze reakcje, obie podejrzane, każda na swój sposób. – Dzień dobry – odpowiadamy chórem.

Leonardo spogląda na fresk i uśmiecha się porozumiewawczo.

– Wygląda dokładnie jak prawdziwy granat...

– No tak – przytakuje – po wielu próbach... – unikam jakichkolwiek wzmianek o „eksperymentach”, chroniąc się zapobiegawczo przed ciekawością Gai. Potem biorę się za wyskrobywanie

---

farby z jednego z pojemniczków, starając się wyglądać na zaaferowaną.

Leonardo zwraca się do Gai: – Często przychodzisz odwiedzić Elenę?

– Właśnie tędy przechodziłam...

„Przychodzi często odwiedzić ciebie”, myślę, wyzywając się dalej na zaschniętej farbie w pojemniczku.

Ja trzymam się z boku, a rozmowa między tamtymi rozwija się płynnie. Obecność Gai zdaje się schlebiać Leonardowi, który z pewnością już zrozumiał, że jest jej celem. Może i Gaia ma rację, świat jest pełen piękniśków, którzy lubią być adorowani.

Ale w pewnej chwili Leonardo odwraca się w moją stronę.

– Zapomniałbym powiedzieć wam o ważnej rzeczy – przesuwam ręką po włosach. – Jesteście obie zaproszone na otwarcie restauracji.

Przestaję skrobać, w ułamku sekundy przestaram się na ich rozmowę.

---

– Ach, tak? A kiedy to będzie? – pyta Gaia rozgorączkowana, siłąc się jednak na ton jak najbardziej swobodny.

– Dokładnie za tydzień. W przyszłą środę.

Pewnie, tylko tego brakuje. Już mam powiedzieć: „W przyszłą środę? Szkoda, jesteśmy już umówione...”, ale Gaia mnie uprzedza:

– Dziękuję, chętnie przyjdziemy! Prawda, Eleno?

Nawet na mnie nie patrząc, wyjmuje z torby swój BlackBerry.

– Spójrz, już zaznaczam w kalendarzu.

Przebiega palcami po klawiaturze i aktualizuje grafik, po czym – mistrzowskie posunięcie – korzysta z okazji i pyta go o numer. „Na wypadek, gdyby coś nam wypadło w ostatniej chwili...”, tłumaczy z szelmowskim uśmieszkiem.

Gaia w akcji to prawdziwe widowisko – stoję jak zahipnotyzowana i prawie zapominam się na nią zdenerwować. Jest moim niedoścignionym

---

wzorem w technikach podrywu. Zaraz za nią plasują się kotki Clelii.

Leonardo, jak gdyby wyczuł moją bezradność, mruga do mnie zachęcająco:

– Oczywiście czekam na was obydwie.

Kiwam głową, ale nie wierzę w to zbytnio. Patrzy na mnie poważnie.

– Widziałem, z jaką pasją podchodzisz do swojej pracy, Eleno. Ze mną jest tak samo. Dlatego zależy mi, żebyś zobaczyła, czym się zajmuję – mówi to, jakby naprawdę mu zależało. Nie potrafię mu nie uwierzyć. Jestem trochę zaskoczona, próbuję zebrać się w sobie.

– No nie wiem... chodzi o to, że w tym okresie mam tyle do zrobienia...

Leonardo zwraca się znów do Gai, ale patrzy wciąż na mnie:

– Gaia, liczę na ciebie. Znajdź sposób, żeby przyprowadzić ją ze sobą. Do środy, dziewczyny.



---

I odchodzi, a my zostajemy w dwóch diametralnie różnych nastrojach – ona wniebowzięta, ja zmieszana i zakłopotana.

– Czemu się zgodziłaś? – warczę na nią, przypominając sobie wszystkie przyczyny, dla których mogę być na nią zła.

– Bo nie było powodu, żeby się nie zgodzić – mówi prosto z mostu, tak jak tylko ona potrafi. Krzyżuję ramiona na piersi.

– Ja nie idę, wiedz o tym. Nie mam zamiaru iść na kolację po tym obciachu, którego mi narobiłaś.

– Ty wciąż o tym? – parska Gaia. – Daj spokój, Ele, według mnie Leonardo już o tym zapomniał. Spędzimy przyjemny wieczór, zjemy coś dobrego, może poznamy jakichś ciekawych ludzi...

– Nie ma mowy, choćbyś błagała mnie po aramejsku.

– Jeśli nie pójdziesz, ja też nie idę.

– Umrę z rozpaczy!

---

– Chcesz, żebym straciła taką okazję? Świetna z ciebie przyjaciółka! Ja dla ciebie zrobiłabym...

– Nie zaczynaj z szantażem emocjonalnym.

Gaia spogląda na swój zegarek z tarczą wysadzaną kryształkami Swarovskiego.

– Słuchaj, muszę już iść. Namysł się, a potem o tym pogadamy.

Nie rozumiem, jakie tajemnicze zakłócenie powoduje, że moje „absolutnie nie” dochodzi do jej uszu jako „pewnie tak”.

– OK, tylko już spadaj – splawiam ją, nie szukając już żadnej riposty. Jeśli o mnie chodzi, temat jest zamknięty.

– Naprawdę powiedziałaś „OK”? Dobrze słyszałam? Tak, powiedziałaś „OK”. – Gaia wymierza we mnie palec wskazujący z pomalowanym na czerwono paznokciem.

– Nie, chciałam powiedzieć...

Nie pozwala mi skończyć.

– Już powiedziałaś. Słowo się rzekło i kropka. Zadzwoń!

Przesyła mi buziaka i biegnie, niemal leci, po zabytkowej posadzce na tych swoich pręgowanych obcasach.

Wrrrr... Nienawidzę jej.

## 6.

– Lepiej ci w czerwonym – mówi Gaia, wypychając mnie przed lustro w salonie. – Popatrz na siebie, jesteś przepiękna!

Staję na palcach i robię pół obrotu, ale na widok własnego odbicia w lustrze kręcę nosem. Nie jestem przekonana. Dziś wieczorem odbędzie się tak bardzo oczekiwane – przynajmniej przez Gaię – otwarcie restauracji Brandoliniego. Właśnie z tego powodu kręcę się po mieszkaniu półnaga w poszukiwaniu przyzwoitego stroju. Gaia od dwóch godzin chodzi za mną krok w krok, to męczące. W obawie, że mogę się rozmyślić w ostatniej chwili, wparowała do mnie już ubrana, wymalowana i uczesana, ciągnąc za sobą walizkę na kółkach i dwie maksitorby pełne ubrań i dodatków. A teraz chce narzucić mi look, który sama dla mnie wybrała.

---

– Jest za krótka – protestuję, wskazując na swoje uda. – Czuję się, jakbym nie miała na sobie nic... Poza tym ta czerwień jest okropna.

Gaia kiwa głową i wznosi wzrok ku niebu:

– Nie ma dla ciebie nadziei. O modzie nie masz zielonego pojęcia...

– Daj, przymierzę jeszcze raz tę czarną od Gucciego – mówię, przygotowując się do kolejnej konfrontacji z lustrem.

Gaia w swoich turkusowych sandałach, obowiązkowo pod kolor satynowej minispódniczki, porusza się jak kotka. Idzie teraz po moją sukienkę do drugiego pokoju.

– Trzymaj – parska, rzucając nią we mnie. – Rób, jak chcesz. Jeśli zależy ci, żeby nikt cię nie zauważył...

Kiedy ona jest w łazience i poprawia makijaż, ja ściągam czerwoną sukienkę, oddalając się od lustra, by uniknąć zbyt bliskiego spotkania z moim zbyt bladym i mało sprężystym ciałem, po czym szybko wkładam czarną kieckę. Rzut oka z daleka

---

na całą figurę, drugi z bliska, do ramion, pełny obrót w miejscu. Ta jest dobra, załatwione. Bardziej mnie przekonuje, chociaż myślę, że nic nigdy nie będzie pasowało mi idealnie.

– Ale dekolt jest trochę za duży! – protestuję głośno, żeby słyszała mnie Gaia i poprawiam górę na piersiach.

– Ależ skąd – odpowiada ona, wychylając się przez próg łazienki. – Wyglądasz świetnie. Ta czerwona od Prady była lepsza, ale Gucci też daje radę...

Opieram dłonie na biodrach i wciągam brzuch. Muszę przyznać, że moja dieta oparta na pizzy i mrożonkach nie jest najlepsza dla figury.

– Ciekawa jestem, skąd je wystraszyłaś. Te sukienki kosztują jakieś zawrotne sumy.

– Proste, pożyczylam je przez internet – mruga porozumiewawczo.

Spoglądam jeszcze raz w to mordercze lustro i próbuję przekonać sama siebie – dobrze

---

wyglądam w tej sukience, jestem ładna... no, przynajmniej niczego sobie.

– A stanik? Przydałby się taki bez ramiączek. – Patrzę na Gaię w nadziei, że znajdzie rozwiązanie.

– Masz mnie za jakąś amatorkę? – Gaia wyciąga z jednej z toreb wykończony czarną koronką stanik push-up i macha mi nim przed oczami.

Wkładam go i mój biust w czarodziejski sposób staje się o rozmiar większy. Patrzę na siebie z powątpiewaniem: czy koronka na wierzchu nie będzie zbyt wulgarna?

– Trzymaj – Gaia zarzuca mi na szyję apaszkę z białego jedwabiu. – Ale nie zakrywaj się cała, tylko troszkę.

Uśmiecham się. Jeśli rozumie swoich klientów tak dobrze jak mnie, jest najbardziej niezwykłą stylistką na świecie.

– A teraz przechodzimy do butów – oznajmia, grzebiąc w jednej z toreb. Stopy już mnie zaczynają boleć.

---

– Paciotti, czarna satyna, obcas dwunastka – wylicza Gaia, pokazując mi sidła udające sandały. – I nie ma dyskusji.

– Tak, spoko... – z ust wyrywa mi się histeryczny śmiech. – Potem do chodzenia będzie mi potrzebny balkonik.

– No, Ele, jeden wieczór przeżyjesz!

Wzdycham głęboko.

– Dobrze, ale włożę je na sekundę przed wyjściem. Jeśli mogę ograniczyć swoje męki...

– Rób jak chcesz, ale w ten sposób nie będziesz miała czasu, żeby się przyzwyczaić... Gorzej dla ciebie! – i jednocześnie wyjmuję z walizki monstrualny zestaw do makijażu artystycznego.

– A teraz, moja droga... włosy i puder na nosy. Patrzę na nią podejrzliwie.

– Tylko bez przesady... – zastrzegam. Zwykle nie maluję się mocno, może dlatego, że nigdy nie nauczyłam się robić tego porządnie i kiedy już raz na jakiś czas się przykładam, mam wrażenie, że



sama sobie szkodę. A przecież podstawowe reguły przypominają zasady restauracji: najpierw trzeba dobrze oczyścić, potem przygotowuje się podkład, następnie nakłada kolor, a na koniec utrwała. Tyle że robić to na ścianie to jedno, a na swojej twarzy – to już zupełnie inna historia.

Gaia przejeżdża mi korektorem pod oczami, potem bierze podkład i nakłada mi go lateksową gąbeczką. Mogę jej zaufać. W tej dziedzinie ma wystarczającą wiedzę, by wykonać dobrą robotę.

Przygląda się mojej twarzy, podtrzymując mój podbródek między palcami.

– Masz zalotkę? – pyta.

– A jak ci się wydaje?

– Hej, nie pytam cię przecież, czy masz wibrator!

– W tej kwestii to ty jesteś ekspertką...

– Rzeczywiście, mam jedno i drugie – oświadcza z dumą. – Jakie chcesz włosy? – pyta, oprószając mi policzki różem.

– Przedziałek na boku i wystarczy. – Nie mam ochoty na tortury ze spinkami i wsuwkami, tym bardziej że to gwarancja bólu głowy.

– Mhm... ale spróbuję zrobić ci kilka fal, żeby dać wrażenie lekkości. Dziś wieczorem będziesz prawdziwą gwiazdą.

Nie ma dla mnie ratunku.

Dwie i pół godziny później w końcu jesteśmy gotowe. Gaia zeszła już na dół zapalić papierosa. Wkładam lekki płaszcz, zabieram jedwabny szal, srebrną kopertówkę, biorę pod pachę buty. Gaszę światło, zamykam drzwi na klucz i schodzę boso po schodach.

Gdy tylko pojawiając się w bramie, Gaia gasi butem niedopałek. Przytwierdzam sidła do stóp i ruszamy. Niech Bóg ma mnie w swojej opiece!

Jest dziewiąta trzydzieści wieczorem i na placu San Polo, przed wejściem do restauracji, stoi już kolejka. Impreza jest zamknięta – można wejść wyłącznie za zaproszeniem. Gaia uważa, że to

---

dobry znak, bo do środka trafią tylko wybrani. Ja nie mam zdania, nie jestem bywalczynią salonów – moim jedynym zmartwieniem na wieczór jest to, by się nie potknąć i na kogoś nie wywrócić.

Przy wejściu pokazujemy zaproszenia ochroniarzowi w czarnym dwurzędowym garniturze. Wygląda jak agent tajnych służb, ma ogoloną głowę i słuchawkę w uchu. Rzuca szybko okiem na zaproszenia i natychmiast odpina czerwoną taśmę, która zamyka przejście.

– Proszę – mówi, wpuszczając nas do środka.

– Dziękuję – odpowiadamy chórem. Gaia mruga do mnie, już podekscytowana: jest w swoim żywiole.

Przekroczywszy pierwsze wejście, przechodzimy po czerwonym dywanie przez wewnętrzny dziedziniec rozświetlony blaskiem pochodni i świec. Jakiś fotograf prawie mnie oślepią fleszem swojego aparatu. Modłę się tylko, żeby nie znaleźć się na tym zdjęciu, bo właśnie w tym momencie niezręcznie poprawiałam sobie moją fryzurę *à la*

---

*diva*. Przeklinam Gaię za te fale, a zwłaszcza za użycie lakieru. Nie mogę wyplątać palców.

Dwie modelki w nienaganych małych czarnych wyławiają nasze nazwiska z listy gości i życzą nam miłego wieczoru.

Wnętrze jest ciepłe i czarujące. Wystrój typowy dla weneckiej rezydencji szlacheckiej, arabizujące detale. Restauracja zajmuje dwa piętra, niższe jest przeszklone i wychodzi na wewnętrzny ogród. Muzyka w tle jest miękka, zapraszająca, lecz nie nachalna.

Oddział kelnerów uwija się wśród gości, trzymając tace zastawione kieliszkami z szampanem. Biorę jeden dla siebie, ledwie moczę wargi i po chwili oddaję go Gai, która już opróżniła swój.

Zaglądamy do ogrodu, który dosłownie nas oczarowuje – to prawdziwa uczta dla oczu, goście przechadzają się wśród pochodni i wiszących w powietrzu papierowych lampionów, które sprawiają, że atmosfera jest naprawdę magiczna. Przyglądam się osobom zgromadzonym wokół

---

stołów i kontempluję eksplozję szyfonów, jedwabiów, koronek i tafty. Jedyne ciągłe flesze aparatów próbują zepsuć czar tej chwili. Jest też mała ekipa telewizyjna – dziennikarka z mikrofonem w dłoni i podążający za nią kamerzysta kręcą się wśród gości, zbierając entuzjastyczne komentarze na temat przyjęcia. Podchodzi także do mnie, wyjaśniając, że materiał zostanie wyemitowany przez znaną stację telewizyjną, ale ja daję jej do zrozumienia, że to nie ma sensu. Na samą myśl zaczęłam robić się purpurowa.

Gaia już się nakręciła. Pozdrowia nieznane mi osoby, posyłając znaczące uśmiechy na prawo i lewo.

– Znasz ich? – pytam.

– Trochę – odpowiada. – Niektórych tylko z widzenia, ale zawsze lepiej się pokazać.

Kiwa głową i zrezygnowana spogląda na mnie, jakby chciała powiedzieć: „Wszystkiego cię muszę uczyć”.

---

Rzeczywiście, mogłabym wiele się od niej nauczyć, jeśli tylko chciałabym rozszerzyć swoje horyzonty towarzyskie. Rozglądam się trochę dookoła i badam sytuację. Ale tak naprawdę co ja mam wspólnego z tymi ludźmi? Delikatnie mówiąc, to nie moja bajka. Dwaj stojący niedaleko mężczyźni odwzajemniają moje spojrzenie uśmiechem. Z czego się śmieją? Może jestem potargana albo mam pastę do zębów na ustach... Chowam się za kelnerem, udając, że ich nie widzę. Nagle sobie przypominam, że jestem ubrana w naprawdę skąpy strój, i poprawiam jedwabny szal na ramionach. Tymczasem Gaia już zniknęła.

Wracam do środka, żeby jej poszukać, i dostrzegam z daleka Jacopa Brandoliniego – wreszcie jakaś znajoma twarz. Nigdy tak się nie cieszyłam na jego widok. Dyskutuje żywo z grupką jakichś ludzi, ale rozpoznał mnie i pozdrawiamy się skinieniem ręki.

Już mam do niego podejść, kiedy wśród zgromadzonych zrywa się burza oklasków. Ci, którzy

---

byli wciąż w ogrodzie, spieszą z powrotem. Wszyscy zwracają się w kierunku podium na środku sali, z którego elegancki mężczyzna w smokingu zapowiada wystąpienie:

– Panie i panowie, mam zaszczyt przedstawić wam człowieka, który z gotowania uczynił sztukę, ucztę tak dla oczu, jak dla podniebienia: oto szef kuchni Leonardo Ferrante.

Światła przygasają, temperatura sięga zenitu. W powietrze płyną dźwięki skrzypiec, a reflektory rzucają niebieskawe światło na podwyższenie, na którym pojawia się piękna skrzypaczka w czerwonej sukni. Smukłymi dłońmi odzianymi w czarne koronkowe rękawiczki podnosi elektryczne skrzypce z przezroczystego szkła, które za dotknięciem smyczka rozbłyskują niebieskim światłem. Chyba rozpoznaję tę sukienkę i kobietę również. Może to tylko moja fantazja, ale wydaje mi się, że to ta sama, którą widziałam jakiś czas temu wychodzącą z pałacu razem

---

z Leonardem. Piękność z motorówki. Tak, to ona, jestem pewna.

– Ele, widziałaś? – Gaia w czarodziejski sposób pojawia się u mojego boku. – Ta laska, która gra, jest sławna.

– Tak?

– To Arina Novikov, rosyjska skrzypaczka. W zeszłą sobotę miała koncert na Arenie w Weronie.

– A, to ta laska, z którą spędził noc Leonardo – mówię, czekając na jej reakcję.

– Hm?

– Kobieta z motorówki.

– Naprawdę?

– Tak, tak, jestem pewna.

– Cholera! – Gaia wydaje się rozbawiona, perspektywa konkurowania z tą boginią wcale jej nie martwi, przeciwnie, podnieca ją. Jest stworzona do wyzwań.

Teraz skrzypaczka rozpoczyna słynny motyw z *Zimy z Czterech pór roku* Vivaldiego, jest wprost



urzekająca. W przeciwieństwie do Gai, patrząc na nią, nie potrafię nie myśleć, że jest sto razy ładniejsza i bardziej utalentowana ode mnie.

Ale teraz spojrzenia wszystkich kierują się na środek sali, porwane przez nowe zjawisko. Leonardo zajmuje swoje miejsce, rozlegają się oklaski. Ma na sobie czarną marynarkę ze stójką, lamówką i białymi guzikami. Biała jedwabna chusta przewiązana na czole utrzymuje w ryzach jego falujące włosy, nadając mu wygląd dalekowschodniego wojownika. Naprawdę jest w nim jakiś magnetyzm.

Żółty reflektor oświetla go od tyłu, a po bokach sceny zapalają się dwie fontanny ognia. Przy wtórze *crescendo* Vivaldiego rozpoczyna się spektakl. Gaia daje mi znak, żebyśmy się zbliżyły, by mieć lepszy widok. Przeciskamy się przez tłum i udaje nam się podejść kilka metrów do przodu. Teraz jesteśmy tuż pod nim.

Leonardo bierze do ręki nóż i zaczyna kroić na cieniutkie plasterki kawałek ryby-miecza, który

---

przytrzymuje ręką na marmurowym blacie. Ten pewny chwyt jest mi znajomy i moje myśli od razu wędrują do tego wieczoru, kiedy trzymał mnie uczeponą swoich pleców i zatapiał palce w moich udach. Podczas gdy rytm muzyki się wzmacnia, Leonardo posypuje plasterki ryby czymś, co z naszego miejsca wygląda na ziarna maku. Spadają nieuchwytne spomiędzy jego ciemnych palców i osadzają się na różowym mięsie ryby, tworząc na nim mozaikę czarnych punktów. Potem Leonardo sieka czerwoną paprykę, aż ta staje się migotliwym proszkiem, a następnie z dokładnością i szybkością maszyny kroi w *julienne* koper włoski, cukinie i seler.

Patrzę z zapartym tchem – oto prawdziwy wirtuoz. Odwracam się na moment w stronę Gai, żeby wymienić porozumiewawcze spojrzenia, i dostrzegam, że ona też stoi jak zaczarowana, z utkwionym w nim wzrokiem i ustami rozchylonymi w wyrazie zdumienia.

---

Leonardo rozkłada plasterki ryby w kieszonkach z ciasta francuskiego, po czym dekoruje je pastą z warzyw i kawałeczkami skórki pomarańczowej. Jest absolutnie skoncentrowany, pewny swoich ruchów, ma napięte mięśnie szczęki, na jego skroni widoczne są żyły. Kształtuje i przemienia materię dłońmi artysty, to, co robi, jest sztuką pod każdym względem, a efekty jego pracy to małe arcydzieła dla oczu i – nie mam wątpliwości – także dla podniebienia. Leonardo uwodzi jedzeniem i jest tego świadomy, używa tej umiejętności, by porywać zmysły i umysły. Na moment spotykam jego ciemne spojrzenie i mam wrażenie, że posyła mi niemal niedostrzegalny uśmiech. Nie wiem, czy to tylko moja wyobraźnia, ale przyjemny dreszcz łaskocze mi kark.

Utwór zbliża się do finałowego *crescendo*. Leonardo kładzie na desce do krojenia zbite uprzednio surowe langustynki i kilka cienkich filetów z serioli. Urabia mięso, które w jego dłoniach

---

przelewa się niczym płyn, aż w końcu formuje z nich małe serca podzielone na pół. Na koniec posypuje ich zaokrąglenia kwiatami pomarańczy, pieprzem i ziarnami sezamu. Następnie wszystko zostaje w dekoracyjny sposób ułożone na trzech eleganckich półmiskach, a kiedy rozbrzmiewa ostatni akord skrzypiec, Leonardo kieruje do publiczności subtelny uśmiech. Rozlegają się brawa, długie i donośne. Leonardo nas podbił. Wszystkich.

Po skończonym przedstawieniu ludzie rozchodzą się po ogrodzie, gdzie na szwedzkich stołach została podana kolacja. Razem z Gaią podążam za tłumem, polując na jakiś przysmak spośród przekąsek o najróżniejszych kształtach i kolorach. Oto na naszych oczach ma miejsce triumf genialnych, ekstrawaganckich dań w miniaturze, które należy brać w dwa palce i zjadać jednym kęsem. Myślę, jak dużo czasu było potrzebne, żeby je przygotować, i jak szybko są zjadane.

---

W rzeczywistości tylko to różni je od dzieł sztuki – są wytworem kreatywnego umysłu i umiejętnej pracy rąk, jednak nie powstały po to, by trwać.

– Leonardo był wspaniały – komentuje Gaia, próbując filetu z łososia w otoczcze z omułków.

– Niesamowite... dobrze że mnie tu przyciągnęłaś – odpowiadam. – W życiu nie wyobraziłabym sobie takiego widowiska.

Dokonuję przeglądu przystawek, ale uświadomiam sobie, że o ile wyglądają smakowicie, nie są zgodne z moimi wegetariańskimi przekonaniami. Filet z łososia przybrany cykadami morskimi, ostrygi w galaretkie z wina musującego i z sosem imbirowym, grzanki z *foie gras* i piersią gołębią. Piękne, zachwycające, być może smaczne, ale nie dla mnie. Ograniczam się do spróbowania jedynych propozycji wegetariańskich: wafli parmezanowych z *radicchio* i kasztanami, a potem lodygi selera naciowego z serem robiola, gruszkami i orzechami. I tak nie jestem bardzo głodna, co często mi się zdarza, kiedy nie czuję się

---

swobodnie. A poza tym nie wiedzieć dlaczego, po występie Leonarda mam ściśnięty żołądek.

Gaia bierze mnie za rękę i pyta:

– Czy to Brandolini, o tam?

Odnajduję go wzrokiem obok dwóch blondynek, które rozplývają się we frywolnych uśmieszkach i kocich spojrzeniach.

– Tak, to on, hrabia. Jak zawsze otoczony przez kobiety.

– No... niezły jest – komentuje Gaia.

Spoglądam na nią, żeby sprawdzić, czy mówi to na poważnie. Tak.

– Jest w nim coś szczególnego, widać, że ma klasę. Kolejny, którego powinnaś mi przedstawić... ale jeśli będę czekać na Ciebie...

Przyglądam mu się, starając się zrozumieć, co ona może w nim widzieć, i zdaję sobie sprawę, że nie jestem obiektywna – Brandolini jest moim pracodawcą, a ponieważ w tych sprawach jestem bardzo zasadnicza, nie potrafię odbierać go inaczej. Nagle zza jego pleców wyłania się

Leonardo. Zdjął już z czoła jedwabną przepaskę, a zamiast uniformu szefa kuchni włożył jedną ze swoich koszul z ręcznie tkanego lnu, białą. Jacopo ściska jego dłoń i składa gratulacje, poklepując po przyjacielsku po ramieniu.

– Widział nas? – pyta Gaia, stając przede mną, odwrócona do niego plecami.

Zerkam na niego ponad jej ramieniem. Rozmawia z hrabią i jego haremem.

– Nie wydaje mi się.

– Podejźmy się przywitać, co myślisz?

– Może poczekajmy, aż będzie wolny.

Gaia popija niecierpliwie z kieliszka.

– Chyba nie chcemy, żeby te dwie nas uprzedziły...

– Poczekaj, pożegnali się z nimi, idzie w naszą stronę – mówię szeptem.

Leonardo zbliża się w naszym kierunku, a za nim podąża Brandolini. Wita się najpierw z Gaią – ta odwraca się, udając zaskoczenie; oficjalnie jest moją idolką – potem podchodzi do mnie i całuje

---

mnie w policzki. Robi to po raz pierwszy, rejestruję szorstkość jego rudawej brody i przelotny dotyk jego palców na moim biodrze.

– Gratulacje, to było spektakularne otwarcie – mówię do hrabiego, ściskając jego dłoń.

– To wszystko zasługa wielkiego szefa kuchni – Brandolini z uśmiechem zadowolenia wskazuje na Leonarda, po czym przenosi wzrok na Gaię, mierząc ją wzrokiem od stóp do głów.

Leonardo w porę interweniuje:

– To jest Gaia, nasza specjalistka od PR – uwalnia mnie od kłopotów związanych z dalszymi prezentacjami.

– Miło mi, Jacopo – hrabia podaje jej rękę i robi coś w rodzaju nieznacznego ukłonu.

– Miło mi – mruga do niego Gaia.

– A więc zajmujesz się eventami... – zaczyna Brandolini, żywo zainteresowany.

Nie rozumiem, dlaczego do Gai od razu zaczyna mówić na ty, a do mnie wciąż zwraca się per pani.



---

– Tak, razem z moją współpracowniczką mamy agencję. Zaczęliśmy trochę dla zabawy, ale potem przekształciło się to w prawdziwą pracę.

Gaia skupia na sobie uwagę.

– Jestem przekonany, że Gaia może okazać ci się bardzo pomocna, Jacopo – wtrąca Leonardo. – Może opowiesz jej o swoich pomysłach na promocję lokalu?

Hrabia w lot korzysta z okazji i zaczyna ożywioną dyskusję z Gaią, która wydaje się usatysfakcjonowana jego zainteresowaniem, choć nie przestaje rzucać spojrzeń w kierunku Leonarda. On tymczasem zbliża się do mnie i obejmuje mnie wzrokiem.

– Pięknie dzisiaj wyglądasz – mówi miękkim głosem.

– Dziękuję – odpowiadam krótko, starając się odgadnąć, czy mówi szczerze, czy to czysta kurtuazja.

– Chociaż – dotyka palcem podbródka – muszę powiedzieć, że w kombinezonie roboczym również ci do twarzy.

– Boże, nie powiedziałabym...

– Wierz mi. Nie jestem typem mężczyzny, który szasta komplementami.

Wierzę mu, w końcu trochę słodczy na ego nikomu jeszcze nie zaszkodziło. Na moment zapominał nawet o obolałych stopach i próbuję dodać sobie pewności, prostując plecy i ściągając łopatki.

Tymczasem rozmowa między Gaią a Jacopem się ożywia, oboje się śmieją i wymieniają porozumiewawcze spojrzenia. Wyglądają, jakby znali się od lat. Ale w pewnej chwili do Brandoliniego podchodzi kelner i szepcze mu coś do ucha, ten odwraca się natychmiast do Leonarda i bierze go pod ramię.

– Leo, musimy iść. Państwo Zanin czekają na nas, żeby porozmawiać o winach.

---

I oto skończyła się moja chwila chwały. Uchodzi ze mnie powietrze, jak z przebitego balonika.

– Drogie panie, jest mi niezwykle przykro – przeprasza hrabia – lecz obowiązki wzywają. Ale z pewnością zobaczymy się jeszcze później – tu wymowne spojrzenie łąduje na dekolcie Gai.

Kiedy zostajemy same, Gaia zasypuje mnie pytaniami na temat Leonarda. Chce wiedzieć dokładnie, z najdrobniejszymi szczegółami, co sobie powiedzieliśmy.

– Startował do ciebie? – pyta w końcu.

A więc o to jej chodziło.

– Nie opowiadaj głupot.

– Ele, on cię pożerał wzrokiem!

– Daj spokój!

– Bez obaw, ja się nie skarżę... Po pierwsze, nie jestem zazdrosna, po drugie, mogę zawsze pocieszyć się hrabią – mruga do mnie.

– Jesteś taka wspaniałomyślna.

---

– Dla przyjaciółki wszystko – uśmiecha się przebiegle. – W każdym razie Jacopo jest naprawdę niezły, podoba mi się.

Skoro ona tak mówi...

Ale czy Leonardo naprawdę mógłby być mną zainteresowany? Skoro Gaia zwróciła na to uwagę, może... Nie, prawdopodobnie powiedziała tak, żeby dodać mi odwagi.

– Ele, rozmazała ci się szminka.

– Pójdę do łazienki ją poprawić, idziesz ze mną?

– Nie, posiedzę tutaj – siada w fotelu w altanie.  
– Kręci mi się trochę w głowie, chyba przesadziłam z szampanem.

– Na pewno nie potrzebujesz pomocy?

– Na pewno, idź – i wypycha mnie mocno.

– OK, tylko się stąd nie ruszaj.

– Możesz być spokojna, nie miałabym nawet siły – uśmiecha się, a jej ręce osuwają się wzdłuż oparcia.

---

Kiedy wracam z łazienki, Gai oczywiście już nie ma. Szukam jej wśród tłumu, w ogrodzie, przy stołach, potem w środku, nawet na piętrze, ale bez skutku... jakby wyparowała. Na koniec wracam do ogrodu i postanawiam na nią poczekać. Mówię sobie, że wcześniej czy później musi tu przyjść. Po kilku minutach siadam, wydaję z torebki iPhone i wysyłam jej SMS z pogrózkami. Potem próbuję się do niej dodzwonić, ale ma wyłączony telefon. Kto wie, gdzie się podziała! A przede wszystkim z kim...

Nadal szukam jej wzrokiem, kiedy nagle pojawia się Leonardo. Siada obok mnie i przygląda mi się uważnie.

– I jak, podobało ci się?

– Tak, bardzo. – Poprawiam sukienkę, starając się skłonić ją, by wykonywała swoje zadanie i okrywała mnie jak należy.

– Jadłaś coś?

– Tak, troszkę...

– Troszkę? – robi oburzoną minę.

---

– Mhm... chodzi o to, że jestem wegetarianką.  
Od wielu lat.

– Aha – uśmiecha się.

Co jest takiego zabawnego w fakcie, że jestem wegetarianką?

Staram się skierować rozmowę na inne tory.

– Podobał mi się twój spektakl, wiesz?  
Tworzysz prawdziwe dzieła sztuki. Tak piękne, że prawie szkoda je jeść.

On przechyla głowę na bok.

– A kto powiedział, że pięknych rzeczy nie można jeść? – rzuca, a jego oczy stają się dziwne, jakby coś ukrywały. – Im coś jest piękniejsze, tym bardziej mam ochotę to zjeść...

Dlaczego mam wrażenie, że mówi o mnie?  
Nagle chwyta mnie za rękę i wstaje.

– Chodź, chcę dać ci do spróbowania coś wyjątkowego – mówi, ciągnąc mnie kilka metrów dalej, w stronę stołów, na których stoją różne rodzaje rumu i czekolady.

---

– Świeżo zrobione przeze mnie – Leonardo podnosi z tacy czekoladową pralinę z wyciętymi cieniutko motywami roślinnymi. Wygląda jak malutki klejnot. Zbliża ją do moich ust.

– Śmiało – zachęca z zabójczym spojrzeniem.

Otwieram usta, czuję, jak czekolada pęka pod naciskiem moich zębów i uwalnia słodki krem o cytrusowych nutach. Przytrzymuję na języku ten cudowny smak, budzący rozkosz tak intensywną, że rozpływa się po całym ciele.

– Wspaniałe – patrzę na Leonarda całkowicie rozbrojona.

Zdaje mi się, że na twarzy został mi wyraz oszołomienia, jaki zwykle pojawia się po przeżytych orgazmie, mam tylko nadzieję, że nie rzuca się zanadto w oczy.

– Dodałem tu czegoś, co powinnaś już dobrze znać – wyznaje z szelmowskim uśmiechem. Otwieram szeroko oczy ze zdziwienia i chyba wiem, co ma na myśli.

---

– No właśnie... sok z granatu. Zmieszany z ekstraktem z pomarańczy i kwiatem cytryny – i przesuwa palcem po mojej górnej wardze, prawdopodobnie by zetrzeć resztkę czekolady.

Boże, Gaia chyba miała rację, startuje do mnie. Nagle przypominam sobie o niej i pragnąc zgasić napięcie, zaczynam grzebać w torebce w poszukiwaniu komórki. Próbuję się do niej dodzwonić, ale wciąż ma wyłączony telefon.

Leonardo patrzy na mnie wyrozumiale.

– Jeśli szukasz Gai, to widziałem, jak wychodzi z Jacopem – informuje. – I nie sądzę, żeby miała wrócić – dodaje rozbawiony.

– Więc zostawiła mnie samą?

– Nie jesteś sama, jesteś ze mną – poprawia mnie, ściągając brwi.

Jeśli chciał mnie uspokoić, to mu nie wyszło. Jego zainteresowanie schlebia pewnej części mnie, lecz reszta, przerażona, chciałaby czym prędzej uciec.



---

– W każdym razie zrobiło się naprawdę późno – zauważam z nerwowym uśmiechem. – Powin-  
nam już iść.

– Odprowadzę cię kawałek.

– Nie trzeba, na pewno masz tu co robić.

– Dadzą sobie radę beze mnie – zamyka kwestię machnięciem ręki. – A poza tym naprawdę mam ochotę na spacer. – W jego oczach widać zadowolenie drapieżnika, który trzyma w zębach ofiarę.

Nie mam wyjścia.

Przechodzimy długi odcinek w milczeniu, zagłębiając się w uliczki, które znam na pamięć i po których poruszam się z kocią zwinnością, pomimo mroku. Bolą mnie stopy, ale staram się nie dać tego poznać i zmuszam się, by iść dystyngowanym krokiem.

Ulica jest pusta, a znad kanałów nadciągają gęste opary, które wciskają się w nozdrza i przenikają pod skórę, aż do kości. Potem, w jednej chwili, jak gdyby ktoś skończył ją budować

---

właśnie teraz, wyrasta przed nami bazylika dei Frari<sup>6</sup>.

– W środku jest mój ulubiony obraz Tycjana – informuję, żeby wypełnić krępującą dla mnie ciszę i wskazuję na kościół ruchem brody. – Czasem przychodzę tu popatrzeć na niego... Nie wiem czemu, ale jestem przekonana, że może przynieść mi natchnienie.

– Chodź, wejdźmy, jestem ciekawy – proponuje.

– Zapomnij, nie da rady. W nocy jest zamknięte.

– Nie sadzę, żeby to był problem – w jego głosie nie ma cienia wahania.

W sekundę Leonardo odnajduje boczne drzwi prowadzące do zakrystii i bez większego wysiłku je otwiera. Wkrada się do środka i chwyciwszy mnie za rękę, pociąga za sobą. Dlaczego nigdy nie potrafię powiedzieć mu: nie? Boję się, może włączyć się alarm albo ktoś nas zobaczy. W końcu

robimy coś zakazanego. Jestem podekscytowana i jednocześnie bardzo wystraszona.

Przez zakrystię wchodzimy do nawy bocznej i docieramy do ołtarza głównego, nad którym umieszczone jest płótno *Wniebowzięcie Najświętszej Marii Panny*. Wewnątrz panuje zupełny mrok, ale oświetlenie nad obrazem jest włączone, podobnie jak kamera monitoringu, przynajmniej na to wygląda. Świetnie! Zostanę aresztowana za znieważenie miejsca kultu.

Staram się o tym nie myśleć i mówię:

– Oto i obraz.

– Ogromny. Nie spodziewałem się, że jest taki wielki.

– Tak, ma prawie siedem metrów wysokości.

– Potężny, dużo czerwieni – komentuje Leonardo z zachwytem w oczach.

– Tycjan podjął wtedy ryzyko – przytakuje. – Nikt wcześniej nie namalował wstępującej do nieba Maryi w czerwonych szatach.

– To dlatego tak bardzo ci się podoba?

---

– Nie tylko... Chodzi o napięcie, w pionie, na całej wysokości, z dołu do góry – wyjaśniam, naśladując układ obrazu rękami. – Widzisz apostoła odwróconego plecami, który wyciąga ręce w kierunku Maryi? Wygląda, jakby podrzucał ją w górę, dając początek jej drodze do nieba.

– A więc to w nim widzisz.

– Tak.

Stoimy ramię w ramię i ten dotyk budzi we mnie falę dreszczy. Nasze oczy spotykają się na chwilę, ale natychmiast zwracam się znów w stronę obrazu i mówię dalej:

– Jest tu ciekawy detal. Może zauważyłeś, że twarz Maryi w ogóle nie jest rozpromieniona, co oznacza, że nie wstąpiła jeszcze na Firmament. Cień to wołanie świata ziemskiego, z którym Maryja pozostanie związana, dopóki nie zakończy swej wędrówki do nieba.

Leonardo przytakuje i w milczeniu nadal przygląda się obrazowi. Może to, co mówię, naprawdę budzi jego zainteresowanie... Chciałabym

---

wiedzieć, co mu chodzi po głowie – bo wyraźnie widać, że o czymś myśli – ale nie ośmielałam się zapytać.

– Ale teraz już chodźmy – błagam go – zanim ktoś przyjdzie nas aresztować.

Wychodzimy na zewnątrz i idziemy dalej. To ja dyktuję tempo i kierunek. Leonardo, ufny i cierpliwy, dotrzymuje mi towarzystwa, jak gdyby nie miał nic innego do roboty. W pewnej chwili zauważam, że został trochę z tyłu – odwracam się i widzę go opartego o balustradę mostu. Patrzy na gondolę rozświetloną kolorowymi lampkami. Podchodzę do niego. Dopiero teraz dostrzegam, że nie przygląda się gondoli – jego spojrzenie utkwione jest w wodzie.

– Kto wie, co jest tam, głęboko... Zastanawiałaś się kiedyś nad tym? – pyta.

Spoglądam w dół i uzmysławiam sobie, że w istocie nigdy nie zadałam sobie tego pytania.

---

– To miasto jest tak zajęte utrzymywaniem się na powierzchni, że nikt nigdy się nie zastanawia, co leży w głębi jego serca – snuję na głos swoje domysły.

Milczy przez kilka chwil, które wydają mi się bardzo długie, potem odwraca się do mnie i szeptem zadaje pytanie:

– Nie chciałabyś odkryć, co kryje się na dnie każdej rzeczy?

Patrzy teraz na mnie swymi ciemnymi, przenikliwymi oczami. Pojawia się w nich zwierzęcy błysk, ale to trwa tylko mgnienie oka, a potem, z grzecznym uśmiechem, odrywa się od balustrady i rusza dalej.

Idę za nim nieco zmieszana. Bliskość tego mężczyzny, sposób, w jaki do mnie mówi i mnie dotyka, jego odurzający zapach, wszystko, co się z nim wiąże, budzi we mnie jakieś dziwne poruszenie. Prawie dotarliśmy do mojego domu, a ja już przygotowuję się na pożegnanie. Spróbuje mnie pocałować? Obraz Filippa skacze mi

---

w głowie jak gumowa piłeczka, ale zaraz znika, tak jakbym nie potrafiła go zatrzymać.

Potem mówię sobie, że dam się ponieść fantazji. Być może Leonardo jest z tą boginią z motorówki, może dziś wieczorem po prostu miał ochotę się przejść i nie ma najmniejszego zamiaru mnie całować. Ale jeśli mam być ze sobą szczerą, ta druga hipoteza trochę mnie rozczarowuje.

– Ta skrzypaczka to twoja dziewczyna? – wrywa mi się nagle. Nie do końca zdałam sobie sprawę, że mówię to na głos.

Leonardo spogląda na mnie i uśmiecha się lekko:

– Nie, Eleno... Nie jestem z tych, którzy mają dziewczyny.

– Ach, rozumiem – w rzeczywistości nie rozumiem ani trochę.

Co znaczy, że nie jest „z tych, którzy mają dziewczyny”? Że chce być sam? Że bycie z kimś nie jest dla niego? Przez moment się łudzę, że da mi jakąś wskazówkę, która pomoże mi

---

rozszyfrować to zagadkowe zdanie, ale on nie mówi nic. A ja pilnuję się przed zadawaniem mu kolejnych pytań. Odważyłam się już na zbyt wiele.

W końcu jesteśmy pod bramą mojego domu.

– Dzięki, to już tutaj.

– Nie ma za co. Odprowadzanie cię do domu staje się miłym zwyczajem – mówi ciepłym, dźwięcznym głosem.

– No to cześć – przybliżam się o krok.

Leonardo dotyka dłonią mojej twarzy, okręcając sobie wokół palca kosmyk moich włosów. Czuję, jak mój oddech staje się urywany. Patrzy mi prosto w oczy, a ja zbieram się na odwagę i wytrzymuję jego spojrzenie. Potem skupiam uwagę na jego wargach. Chcę poczuć je na moich.

Ale on opuszcza powieki, uśmiecha się w ten swój niejasny sposób, a jego dłoń ześlizguje się na moje ramię.

– Cześć, Eleno, to był naprawdę piękny wieczór.



---

Zostawia na moim czole delikatny pocałunek, cofa się kilka kroków, potem odwraca się i odchodzi, wsunąwszy ręce do kieszeni marynarki. Patrzę na niego oszołomiona, jak gdybym dostała w twarz.

Wbiegam po schodach na górę. Wpadam do domu, zrywam z siebie sukienkę i ciskam ją na podłogę. Wkładam pierwszą lepszą koszulkę i nie zmywając nawet makijażu, zaszywam się w łóżku.

Myśli kołaczą mi się w głowie, a oczy wpatrują się w sufit. Jaka głupia byłam, myśląc, że ktoś taki jak Leonardo mógłby zainteresować się kimś takim jak ja. Jesteś głupią marzycielką, Eleno! A jednak nie mogę wyrzucić z głowy niektórych jego spojrzeń, jego palca na moich ustach, dłoni w moich włosach... Dosyć, Elena, śpij. Inaczej jutro nie wstaniesz i nigdy nie skończysz tego fresku.

Sięgam po iPod leżący na stoliku nocnym i zakładam słuchawki. Przyszedł czas na muzykę

tybetańską. Zwykle zapadam przy niej w głęboki sen. Cóż, sytuacje kryzysowe wymagają radykalnych środków.

Śpij dobrze, Eleno. I przestań myśleć.

Dawno już nie spałam tak dobrze jak dzisiejszej nocy. Może to dzięki tybetańskim śpiewom, a może przez zmęczenie nawarstwione w ciągu ostatnich dni – w każdym razie zapadłam w stan podobny do śpiączki, a rano po przebudzeniu czułam się, jakbym właśnie odbyła podróż w czasie.

Ale kiedy tylko otworzyłam oczy, myśli wróciły jak na zawołanie, dokładnie w tym samym miejscu, w którym przestały mnie męczyć wczoraj wieczorem. Leonardo przygniótł mnie całym ciężarem swojego uroku i tajemniczości. Nakazałam sobie przestać o nim myśleć i odzyskałam odrobinę trzeźwości umysłu, co wymagało niemałego opanowania. Teraz, kiedy jestem w pracy, analizuję całą sytuację na chłodno – jasne, chciałabym – i dochodzę do wniosku, że wczoraj wieczorem jak zwykle dałam się ponieść

---

swoim fantazjom. Leonardo po prostu zachował się bardzo elegancko. To, że mnie zauroczył, nawet jeśli nie miał takiego zamiaru, to już zupełnie inna historia. Sprawa, którą muszę szybko wyrzucić z głowy. Kiedy tu przyjdzie, przywitam się z nim jak co rano, tak jakby nasz nocny spacer w ogóle nie miał miejsca i jakbym nie doświadczyła żadnej z tych emocji, od których nie potrafię się uwolnić. Nawet teraz. Będzie mnie to kosztować sporo wysiłku – ale czy nie jestem w końcu mistrzynią panowania nad sobą? Lecz Leonardo tego nie zauważy, bo on, w przeciwieństwie do mnie, z pewnością o tym nie myśli.

A teraz, Eleno, skup się na pracy.

Odkładam przybory na ziemię, przechodzę na środek holu, jakieś dwa metry od fresku. Co jakiś czas muszę zrobić przerwę i sprawdzić z daleka efekt kolorystyczny, żeby wiedzieć, czy idę w dobrym kierunku. Spoglądam na tło, potem mój wzrok ogniskuje się na granacie, który oglądany

---

z tego miejsca wydaje się niemal trójwymiarowy. Wyszło dobrze, jestem z siebie dumna.

Robię dwa małe kroki w tył i zderzam się z czymś. Nie zdążam się nawet odwrócić, kiedy dwie mocne ręce obejmują mnie od tyłu. Leonardo! Niepowtarzalny zapach ambry wypełnia mi nozdrza, a moje ciało przylega do niego, uwięzione w słodkich okowach.

Nie mówiąc ani słowa, zanurza nos w moich włosach, wdycha mój zapach, potem pochyła się i składa głęboki pocałunek na mojej szyi. Jego szorstka broda łaskocze mnie w twarz, fala ciepłych dreszczy rozchodzi się po mojej skórze, a mój brzuch rozpala się od nieoczekiwanego i podniecającego dotyku jego ust. Jestem oszołomiona – bałam się nawet o tym marzyć, a jednak – on mnie pragnie. Jest tu, przyszedł po mnie.

Rozsupłuje bandanę zawiązaną na moim karku i ciska ją na ziemię. Potem chwytą mnie mocno za włosy i szepcze do ucha moje imię.

– Elena – mówi płomiennym głosem.

---

Robi mi się gorąco, nie mam siły, żeby cokolwiek mu odpowiedzieć. Czuję, jak wszystkie moje najskrytsze fantazje stają się rzeczywistością. Czy naprawdę tego pragnę?

– Mamy problem... – jego wargi przyciśnięte są do mojego ucha.

Tak, pragnę go...

Głaszcząc mnie po policzku, muskając palcami aż do podbródka, potem jego dłoń zsuwa się do zamka mojego kombinezonu i rozsuwa go do wysokości piersi.

Mój oddech staje się coraz szybszy, tak jak bicie serca.

– To poważny problem... – mówi to coraz gorętszym i bardziej zmysłowym głosem. – Pragnę cię.

Nagle odwraca mnie, jakbym była kukiełką, która nie jest w stanie stawić oporu. W milczeniu poddaję się jego ruchom, ale kiedy tylko nasze oczy się spotykają, opuszczam wzrok. On chwyta palcami mój podbródek i podnosi go. Potem

---

obejmuje dłońmi moją twarz i zatapia język w moich ustach. Całuje mnie. Teraz. Nie mogę w to uwierzyć.

Nikt nigdy nie wziął mnie w ten sposób. Od siły, agresji tego pocałunku aż kręci mi się w głowie. Zaraz stracę kontrolę, czuję to.

Nie odrywając się od moich ust, rozsuwa do końca zamek i uwalnia mnie z kombinezonu, który zsuwa się między tempery, gąbki i pędzle. Nim orientuję się w sytuacji, jest już za późno, by go powstrzymać i po chwili sama leżę na podłodze brudnej od kurzu i tynku, pośród porozrzucanych dookoła przyborów. Wydaje mi się, że to sen, ale wszystko jest rzeczywiste: chłód posadzki, ciepło mojego i jego ciała. W tej chwili nie pragnę niczego innego.

Ledwie zdaję sobie sprawę z tego, co się dzieje, a już Leonardo siedzi na mnie okrakiem. Jedną ręką chwyta mnie za nadgarstki i unieruchamia je nad moją głową, jakby chciał udaremnić próbę ucieczki. Potrąca przy tym kilka

pojemniczków z temperami i strużka farby wylewa się na podłogę. Purpurowa czerwień na posadzce, na jego dłoniach, na mojej bladej ręce. Czuję, jak spływa pode mnie, wzdłuż biodra. Próbuję się podnieść, to uczucie brudu jest nieznośne, ale on popycha mnie z powrotem na ziemię.

– Co chciałaś zrobić, Eleno? – szepcze. – Strasznie mi się podoba ten kolor. – Kiedy to mówi, palcami umoczonymi w temperze dotyka mnie całe, od głowy po brzuch, zostawiając krwawe ślady na mojej twarzy i na białej koszulce.

Jestem w jego mocy. Szalony strach i szalone pożądanie łomoczą w moim sercu. Całuje mnie i wtedy widzę wyraźnie wszystko: ja, on, ten pusty pałac i to, co właśnie zamierzamy zrobić.

Z wahaniem odrywam na chwilę usta od jego.

– Ktoś może wejść... – szepczę słabym głosem.

– Ćśśś. Nie myśl o niczym. – Leonardo przeszywa mnie wzrokiem, a palcem zamyka mi



---

usta. Każdy gest wykonuje z przekonaniem. Jego pewność siebie mnie podnieca.

Zrywa ze mnie dżinsy i koszulkę. Jego oczy chciwie wpatrują się we mnie. Bezczelny język znów jest w moich ustach. Chcę go i zaczynam go rozbierać, z pewnością siebie, której nie potrafię wytłumaczyć, która nie jest w moim stylu. Powoli rozpinam jego koszulę i skórzany pasek. Pod spodem jest zupełnie nagi, nie ma na sobie bokserek. Nagi i podniecony, gotowy, by we mnie wejść.

Pochyla się nad moimi nogami, rozchylając je lekko dłońmi. Całuje je nienasycenie, przesuwa powoli językiem po wewnętrznej stronie moich ud, aż w końcu chwytając zębami czarną koronkową bieliznę, która prowadzona przez jego dłonie, ląduje zwinięta na ziemi.

Dobrze, że dzisiaj akurat nie włożyłam zwykłych bawełnianych fig...

Jego język jest coraz bliżej, wsuwa się we mnie, a ja już jestem mokra i otwieram się powoli pod wpływem dotyku jego rąk.

---

– Dobrze smakujesz, tak jak myślałem. Chcę cię zjeść...

Jego język krąży, odkrywa, a ja nie mogę powstrzymać kilku westchnień czystej rozkoszy.

– Wspaniale, Eleno, właśnie tak... – jego głos jest przepełniony pożądaniem.

Podnoszę jego głowę, ciągnąc go delikatnie za włosy, a on kończy się rozbierać, ściągając spodnie, które lądują obok mojego kombinezonu.

Rozchyła mocniej moje uda, a jego twardy, gładki penis naciska na moje nabrzmiące wargi.

Nie wiem już, kim jestem. Boję się, a jednocześnie za nic nie chciałabym, żeby Leonardo przestał robić to, co robi. Czoło ma zmarszczone, mięśnie napięte. Jest w nim przemożna siła, która ma się uwolnić we mnie. Wchodzi we mnie jednym mocnym pchnięciem. Zatrzymuje się, spogląda w dół i spotyka moje oczy, zamglone pożądaniem, odurzone.

– Elena... – szepcze, przygryzając moje ucho.  
– Czuję cię. Ty też tego chcesz.

---

Zamykam oczy i wzdycham:

– Tak, chcę tego.

Głos łamie mi się z podniecenia.

Zaczyna poruszać się we mnie powoli, jakby się bał, że może mnie rozbić, i to tempo mnie obezwładnia. Potem jedno energiczne, głębokie pchnięcie, które mnie wypełnia. Zaciskam zęby i jęczę. Leonardo przyspiesza, ale tylko trochę, oddycham szybko, moje piersi podnoszą się i opadają w rwanym rytmie, a nogi zaciskają się na nim w spazmie. Porusza coraz szybciej biodrami, nie przestając całować mojej szyi. Pożera mnie.

– Dojdz, Eleno. – Teraz brzmi to jak rozkaz.

Ale nie jest potrzebny...

Czuję na sobie jego ciężar. Dłońmi trzyma moje nadgarstki. Uczynił mnie swoją niewolnicą, która nie ma najmniejszego zamiaru uciekać.

Brakuje mi oddechu, krew burzy się w moich żyłach jak szalona i napływa między nogi. Skryta, niepowstrzymana rozkosz rodzi się w moim łonie, a potem eksploduje błyskawicznie

---

i rozprzestrzenia się wszędzie. Przez długą chwilę każda cząsteczka mojego ciała przekształca się w czysty orgazm. Spontaniczny, niekontrolowany krzyk wydobywa ze mnie i z trudem udaje mi się go stłumić. Bo teraz tym krzykiem jestem ja. Choć nadal siebie nie poznaję. Jestem wstrząśnięta, zdziwiona samą sobą – nie sądziłam, że mogę osiągnąć taką rozkosz.

Teraz dochodzi też Leonardo, z niemal zwierzęcym rykiem tuż przy moich uchu, uśmiechając się lekko. Jest teraz jeszcze bardziej przystojny. I przeżywa rozkosz dzięki mnie.

Pozostaje we mnie przez czas, którego nie jestem w stanie określić. Jego oczy naprzeciwko moich. Usta naprzeciwko ust. Skóra przy skórze. Oddychamy sobą. To żywy, cielesny dźwięk. Dźwięk, który uwalnia we mnie potoki emocji.

– Nie ruszaj się – rozkazuje mi w końcu szeptem.

Odrywa się ode mnie, kładzie się obok i całuje najpierw moje piersi, później czoło, a na koniec

---

usta. Potem wsuwa ramię pod moją głowę. Leżymy tak przez pewien czas nadzy, przytuleni, nie zważając na zimną posadzkę, kurz, rozrzucone po podłodze tempery. Opieram się policzkiem o jego klatkę piersiową. Moja głowa podnosi się i opada wraz z jego oddechem.

Uczucia całkowitego zaspokojenia i zagubienia walczą ze sobą w moim sercu, w moim umyśle. Nie potrafię się odnaleźć. Gdzie jestem, kim jestem? Czyja jestem? Elena sprzed godziny teraz wydaje mi się bardzo odległa, nierealna.

W pewnym momencie czuję lekki podmuch na szyi.

– Nie, proszę – mruczę. – Bo dostanę dreszczy... zimno mi...

Zwijam się jak jeź. Leonardo się śmieje, obejmuje mnie od tyłu, okrywając mnie całą i chroniąc swoim ciepłem.

– Idziemy do mojego pokoju?

Tak.

Nie.

---

Sama nie wiem, czego teraz chcę. Jestem zbyt zdeorientowana, żeby myśleć logicznie. Potem przypomina mi się ostatni raz, kiedy uprawiałam seks – z Filippem. Wydaje mi się wręcz, że obydwa doświadczenia nie mają ze sobą nic wspólnego. A może to ja zupełnie straciłam zdolność trzeźwego myślenia i muszę zostać sama, by przetrwać to, co się wydarzyło.

– Będzie lepiej, jeśli wrócę do domu – mówię szybko. Podnoszę się z trudem, trochę kręci mi się w głowie, ale staję na nogach. Zbieram moją pobrudzoną koszulkę, wkładam ją bez stanika, potem odnajduję majtki ciśnięte między pusty pojemniczek po farbie a buteleczkę rozpuszczalnika i je również wkładam.

Leonardo podnosi się za mną. Nagi, na stojąco, sprawia jeszcze bardziej imponujące wrażenie. Ma szerokie plecy i wąskie biodra, jędrne pośladki, długie i potężne mięśnie nóg. Jego czarne oczy się śmieją – zmarszczki mimiczne wokół nich łagodzą jego męskie spojrzenie, z którego wciąż bije żądza.

Stoję i podziwiam go, urzeczona tą nieokiełznaną fizycznością, a kiedy wkłada spodnie, między jego łopatkami dostrzegam tatuaż. Przedstawia jakiś dziwny symbol, coś w rodzaju gotyckiej litery, której nie potrafię odszyfrować. Ma kształt kotwicy, ale mogłoby to również być kilka liter splecionych sznurem. Kojarzy się z morzem i czymś niemal antycznym. Jak wszystko, co jest związane z Leonardem, ma w sobie coś tragicznego i tajemniczego. Kusi mnie, żeby zapytać o jego znaczenie, ale kiedy odwraca się do mnie, opuszcza mnie odwaga.

Podchodzi do mnie, wkładając koszulę, którą pozostawia rozpiętą na piersi i całuje mnie lekko.

– Hej, wszystko w porządku?

– Tak – odpowiadam trochę zakłopotana.

Moje myśli wracają do naszego spaceru, kiedy przez cały wieczór nie odrywał ode mnie wzroku, odprowadził mnie do domu i zostawił w ten sposób, z gorzkim smakiem rozczarowania w ustach.

---

– Dlaczego nie spróbowałaś mnie pocałować wczoraj wieczorem? – pytam.

– Bo tego oczekiwałaś – odpowiada, chwytając mnie za biodra i przyciskając do siebie. – Niektóre rzeczy dają więcej przyjemności, kiedy nie jest się na nie przygotowanym.

Ma rację. Wczoraj wieczorem byłam pełna lęków i oczekiwań i być może nie pozwoliłabym sobie pójść na całość. A więc Leonardo doskonale wyczuwa moje emocje i bawi się, manipulując moimi pragnieniami. Nie wiem, jak powinnam się przez to czuć. Na pewno mnie to nie uspokaja.

Muszę teraz oddalić się na trochę, ukryć przed tym przeszywającym spojrzeniem. Uwalniam się delikatnie z jego objęć.

– Dobrze... Teraz już pójdę.

Zbieram resztę swoich rzeczy i ogarnawszy się w miarę możliwości, wychodzę w pośpiechu, zabiierając ze sobą splątany kłębek pytań bez odpowiedzi.



---

Przez cały dzień znajdowałam się w stanie przypominającym trans. Chodziłam po mieszkaniu jak automat, próbując zająć się czynnościami domowymi, ale moje myśli biegły wciąż do Leonarda. Od czasu do czasu emocje, które odczuwałam przy nim parę godzin wcześniej, ożywały, tworząc w moim brzuchu maleńkie spirale. I bezlitośnie ściskając żołądek.

Teraz jest dziewiąta wieczorem. Właśnie skończyłam jeść te cztery ziarenka ryżu basmati, który przygotowałam z pedantyczną gorliwością w próżnej nadziei, że zajmie to moje myśli. Włączam iPhone, który wcześniej z rozmysłem wyłączyłam. Chciałam być sama i zebrać myśli, bez żadnych zakłóceń z zewnątrz. Rozjaśnia się wyświetlacz, telefon wibruje raz, potem znowu i znowu, jednocześnie migając. Trzy SMS-y, wszystkie od Filippa.

Bibi, co słychać?

Dlaczego nie odpowiadasz? Martwię się...

Zobaczymy się wieczorem na Skypie?

---

Czuję płomienie na twarzy i mocne ukłucie w żołądku. Ta odrobina ryżu, którą zjadłam, nagle zamienia się w ołów. Do tej pory unosiłam się nad ziemią, teraz wiadomości od Filippa przywracają mnie do rzeczywistości. „Przepraszam, ale nie mogłam ci odpowiedzieć, bo właśnie kochałam się z innym”. Gdybym była uczciwa, to właśnie powinnam mu napisać. Ale najwyraźniej – i nie przestaje mnie to dziwić – uczciwa nie jestem.

Z lekką obawą siadam na kanapie i otwieram notebook. Filippo jest online, wysłał mi już wiadomość na Skypie. Niespecjalnie lubię wideorozmowy, ale to jedyny sposób, w jaki możemy się zobaczyć. Po tym, co się dziś wydarzyło, nie mam pojęcia, jakie wrażenie wywoła na mnie jego widok.

Oddycham głęboko, klikam na zielony guzik i dzwonię. On odbiera natychmiast i oto pojawia się przede mną – widok do ramion, który nie oddaje mu sprawiedliwości. Jego twarz jest zmieniona,

---

bardziej pociągła, pokryta kilkuniedniowym zarostem. Wydaje się wyczerpany.

– Bibi, co się z tobą działo? – zaczyna zaniepokojony. – Przeczytałaś wiadomości ode mnie?

Jego głos i twarz, tak dobrze mi znane, sprawiają, że w sercu natychmiast robi mi się cieplej. Obecność Filipa, choćby tylko wirtualna, uspokaja mnie, przywraca do treści mojego życia, do pewników, które nigdy mnie nie zdradzą.

– Tak, przepraszam, wyładował mi się telefon, a nie wzięłam ze sobą ładowarki. A do domu wróciłam późno.

– Cały czas siedziałaś nad freskiem?

– No właśnie... – przełykam ślinę, dusząc w gardle wstyd. Nie potrafię kłamać.

– Obiecałaś, że się nad nim nie wykończysz – upomina mnie. – Ale cieszę się, że tak się przykładasz, dzięki temu skończysz przed terminem.

– Miejmy nadzieję.

---

Uśmiecham się bez przekonania. Teraz do poczucia bezpieczeństwa dołącza się odrobina skrępowania. I poczucie winy. Ale on, mimo dzielącej nas odległości, widzi mnie, staram się więc oddalić jedno i drugie. W gruncie rzeczy, mówię sobie, nikogo nie zdradziłam i nie zrobiłam nic złego.

– A ty? Zapuściłeś brodę? Ładnie ci!

Rzeczywiście, do twarzy mu z zarostem, wydaje się dojrzały i bardziej sexy. Bo Filippo jest sexy, nie mogę o tym zapominać.

– Nie uwierzysz, ale zdarzają się poranki, kiedy nie mam nawet czasu się ogolić. – Przejeżdża dłonią po policzku. – Jestem zawałony robotą!

– Renzo Piano goni cię do roboty?

Uśmiecham się, patrząc, jakie robi miny.

– Ech, daj spokój... Widziałem go jeden jedyny raz, w czasie inspekcji na budowie, potem nie zaszczylił nas już swoją obecnością.

---

Następuje chwila ciszy, w trakcie której zadaję sobie pytanie o sens tej rozmowy. Rozmawiam z Filippem jak gdyby nigdy nic, jakby między nami nic się nie zmieniło, a tymczasem dziś rano zaszła we mnie głęboka zmiana. Przerywam ciszę pierwszym lepszym pytaniem, starając się o tym nie myśleć.

– A więc... jak ci jest w Rzymie?

– Dobrze, Bibi, ale brakuje cię. Poza tym cały czas jest jak wiosną.

– Zazdroścę...

– Wiesz, że błyszczą ci dziś oczy? – stwierdza nagle. – Wyglądasz jeszcze ładniej niż zwykle.

O Boże, wyglądam jak ktoś, kto dopiero co uprawiał seks. Czuję, jak twarz oblewa mi się rumieńcem i staram się to powstrzymać.

– Dziękuję...

– Wiesz, Bibi... wciąż myślę o naszej wspólnej nocy... – ściszył teraz głos. – Mam szaloną ochotę spać przytulony do ciebie.

Przygryzam wargę.

---

– No, ja też za tobą tęsknię. – I może, gdybyś został tutaj, nadal kochałabym się z tobą, nie z Leonardem. Kochała... powiedzmy: uprawiała seks. A może nie... Kto to może wiedzieć?

– Prawda, że myślisz o weekendzie w Rzymie?

– Tak... – kłamię z nadzieją, że nie zauważy. – Tylko muszę to sobie jeszcze rozplanować.

– Dobrze – w jego oczach wyczytuję rozczarowanie. – Ale nie zastanawiaj się za dużo – zastrzega.

Desperacko staram się zmienić temat.

– Co robisz dziś wieczorem?

– Powinienem skończyć jeden szkic do pracy – wzdycha. – I może, skoro mam natchnienie, potem narysuję drugi, który będzie przedstawiał ciebie. Tak jak cię pamiętam z tamtej nocy...

– Hej, uważaj, bo przewróci mi się w głowie...  
– uśmiecham się, ale jestem kłębkim nerwów. –  
No dobrze, pozwolę ci teraz popracować.

---

– OK. Tylko nie czekajmy tydzień do następnej rozmowy. Zaczynam tęsknić i mam złe myśli...

– OK.

– Bibi... – patrzy mi w oczy, jakbym naprawdę stała przed nim – ...kocham cię. – Potem posyła buziaka w stronę kamerki.

Wzdycham głęboko.

– Ja ciebie też.

Nie potrafię dłużej wytrzymać jego spojrzenia.

Noc wypełniają zmartwienia, niepokój i niepewność. Ale rano, gdy biorę gorący prysznic, widzę wszystko jaśniej. Moje najlepsze pomysły rodzą się zawsze w ciągu tych dziesięciu minut, kiedy ciepły strumień zmywa wszystkie myśli. I tak, rozprowadzając na włosach szampon i czując w nozdrzach zmysłowy zapach olejku migdałowego, sprowadzam wszystko do najprostszej decyzji – dzisiaj nie idę do pracy.

---

Nie mam najmniejszego zamiaru stawać twarzą w twarz z Leonardem. Nie wiem, co mam mu powiedzieć, nie wiem, czego mogę się po nim spodziewać. Na dodatek – szczęśliwy traf! – nie wymieniliśmy numerów telefonu, nie będzie więc mógł mnie szukać, a mnie nie najdzie pokusa, żeby wysłać mu wiadomość. Dzięki temu w pewnym sensie czuję się bezpieczniej. Wczoraj było wspaniale, intensywnie, nie mogę zaprzeczyć, to byłaby hipokryzja. Ale wszystko zdarzyło się tak szybko i nieoczekiwanie, że wciąż nie mogę w to uwierzyć. Seks z nim rzucił mnie w bezkres nowych, porywających doznań i nie doszłam jeszcze do siebie. A po rozmowie z Filippem jestem coraz bardziej zagubiona.

Oto dlaczego dziś rano siedzę w domu i udaję, że nigdzie mi się nie spieszy. Robię porządki – ta potrzeba zawsze jest aktualna, więc nie jest to nawet wymówka – a potem pójde do supermarketu na zakupy, bo lodówka znowu świeci pustkami. W ten sposób może zajmę czymś myśli.



---

Nagle dzwoni domofon. Chyba wiem, kto to. Tylko ona trzyma guzik wciśnięty nieprzerwanie przez równe dziesięć sekund.

Podnoszę słuchawkę, przygotowując się na najgorsze.

– Gaia?

– Ile można czekać? – jej piskliwy głos świdruje mi w uszach. – Mogę wejść czy w twoim łóżku leży nagi mężczyzna? Ach, dla mnie to i tak żaden problem...

– Wejdz, drzwi są otwarte.

I co mam teraz zrobić? Opowiedzieć jej wszystko czy nie?

Biję się wciąż z myślami, kiedy moim oczom ukazuje się Gaia sunąca swoim niezrównanym, kocim krokiem.

– Jeszcze w domu? Poszłam odwiedzić cię w pałacu...

– Dzisiaj nie idę do pracy.

– Źle się czujesz? – pyta, przyglądając się mojej twarzy.

---

Postanawiam, że pozwolę jej w to wierzyć, zdaję sobie bowiem sprawę, że tłumaczenie jej prawdy byłoby niezmiernie męczące. A teraz nie mam na to siły. To nie będzie kłamstwo, tylko niepowiedzenie prawdy, mówię sobie, uciszając w ten sposób sumienie. Przynajmniej trochę.

– Chyba zbliża mi się okres... Trochę boli mnie głowa – odpowiadam i żeby być bardziej wiarygodną, padam na kanapę i przykrywam nogi patchworkową narzutą w stokrotki i serca. Podarowała mi ją mama na ostatnią Gwiazdkę, a wcześniej poświęciła dwa i pół miesiąca (oraz kilka dioptrii) z igłą i nitką w ręku, żeby ją uszyć. To moja ulubiona narzuta na senne, melancholijne dni.

– Rano obudziłam się już z migreną – robię zbolaną minę, a Gaia przysiadła w nogach łóżka.

– Moja biedna przyjaciółeczka... – głaszczę mnie po policzku niemal ze współczuciem.

Być może przesadzam z tą sceną, trochę mnie poniosło. Opamiętuję się troszkę:

---

– Ale już mi lepiej.

– Wzięłaś coś?

– Nie, nie trzeba. Niedługo mi przejdzie, zawsze tak jest.

– Mówiłam ci już milion razy: musisz się oderwać od czasu do czasu – kręci głową z poważną miną. – Zwariujesz przez ten fresk.

Może nie tylko przez fresk...

– W każdym razie przyszłam przekazać ci sensacyjne wieści.

W jednej chwili Gaia robi swoją szelmowską minę i rozsiada się obok mnie, przesunąwszy moje nogi.

– Nie... – domyślam się już wszystkiego. – Jacopo Brandolini!

Potwierdza, cała zadowolona.

– To było w wieczór otwarcia – mówi, tryskając radością. – Przy okazji, wybac, że zniknęłam w ten sposób. Ale znasz mnie...

Nagle sobie przypominam, że zostawiła mnie w samym środku imprezy, i robię obrażoną minę.

---

– No tak, miałam właśnie powiedzieć, że jesteś małą.

– Wiem, wiem, ale miałam dobry powód...

Gaia podnosi ręce, jakby w geście obronnym.

– Może Leonardowi było trochę przykro, ale w pewnym sensie to on nas ze sobą spiknął...

– To znaczy?

– W którymś momencie przychodzi do mnie i mówi: „Mamy też stół ze słodyczami, nie chcesz spróbować?” Tłumaczę mu, że czekam na ciebie, ale on nalega, mówi, że niektóre trzeba zjeść obowiązkowo, póki są ciepłe.

Słucham Gai z pełną uwagą.

– W końcu go posłuchałam – ciągnie – idę do stołu i kogo tam spotykam? Jacopa we własnej osobie, wyglądał, jakby wręcz na mnie czekał. Zaczęliśmy rozmawiać, a potem straciłam poczucie czasu...

W ten sposób Leonardo zaplanował wszystko i pchnął Gaię w ramiona Jacopa, żeby zostać sam

---

na sam ze mną! Radość z tego odkrycia powoduje, że moje ciało przebiega dreszcz zadowolenia.

– A więc... jaki jest ten Brandolini? – pytam, skupiając znowu uwagę na niej.

– Sympatyczny, błyskotliwy, niezwykle elegancki. Wydaje mi się tak inny od pozostałych mężczyzn, z którymi się spotykałam... Podoba mi się.

Boże, Gaia już się rozplęwa.

– Ale zrobiliście to? – rzykuję.

– No... – na chwilę opuszcza wzrok, potem spogląda na mnie i triumfalny uśmiech rozpromienia jej twarz. – Oczywiście, że to zrobiliśmy! Za kogo mnie masz?

Uderzam ją lekko w ramię, śmiejąc się.

– Zaprosił mnie do siebie. Mieszka w cudownym pałacu, za Rialto, z freskami i kasetonowymi sufitami. Przysięgam, czułam się jak w bajce, jak Kopciuszek na balu. Poza tym on dominował, a wiesz, że to prawie nigdy mi się nie zdarza...

---

Słucham jej, zachwycona sposobem, w jaki nadaje swoim opowiadaniom pikanterii. Przynajmniej udaje jej się oderwać mnie od innych myśli.

– No i?

– No i zdobył mnie, nie mogłam mu odmówić – wzdycha. – Właściwie nie, powinnam powiedzieć: nie chciałam mu odmówić.

– Ale jaki był?

– Rewelacyjny, muszę powiedzieć... – po wyrazie jej twarzy domyślałam się, że Brandolini zna się na rzeczy. – To nie był zwykły numerek i cześć. Był bardzo delikatny, troskliwy, starał się, żebym dobrze się czuła... – mówi z rozmarzonym wzrokiem.

Na moment wracam myślami do pieszczot Leonarda i znów lekki dreszcz wstrząsa moim brzuchem.

– I co, będzie następny raz? Zobaczycie się znowu?

– Jasne, Ele! Zaprosił mnie już na jutro na kolację...

---

Wokół niej unosi się obłoczek szczęścia.  
Cieszę się razem z nią.

– Więc jeśli naprawdę było warto, wybaczam ci, że mnie wystawiłaś – mówię uroczystym tonem.

– W porządku, ale dość już gadania o mnie...  
A ty co potem robiłaś ? Nie ukrywasz czegoś przede mną?

– Nie, zabrałam się i poszłam do domu.

Czemu okłamuję najlepszą przyjaciółkę? Może powinnam jej wszystko powiedzieć? Z jednej strony bardzo bym chciała, ale muszę jeszcze poukładać myśli i boję się, że rozmowa z kimkolwiek – nawet z Gaią, która jest dla mnie jak siostra – wprowadziłaby jeszcze większy chaos. Zagryzam wargi, jak gdybym chciała powstrzymać się od wymówienia imienia Leonarda. W zamian postanawiam zwierzyć się z innego małego sekretu.

– Muszę ci coś powiedzieć.

---

Gaia natychmiast się wyprostowuje. Nagle jakby wyrosły jej czułki.

– Zamieniam się w słuch.

– Chodzi o Filippa.

Gaia przygląda mi się uważnie, już się domyśla, co chcę powiedzieć.

– No cóż... zrobiliśmy to.

– Alleluja! – wykrzykuje, klaszcząc w dłonie.

– Ale poczekaj, nie tak szybko. Wszystko zdarzyło się błyskawicznie, wieczorem przed jego wyjazdem. Niczego sobie nie obiecaliśmy i nie wiadomo, jak to się skończy...

Zaczyna podskakiwać na kanapie.

– Co cię obchodzi, jak się skończy? Ważne, że się zaczęło.

Potem milknie i patrzy na mnie skonsternowana.

– Ale nie cieszysz się?

– Tak, ale nie chcę się spieszyć. Z Filem to może być coś naprawdę poważnego, nie chciałabym zniszczyć naszej przyjaźni na darmo...



---

– Biorę głęboki oddech. – A poza tym, dopóki on jest w Rzymie, nie ma co zaczynać związku, co do tego obydwójce jesteście zgodni.

– Za dużo myślisz, Ele, zresztą jak zwykle. Widać, że jesteście dla siebie stworzeni, zawsze to mówiłam.

Uśmiecham się lekko. Wiem, że Filippo może być osobą, z którą dałoby się zbudować trwały, głęboki związek. Wystarczyłoby tylko, żebym tego chciała. I może nawet chciałam, dopóki nie pojawił się Leonardo i nie wywrócił do góry nogami wszystkich moich planów i pragnień. Teraz nie wiem już, czego chcę. Ale tego wszystkiego Gaia nie może sobie nawet wyobrazić.

– Jesteście w kontakcie?

– Tak, wczoraj rozmawialiśmy nawet na Skypie.

– Zresztą, Ele, daj spokój, Rzym nie jest przecież na drugim końcu świata. Ja za Belottim jeździłam do Flandrii – mówi z pełnym przekonaniem.

---

Gaia włożyła mnóstwo energii w absurdalne podróże za tym kolarzem, a szczerze mówiąc, nawet nie wiem, jaką rolę on pełni w jej życiu.

– Według mnie powinnaś zrobić mu niespodziankę i do niego pojechać – nie przestaje mnie dopingować.

– Zastanowię się nad tym.

– Właśnie że nie. Nie możesz się tyle zastanawiać – puka mnie delikatnie w głowę. – Wyłącz ją od czasu do czasu. To dlatego cię boli.

Uśmiecham się. Szczerze mówiąc, o ile wcześniej udawałam, to teraz naprawdę dostałam bólu głowy. Jestem tak zagubiona, że chciałabym pójść spać i nie myśleć już o niczym.

Gaia wstaje z kanapy i zakłada na ramię torebkę – znak, że jest gotowa do wyjścia. Doznaję wręcz ulgi.

– Idę. Gdybyś czegoś potrzebowała, zadzwoń.

– Nie martw się, czuję się dobrze.

– Tak, jasne... Powiedziałaabyś tak nawet, gdybym znalazła cię umierającą na podłodze.

---

Proszę, nie wspominaj o podłodze – nie jestem w stanie nie myśleć o Leonardzie, o tej czerwieni wszędzie, na ziemi, na moim ciele...

– Cześć, zadzwoń opowiedzieć mi o kolacji z Jacopem.

– Pewnie, będziesz na bieżąco. – I zgniata mnie w jednym z tych swoich huraganowych uścisków.

Po wyjściu Gai idę się przejść w kierunku muzeum Peggy Guggenheim. Dochodzi druga po południu, a o tej godzinie na ulicach jest niewielu ludzi. Turyści tłoczą się w restauracjach, a weneccanie z Dorsoduro<sup>7</sup> ucinają sobie tradycyjną drzemkę. Mam ochotę na przechadzkę w ciepłym październikowym słońcu, które ma dziś wspaniałą, czerwonoawożółtą barwę. Idę szybkim krokiem do Punta della Dogana<sup>8</sup>, a w drodze powrotnej przystaję na *campiello* Barbaro, jednym z moich ulubionych miejsc w mieście. To mało znany plac, położony z dala od najbardziej uczęszczanych szlaków. Czasem, kiedy mam zamęt w głowie,

---

przychodzę tutaj i nie wiedzieć czemu, zawsze dzieje się coś magicznego.

Siadam na ostatnim stopniu kamiennego mostka, który słońce obdarowało swoim ciepłem, i opieram plecy o ceglany murek, z którego wyrasta kilka źdźbeł trawy. Z tego miejsca wszystko wydaje się łagodniejsze, promienie ubierają dwa nagie drzewa w setki małych, migoczących gwiazdek. Na środku placyku znajduje się klomb z różami – to niesamowite, ale kwitną zawsze, nawet zimą.

Nie da się temu zaprzeczyć, a tym bardziej tego zagłuszyć – moje serce i myśli są teraz kłębowiskiem nie do rozsąpania. Dosłownie nie wiem już, co ze sobą zrobić.

Tak naprawdę bardziej niż myśli są to obrazy Leonarda, rozmazane kadry, które przelatują mi przez głowę: jego tajemnicze oczy z tymi zmarszczkami w kącikach, silne ręce, nagie, nieujarzmione ciało na moim ciele. Potem ten jego tatuaż. I nagle chwyta mnie dziwne przeczucie –

---

czuję, że przy Leonardzie mogę zrobić sobie krzywdę, że cena, jaką przyjdzie mi zapłacić za udział w tej grze, okaże się moim przekleństwem.

A Filippo? Jaka jest jego rola w tym wszystkim? Do niego również czuję coś głębokiego, ale całkiem odmiennego – nasze porozumienie ma swojski, znajomy smak, to więc przede wszystkim intelektualna i uczuciowa. Seks z nim był czuły i delikatny, tak jak między dwiema osobami, które znają się od dawna i darzą uczuciem.

Z Leonardem natomiast to było coś w rodzaju zmysłowego starcia, wywołanego jedynie żądzą naszych ciał, coś, co nie zdarzyło mi się nigdy wcześniej. I może dlatego nie potrafię przestać o tym myśleć.

Odrywam wzrok od róz i przenoszę spojrzenie na wodę w kanale płynącą powoli pode mną. Ma niezbyt zachęcający, mętny kolor, nie robi na mnie takiego wrażenia jak zwykle. Nagle myśl o spotkaniu z Leonardem przestaje napawać mnie takim strachem.

Prawda jest taka, że mimo wszystko nadal go pragnę. Pośród tysiąca wątpliwości to jedyny pewnik.

Nadszedł wielki dzień. Dziś spotkam się z Leonardem i porozmawiam z nim. Wytlumaczę, kim jestem i czego od niego oczekuję. Jeszcze nigdy, z żadnym mężczyzną nie zdarzyło mi się, żebym to ja przejęła inicjatywę i nie bardzo wiem, jak to się robi. Nie mam swobody Gai, jeśli chodzi o wyrażanie uczuć i sygnalizowanie pragnień. Lecz tym razem muszę spróbować, ten raz jest inny. Odniosłam wrażenie, że zbliżenie się do Leonarda będzie wymagało ode mnie nadzwyczajnej odwagi.

Wychodzę spod prysznic i zatrzymuję się chwilę przed lustrem. Dłonią ścieram z szyby parę i widzę siebie. To wciąż jestem ja – okrągła twarz, ciemne oczy, nieco zaczerwienione od wody, krótkie ciemne włosy, z których woda spływa mi na ramiona. A jednak coś się zmieniło. Od wczoraj nowe pragnienie wkradło się do mojego świata, jak

---

irytujący lokator, który gra na nerwach dawnym mieszkańcom.

Spróbuję udawać, że to taki sam poranek jak wszystkie inne, będę zachowywać się jak zawsze. Muszę sobie wmówić, że po prostu idę do pracy, choć w głębi duszy wiem, że tak naprawdę idę do niego.

Oddalam od siebie wszystkie myśli i kończę przygotowania do wyjścia. Suszę włosy, wkładam miękkie dżinsy i sweterek z delikatnej wełny, zarzucam na siebie płaszcz i wsiadam na vaporetto do Ca'Rezzonico. Potem w kiosku pod arkadami kupuję dziennik „La Repubblica”, docieram do pałacu i wspinam się po schodach. Każdy kolejny element mojej codziennej rutyny zmienia się w krok ku Leonardowi.

Ale w pałacu go nie ma.

Próbuję go zawołać. Nie odpowiada. Kręcę się chwilę po holu z nadzieją, że ujrzę go nagle, jak wychodzi z łazienki przewiązany w pasie ręcznikiem – na próżno. Poddaję się więc i idę do



---

ogrodu zapytać Franca, lecz on odpowiada, że go nie widział. Najwyraźniej dziś rano wyszedł wcześniej. To pierwsza i jedyna hipoteza, jaką udaje mi się sformułować.

I oto jestem na campo San Polo przed restauracją Brandoliniego i waham się, czy wejść. Serce mówi: tak, głowa mówi: nie, starając się zwalczyć myśl, która dręczy mnie od wielu godzin – chcę go zobaczyć.

Drzwi są otwarte, jakby mnie wzywały, wystarczyłoby przez nie przejść. I to właśnie robię.

„Pospieszcie się i wnieście do środka te sześć skrzynek, potrzebuję ich tutaj natychmiast... Ostrożnie, do cholery! Te butelki sassicaia<sup>9</sup> kosztują tyle co samochód, o którym marzycie i którego nigdy nie będziecie mieć! Ostatni raz robimy porządek w waszej piwniczce...”

Głos należy do Leonarda. Ton nie jest ani trochę zachęcający. Nie wiem do końca, skąd dobiega – wewnątrz restauracji ze względu na wczesną porę nie ma jeszcze nikogo poza paroma

---

kelnerami. Jeden z nich zauważył mnie i zbliżył się z wyrazem grzecznej odmowy na twarzy. Już ma powiedzieć „Zamknięte, proszę wrócić później”, ale ja go uprzedzam.

– Dzień dobry, szukam Leonarda.

Ze spojrzenia, którym mnie obrzuca, przebija pewne zaciekawienie, choć zamaskowane profesjonalną dyskrecją. Chcę go tylko zobaczyć... i porozmawiać z nim – powtarzam sobie. Po drodze przygotowałam małe przemówienie, które znam już niemal na pamięć.

– Wydaje mi się, że jest tam, na zewnątrz – odpowiada kelner, wskazując patio.

– Dziękuję – rzucam i kieruję się ku przeszkolonym drzwiom prowadzącym do ogrodu.

Leonardo nie od razu zdaje sobie sprawę z mojej obecności. Jest sam, najwyraźniej biedni tragarze szybko uwinęli się ze swoją pracą, po czym się ulotnili. Rozmawia z kimś przez komórkę. Wnioskując po jego zbolącej minie, rozmowa nie należy do przyjemnych. Po chwili odkłada

---

komórkę, lecz na jego twarzy wciąż maluje się powaga i zamyślenie, a wzrok wbił w nieokreślony punkt na ziemi. Po raz pierwszy widzę, jak marszczy w ten sposób brwi, i nie mam pojęcia, co mogło go do tego stopnia wytrącić z równowagi. Zresztą nie odważyłabym się go o to spytać, bo gdy tylko mnie zauważa, na jego twarz powraca zwyczajowy uśmiech. Pozdrawia mnie swobodnie, jakby nie było nic dziwnego w tym, że się tu pojawiłam.

– Czemu tak nagle zniknęłaś? – pyta, robiąc kilka kroków w moją stronę. – Zadzwońbym, gdybym tylko miał numer...

– Racja, nigdy nie wymieniliśmy się numerami – mówię, przyglądając się czubkom swoich butów. Z trudem udaje mi się wytrzymać magnetyzm jego oczu.

– W takim razie zróbmy to teraz.

Wciąż trzyma telefon w ręku. Przez chwilę mam wrażenie, że zapomniałam własnego numeru. Przypominam go sobie nadludzkiem wysiłkiem

---

i podaję mu tak, jakbym literowała wyjątkowo skomplikowany wyraz.

Leonardo zapisuje go, po czym puszcza mi sygnał. Na szczęście zmieniłam już dzwonek z kwakaniem kaczki.

– Nie odpowiedziałaś na moje pytanie – kontynuuje, przyglądając mi się. – Czemu nie przyszłaś wczoraj do pracy?

Oto świetny punkt zaczepienia dla mojego kazania. Przeczesuję dłonią włosy i odchrząkuję. Jestem gotowa.

– Chciałam pobyć trochę sama. Wiesz, to, co wydarzyło się tamtego dnia, trochę namieszało mi w głowie – wyrzucam z siebie jednym tchem.

Leonardo nie wygląda na poruszonego. Po ustach błądzi mu dziwny uśmiezek, a w oczach zapala się wyraz przewrotnego zadowolenia.

– Właśnie dlatego chciałam z tobą porozmawiać... – i tu przerywam.

Przechodzi koło nas kelner, z którym rozmawiałam wcześniej. Leonardo daje mu znak

---

ręką, a ten w odpowiedzi kiwa głową twierdząco. Pracuje, a ja być może zajmuję mu czas.

– Jeśli jesteś zajęty, możemy spotkać się innym razem – ubezpieczam się.

On rozgląda się przez chwilę.

– Mam tu jeszcze pracy na pół godziny. Muszę uporządkować pewne sprawy.

Następnie spogląda na komórkę i na chwilę zastyka, jakby ważył w myślach jakiś pomysł.

– Możesz poczekać na mnie przy kościele dei Frari? Dołączę do ciebie około jedenastej.

– W porządku – odpowiadam, choć jego propozycja mnie zaskoczyła.

Nikt jeszcze nie umawiał się ze mną przed kościołem, a tym bardziej przed bazyliką dei Frari.

– Czemu właśnie tam? – zbieram się na odwagę.

– Cóż, dlatego, że to ładne miejsce.

Od kwadransa siedzę na niewygodnej drewnianej ławie w trzecim rzędzie pełnej przepychu

---

centralnej nawy bazyliki dei Frari. W powietrzu czuć zapach kadzidła wymieszany z dymem świec wotywnych. Na zewnątrz zerwał się silny wiatr, więc postanowiłam schronić się w środku. Mam nadzieję, że nikt mnie nie zauważy. Siedzę sobie cicho i w skupieniu, co jakiś czas spoglądając w kierunku drzwi wejściowych. Myśl, że Leonardo może za chwilę się pojawić, sprawia, że żołądek ściska mi się z niepokoju i ekscytacji. Widząc, że nie czekam na zewnątrz, domyśli się, że weszłam do środka, zresztą teraz mam jego numer i mogę do niego zadzwonić.

Rozglądam się i czuję, jakbym wprosiła się na przyjęcie do obcych ludzi. Pomiędzy ławkami klęczy kilka modlących się osób, wokół kręcą się grupki cichych i dyskretnych turystów. Większość z nich zatrzymuje się przed wspaniałym ołtarzem *Assunta* Tycjana. W świetle słonecznym jest jeszcze piękniejsza. Promienie przenikające przez witraże rzucają na malowidło niezwykle refleksy, a kolory wydają się żywsze niż kiedykolwiek.

---

– A więc uprawianie ze mną seksu aż tak wytrąciło cię z równowagi... – ktoś szepcze mi do ucha.

Leonardo usiadł u mojego boku. Odwracam się gwałtownie, czując, jak krew zaczyna mi pulsować. Patrzy na mnie, czekając, aż podejmę wątek od miejsca, w którym przerwałam.

– Tak, to prawda – przyznaję. Potem biorę głęboki oddech. – Może dlatego, że to wydarzyło się tak niespodziewanie. Na ogół nie daję się tak łatwo ponieść, ale przy tobie... – waham się. Chcę sięgnąć po moje przemówienie, ale nagle wydaje mi się bezsensowne, staromodne. – Cóż, widzisz, nie bardzo wiem, jak ci to powiedzieć...

– Masz już kogoś, tak? To masz na myśli, prawda?

Jest bezpośredni, szczery i zmusza mnie do wyłożenia kawy na ławę bez ozdobników i dwuznaczności.

– Nie, nie o to chodzi – kręcę głową. – Do przedwczoraj rzeczywiście mi się wydawało, że

---

chęcę kogoś innego... lecz teraz nie jestem już tego taka pewna.

Przed oczami pojawia mi się twarz Filippa i w tej chwili wydaje mi się, że podobnie jak moje śmiechu warte przemówienie, należy on do przeszłości. Zdaję sobie z tego sprawę i odczuwam ukłucie w sercu.

– A więc o co chodzi, Eleno?

– Chodzi o to, że bardzo mi się podobało. Być może za bardzo. Próbowałam sobie wmówić, że po prostu poddałam się nastrojowi chwili, coś strzeliło mi do głowy, co rzadko mi się zdarza, i że ja i ty nie mamy ze sobą nic wspólnego. Krótko mówiąc, chciałabym wierzyć, że powinniśmy poprzestać na tym, co już się wydarzyło. Ale wciąż o tobie myślę i... chciałabym, żeby to się powtórzyło.

Już, powiedziałam to, mimo że to nie w moim stylu i mimo że nie są to słowa, jakie powinno się wypowiadać w kościelnej ławie! Czuję się, jakbym dosłownie płonęła.



---

Leonardo nie reaguje w żaden widoczny sposób, co tylko powiększa moje zawstydzenie. Przez parę niesamowicie długich chwil jego wzrok ślizga się po obrazie przedstawiającym Wniebowzięcie. Ja czekam z zapartym tchem, aż przemówi – jak oskarżony czekający na ostateczny wyrok.

Później, nie mówiąc ani słowa, bierze mnie za rękę i prowadzi pod sam ołtarz. Obok stoją inni ludzie, Leonardo ustawia się za mną i szepcze mi do ucha:

– Wiesz dlaczego poprosiłem cię o spotkanie właśnie tutaj, Eleno?

Kręcę głową, całkiem pogubiona.

– Ponieważ ten obraz zapadł we mnie po tym, gdy ty mi o nim opowiedziałaś. Dużo o nim myślałem od tamtej nocy.

Odwracam wzrok od ołtarza.

– Wydaje mi się, że wiem, dlaczego tak bardzo ci się podoba. Chciałabyś być jak ta Madonna –

---

kontynuuje Leonardo, a jego lekki oddech delikatnie porusza moimi włosami.

– Chciałabyś siedzieć w swoim świecie, odległa od wszystkiego, co może wyrządzić ci krzywdę. W głębi duszy wierzysz, że do tego jesteś przeznaczona.

Przyglądam się postaci Madonny, tak odległej, pogodnej, niedostępnej. Zdaję sobie sprawę, że ja także chciałabym tak się czuć.

Leonardo jest jeszcze bliżej mnie, czuję na ciele jego ciepło. Poddaję się dziwnemu podnieceniu, tu, w tym świętym miejscu, pośród ludzi, którzy niemal nas nie zauważają. Wciąż szepcze mi do ucha, niczym demon.

– A teraz spójrz na apostoła. Tamtej nocy powiedział mi, że modli się do Dziewicy i zdaje się popychać ją ku niebu.

– Tak właśnie jest.

Uff, przynajmniej wraz ze wszystkimi pozostałymi pewnikami nie postradałam wiedzy z historii sztuki.

– A jeśli się mylisz?

Ściska mnie mocno za ramiona.

– Ja wolę myśleć, że on ją wzywa, że chce ją zatrzymać na ziemi, przywrócić ją do jej cielesnej natury...

Nigdy o tym nie pomyślałam. Przyglądam się malowidłu z całkowicie odmiennego punktu widzenia i zdaję sobie sprawę, że jego interpretacja, choć surrealna, też jest prawdopodobna. Lecz wciąż nie rozumiem, do czego on zmierza. Przed chwilą znalazłam w sobie odwagę, żeby mu powiedzieć, że pragnę znów uprawiać z nim miłość, a on odpowiada propozycją nowego objaśnienia sensu *Assunty*. Czuję się naprawdę zbita z tropu i obawiam się, że w każdej chwili mogą się pode mną ugiąć kolana.

– Czemu mówisz mi o tym wszystkim? – pytam go ledwo słyszalnym głosem, nie mogąc się już powstrzymać.

Ujmuje mnie w talii i obraca ku sobie, obejmując w posiadanie moje spojrzenie.

---

– Ponieważ ja chcę być tym, który sprowadzi cię z powrotem na ziemię, Eleno.

Jest tak blisko, że nasze twarze niemal się stykają. Rozglądam się wokół z nadzieją, że nikt na nas nie zwrócił uwagi. Ale on nie dba o innych i wciąż wydmuchuje na moją skórę słowa pełne ognia.

– Ja też ciebie pragnę, jeszcze raz, jeszcze tysiąc razy. Ale na moich zasadach. Chcę zobaczyć, co ukrywasz za tą maską eteryczności, intelektualizmu... Chcę poznać prawdziwą Elenę. Chcę wyrzucić ci życie do góry nogami.

Przełykam ślinę. Wyrzucić mi życie do góry nogami. W tej chwili sprawia wrażenie, jakby był do tego w pełni zdolny. Czuję dreszcz schodzący wzdłuż kręgosłupa.

– Gdy zobaczyłem cię po raz pierwszy, bez reszty skoncentrowaną na twoim fresku, urzekła mnie twoja nieśmiałość, twój niewinny wygląd. To było wezwanie, któremu nie mogłem się oprzeć.

---

Nic na to nie poradzę, nie spocznę, póki ich z ciebie nie zedrę.

Nagle czuję, jak w klatce piersiowej bucha mi ogień, zupełnie jakby Leonardo wlał we mnie jakiś łatwopalny płyn.

– Ale ty musisz dać mi wolną rękę. Musisz pozwolić, bym to ja cię prowadził... Chcę cię nauczyć wszystkich sposobów, na jakie można doznawać rozkoszy...

Jego głos w tej chwili jest uwodzicielską mieszanką szeptu i jęku. Stoję oniemiała, nie chce mi się wierzyć, że on naprawdę składa mi taką propozycję. Mam przeczucie, że chodzi o coś w rodzaju przekłętego paktu, który zmieni moje życie do głębi, i wcale nie jestem pewna, czy chcę na to przystać. Lecz każdą komórką swojego ciała odczuwam pokusę, jaką może wywołać jedynie coś nieznanego i niebezpiecznego.

Leonardo wyczuwa moje zagubienie. Ciągnie mnie za rękę i wyprowadza z kościoła bocznym wyjściem. Wychodzimy na ukrytą, zamkniętą

---

uliczkę. Przyciska mnie do odrapanego muru zakrytych i unosi mi podbródek.

– Zrozumiałaś, co mam na myśli, Eleno?

– Nie jestem pewna – szepczę.

– Jeśli szukasz miłości romantycznej, nie jestem właściwą osobą. Jeśli miałybyś ochotę na odskocznnię od codziennej rutyny, cóż, też nie trafiłaś pod właściwy adres. Ja proponuję ci podróż, doświadczenie, które odmieni cię na zawsze.

Dysząc, próbuję uwolnić się z uścisku jego rąk, choć oddalenie się od niego jest ostatnią rzeczą na świecie, jakiej bym chciała.

– Zajmę się tobą, nauczę cię, że twoje ciało nie jest stworzone do zakazów i ograniczeń, pokażę ci, jak wykorzystać zmysły, wszystkie zmysły, do jednego jedyne go celu: osiągnięcia rozkoszy. Ale ty musisz całkiem mi zawierzyć i być gotowa na zrobienie wszystkiego, czego od ciebie zażądam.

Tutaj przerywa i patrzy mi w oczy głęboko.

---

– Wszystkiego. Nawet jeśli wyda ci się to absurdalne lub błędne.

Jego ton nie jest autorytarny, nie. Jest diabelnie przekonujący, nieodparty. Gdyby zapraszał mnie do tańca lub proponował mi kieliszek wina, jestem pewna, że zrobiłby to dokładnie w ten sam sposób.

– Muszę to przemyśleć – proszę. – Ja... w tej chwili... nie wiem, co powiedzieć...

– A jednak będziesz musiała wybrać tutaj. Natychmiast. – Jest nieugięty. – Bo to pierwsza próba, którą będziesz musiała przejść. Decydujesz się albo nie.

Wstrzymuję oddech, zamykam oczy i przygotowuję się jak do skoku z wysokiej skały. Rzucam się w pustkę – oto co robię, ja, która nie potrafię nawet pływać, ja, która zawsze podejmowałam wszelkie decyzje z najwyższą ostrożnością i nie poddawałam się impulsom. Podejmuję najbardziej szalony krok w moim życiu, lecz być może jest on jednocześnie najsłuszniejszym.

– Dobrze – mówię ze ściśniętym gardłem.

– Dobrze? – powtarza za mną.

– Tak. Jestem gotowa.

Otwieram wreszcie oczy.

Opadłam na ziemię, w jego ramiona, i wciąż jestem żywa. Przynajmniej na razie. Leonardo uśmiecha się do mnie i całuje mnie zachłannie, wsuwając mi cały język w usta, wciąż jeszcze suche od emocji. Odrywa się na chwilę i patrzy mi w oczy, tak jakby chciał się upewnić, czy rzeczywiście tu jestem, a potem znów mnie całuje, jeszcze bardziej żarłocznie, gryząc moje wargi. Jego dłoń bezwstydnie wędruje pod moje dzinsy i trafia prosto tam, gdzie nie powinna, wywołując we mnie huragan przyjemności.

– Chcę, żebyś dziś w pracy myślała o mnie intensywnie i robiła to, co ja teraz robię, aż dojdiesz – szepcze, wciąż mnie pieszcząc.

– Nie, proszę cię... – protestuję. – Nie sądzę, żeby to był dobry pomysł... Za bardzo się wstydzę, nie dam rady...



---

Leonardo ucina moją wypowiedź, zakrywając mi usta dłonią i wbijając we mnie swój morderczy wzrok.

– Właśnie dlatego musisz to zrobić. To ja podejmuję decyzje, a ty musisz mi zaufać bez dyskusji. Pamiętasz, na co się przed chwilą zgodziłaś?

Moja wola nagle jakby przestała istnieć.

– Dobrze. Spróbuję.

– Brawo, Eleno. Taka mi się podobasz.

Wciąż porusza dłonią między moimi nogami, a drugą ręką ściska mój sutek. Odwracam pełen pożądania wzrok, jestem mokra i podniecona, lecz nie sądzę, aby robienie tego samego w samotności mogło dać mi równą rozkosz. Nie jestem przyzwyczajona do dotykania się samej.

Moje pragnienie rośnie, chciałabym, żeby wszedł jeszcze głębiej, lecz nagle Leonardo odrywa się ode mnie, zostawiając mnie oszołomioną i niezaspokojoną. Sadystyczny uśmieszek na jego ustach świadczy o tym, że zrobił to specjalnie.

---

– Muszę uciekać, zobaczymy się wieczorem, jak wrócę.

Opiera się oburącz o mur i zbliża twarz do mojej.

– Pamiętaj, Eleno: od tej chwili jesteś moja.

Całuje mnie raz jeszcze w usta i już chce odchodzić...

– Leonardo – zatrzymuję go, chwytając za ramię. – Powiedz mi chociaż dlaczego. Dlaczego to wszystko robisz?

Przechyliła głowę na bok, a na ustach pojawia mu się anielsko-diabelski uśmiech.

– Bo mam ochotę. I dlatego, że szalenie mi się podobasz.

Zauważa moją konsternację i wzdycha, jakby szukał innych słów.

– Posłuchaj mnie, Eleno. Wszystko, co robię i czego decyduję się nie robić, wynika z czystego hedonizmu. Nie kieruje mną żadna inna motywacja. Nie wierzę w siłę idei ani, tym bardziej, w moralność. Przeżyłem dość, by wiedzieć, że ból

---

i tak cię dopadnie, czy tego chcesz, czy nie. Ponieważ nie da się go uniknąć, a absolutne szczęście nie istnieje, pozostaje tylko przyjemność. A ja poszukuję jej z uporem, o jakim jeszcze będziesz miała okazję się przekonać.

Brak mi słów. W zarysie jego ciała dostrzegam teraz twardość kogoś, kto walczył z cierpieniem, ukrytym i nieusuwalnym – jak tatuaż na jego plecach. Lecz w tym dumnym spojrzeniu i uśmiechu, który zdaje się rzucać wyzwanie całemu światu, dostrzegam też głód życia i odwagę kogoś, kto nigdy się nie poddał.

Jesteś tajemnicą, Leonardo, zagadką, której w tej chwili nie jestem w stanie rozwikłać. Ale i tak w to wchodzę. I od dziś jestem twoja.

Przez cały dzień nie mogę skupić się na niczym innym. Raz po raz odrywam się od pracy przy fresku, zaszywam w łazience, by wykonać polecenie Leonarda, ale bez powodzenia. Czuję się

---

brudna. Co więcej, mam wyrzuty sumienia, choć nie do końca wiem wobec kogo.

Unikając własnego spojrzenia w lustrze, rozpinam zamek kombinezonu do poziomu dżinsów. To będzie trzecia próba. Zamykam oczy i myślę o Leonardzie, o jego namiętnych pocałunkach, o jego nagim ciele na moim, a następnie wsuwam nieśmiało dłoń w figi i pozwalam jej zjechać na wzgórek łonowy. Wargi mam suche i nieme – odrzucają gwałtownie ten rodzaj dotyku. Nie reagują na żadną pieśczość, niemal jakby chciały odepchnąć moją niepewną dłoń. Otwieram na nowo oczy i z westchnieniem siadam na brzegu wanny, opuszczając ręce na kolana. Zdaję sobie sprawę, że nie mam pełnej świadomości mojego ciała, jestem pełna blokad i zahamowań. Być może to dlatego, że nigdy nie próbowałam dać sobie sama przyjemności, zawsze polegałam na innych, na tych niewielu mężczyznach, z którymi byłam... A jeśli miałabym być szczerą, to teraz, po tym, co spotkało mnie z Leonardem, nie wydaje mi się,

---

zeby moje wcześniejsze doświadczenia były szczytem ludzkich aspiracji.

Raz jeszcze próbuję się skupić, ale gdy sięgam tam dłoń, brutalnie przerywa mi dzwonek komórki. Sięgam do zewnętrznej kieszeni kombinezonu i widzę na wyświetlaczu imię Filipa. Niesamowite. Czemu puszczasz mi sygnał właśnie teraz, Fil? Kontrolujesz mnie na odległość? I bez tego sytuacja jest wystarczająco skomplikowana... Nagle ogarnia mnie poczucie absurdu.

Dość tego, poddaję się. Nie jestem taka, jaką widzi mnie Leonardo, i kropka. A może wyzwolenie moich zmysłów jest celem, którego nie mogę osiągnąć samodzielnie.

Ściągnęłam kombinezon i sfrustrowana szykuję się do wyjścia. Pierwszy etap mojej erotycznej podróży okazał się porażką.

Jak ostatni tchórz mam ochotę się ulotnić, zanim wróci Leonardo, lecz mycie pędzli zajmuje mi więcej czasu niż zwykle i nie daję rady ewakuować

---

się na czas. Znów jestem w jego ramionach. Przyznam, że w głębi duszy miałam nadzieję, że tak się stanie...

– Cześć, Eleno. Masz mi coś do powiedzenia?  
– pyta mnie szeptem.

Chciałabym skłamać, powiedzieć, że poszło świetnie, a całe moje ciało płonie, lecz nie daję rady. Zresztą wydaje mi się, że moja twarz mówi za siebie.

– Próbowałam.

– Próbowałamś.

Mierzy mnie wzrokiem z powagą.

– Ale... – biorę głęboki oddech, obawiając się jego reakcji – nie poszło za dobrze.

– Chodź, pójdziemy do mnie.

Nie wydaje się zły. Być może się spodziewał, że tak się skończy. To sprawia, że jeszcze bardziej mi przykro. Bierze mnie za dłoń. Idę za nim na miękkich nogach. Nie mam pojęcia, co mu chodzi po głowie, lecz czuję się bezpiecznie, gdy prowadzi mnie w ten sposób.

---

Znam ten pokój. Panuje w nim taki sam chaos jak w dniu, kiedy zakradłyśmy się tutaj z Gaią. Łóżko nie jest zasłane. Brakuje szampana i skrętów, lecz w powietrzu wisi ta sama zmysłowa woń wymieszana z intensywnym zapachem ambry, który przeniknął ściany i pościel. Leonardo popycha mnie na łóżko. Sam stoi przede mną wyprostowany.

– Rozbieraj się – rozkazuje. – Chcę zobaczyć, co potrafisz.

Siedzę na brzegu łóżka, trzymając się kurczowo skraju kołdry. Wzdłuż kręgosłupa spływa mi kropla zimnego potu. Wiszące naprzeciwko lustro wywołuje we mnie niepokój, a myśl, że była tu seksowna skrzypaczka o perfekcyjnym ciele, sprawia, że czuję się słabo, jeszcze zanim wykonałam jakikolwiek ruch.

– Dalej, Eleno – zachęca mnie Leonardo, ujmując moją głowę w dłonie. – Rozbierz się. Nie robisz nic złego.

---

Zdejmowanie ubrania w obecności mężczyzny nigdy nie było dla mnie proste ani naturalne. Czuję się przy tym skrępowana, a wstyd zawsze sprawiał, że gasiłam światło już w czasie gry wstępnej. Krótko mówiąc, wystawianie ciała na widok obcej osoby zawsze było dla mnie czynnością w wysokim stopniu stresującą.

Powoli podnoszę się z łóżka. Teraz stoję naprzeciw niego. Drżącymi dłońmi ściągam koszulkę i zostaję w staniku. Surowe spojrzenie Leonarda nakazuje mi zdjąć także to. Odpinam haftki, a on pomaga mi zsunąć ramiączka.

– Uwielbiam twój biust, jest taki... miękki i pełny.

Pieści go delikatnie. Potem całuje mnie w kark, w miejsce tak czułe, że pod wpływem dotyku jego języka uginają się pode mną kolana.

– Dalej musisz poradzić sobie sama.

Pozwalam dłoni osunąć się w zagłębienie pomiędzy piersiami i zaczynam pieścić jedną z nich, ściskając sutek palcami.



---

– Właśnie tak, Eleno... Teraz zajmij się trochę drugim – rozkazuje mi, całując mnie ponownie w szyję.

Staram się zrelaksować i robię to, o co mnie prosi. Zupełnie jakby jego gesty i słowa dodawały mi odwagi i wiary we własne ciało.

– Dobrze.

Jego oczy płoną pożądaniem. Chwyta mnie za dłonie i kieruje ją ku mojemu brzuchowi.

– Teraz powolutku zsuń dłonie niżej. Włóż ją do środka.

Czuję się jeszcze bardziej naga i bezbronna niż wtedy, gdy byłam pod nim. W tym wszystkim jest coś zabronionego i niesamowicie erotycznego. Z lęku skręca mi się żołądek, lecz wiem, że teraz nie mogę się zatrzymać. Nie chcę.

Wsuwam dłonie w wolną przestrzeń pod dżinsami i zaczynam poruszać palcami w przód i w tył, tak jakbym trącała struny gitary. Jestem przekonana, że stanie w bezruchu i patrzenie na mnie sprawia mu przyjemność. Ja natomiast czuję się

---

całkiem rozbrojona, wydana na pastwę tych oczu, które zdają się mnie pożerać.

– Ty sama wiesz, jak podarować sobie rozkosz, lepiej niż ktokolwiek inny – zapewnia mnie. – Naucz się poznawać samą siebie.

Podchodzi do mnie i głaszcze mnie dłonią przez dzinsy. Czuję go. Opiera dłonie na zewnętrznej części warg większych, po czym zsuwa je razem tak, że obejmuje mnie całą palcami. To rodzaj głębokiego masażu, który rozpala we mnie żar.

Leonardo zdejmuje koszulę. Zrzuca spodnie i bokserki. Potem siada na brzegu łóżka i przyciąga mnie do siebie tak, że opieram się plecami o jego nagą klatkę piersiową. Pochyla się do przodu, a pod wpływem dotyku jego miękkich ust moją szyję przechodzą niezliczone dreszcze. Jego oddech czuję aż na sutkach, które szybko nań reagują. Z lustra atakuje mnie brutalnie, jak uderzenie w policzek, odbicie mojego nagiego ciała. Nie mogąc znieść tego widoku, obracam

---

głowę. Leonardo ujmuje mnie za podbródek i obraca na nowo ku mojemu zwielokrotnionemu odbiciu.

– Patrz, jaka jesteś piękna, Eleno. Powinnaś kochać swoje ciało, powinnaś być z niego dumna, bo daje ci przyjemność. I daje przyjemność mnie.

Próbuję, ale to jest trudne. Widok mojej obnażonej skóry, mojego nagiego łona i wyuzdanej pozy nie napełnia mnie dumą, lecz wstydem. Leonardo chwyta mnie za dłoń i przyciska ją do mojego mokrego i ciepłego wzgórka łonowego.

– Dotykaj się dalej – szepcze mi do ucha. – Nie przestawaj.

Robię to, co mi każe, z zamkniętymi oczami, przewyciężając w ten sposób wstyd. Czuję, jak moje wargi powoli robią się mokre, a Leonardo kładzie mi na piersiach dłoń, które teraz są pokryte oliwką. Przepyszny zapach róży pieści moje zmysły. Jego palce poruszają się lekko po moim ciele, aż w końcu palce wskazujący i środkowy ujmują czubki moich nabrzmiąłych

sutków. Teraz ściskają je, a jego dłonie przyciskają moje piersi niemal tak, jakby chciały nadać formę masie domagającej się wyrzeźbienia. Jest tylko Leonardo. Tylko przy nim jestem w stanie doznać tej przyjemności nie do opisania.

– Na samych czubkach palców. Tam teraz powinnaś być. Całą sobą.

Chwyta mnie za przegub ręki i opiera go ciut nad wzgórkiem łonowym.

Moja dłoń eksploruje, popychana ciekawością, ale porusza się wciąż niepewnie.

– A teraz spróbuj moimi palcami... jeśli da ci to więcej przyjemności... – szepcze, zdejmując jedną dłoń z mojej piersi. – Ale chcę, żebyś robiła to sama. Przynajmniej jeszcze przez chwilę.

Ujmuję delikatnie jego dłoń i przesuwając jego palcami w górę i w dół, wzdłuż łechtaczki, pozwalam, by wślizgiwały się we mnie.

Po chwili Leonardo wyzwala się nagle z uścisku moich rąk. Zaczyna od lekkiej, delikatniej pieszczoty, ledwo muskając wewnętrzną stronę

---

moich ud. Wędruje wyżej dopiero wtedy, gdy rozkładam szeroko nogi i zaczynam wypychać biodra w górę. Wówczas wsuwa palce pomiędzy moje wargi, muskając je drobnym, okrężnym ruchem połączonym z delikatnym naciskiem. Zamyka kciuk i palec wskazujący na wardze, uciskając ją delikatnie u dołu, a następnie przesuwając opuszkami od dołu do góry, jakby malował zarys nawiasu. Potem powtarza to samo po drugiej stronie. Fala przyjemności toruje sobie drogę przez całe moje ciało.

Gdy zaczynam poruszać się pod dotknięciem jego palców, pięści moją łechtaczkę, naciskając ją leciutko, a następnie schodzi niżej, aż do miejsca, w którym moje wargi zapraszają go do środka.

– A teraz otwórz oczy, Eleno – szepcze mi do ucha. – Chcę, żebyś na mnie patrzyła.

Podnoszę powieki niczym kurtynę, a przed oczami staje mi obraz mojego ciała w niewoli jego ciała. Nasze spojrzenia spotykają się w lustrze, gdy Leonardo powolutku wsuwa we mnie środkowy

---

palec, kreśląc nim mnóstwo kółeczek, rozsuwając mnie delikatnie. Pokonana, poddaję się. To nieomylny znak – tak, jakby jeszcze go potrzebował – że może posunąć się krok dalej. W tej chwili wsuwa mi palec głębiej – jest cały we mnie. Zatrzymuje się, by jeszcze trochę się pobawić. Teraz pragnę go jeszcze mocniej, a on natychmiast zdaje sobie z tego sprawę. Czeka, by szparka się rozluźniła, po czym dołącza jeszcze jeden palec, dając mi boskie uczucie wypełnienia. W lustrze moja twarz wykrzywia się z rozkoszy, wszystkie moje mięśnie są spięte w spazmie, tak jakby przeszywał je pochodzący z wnętrza prąd. Niemal się nie rozpoznaję. Po raz pierwszy widzę swoją twarz, gdy szczytuję. Leonardo uśmiecha się do mnie w lustrze tak, jakby odgadł moje myśli. Gdy zaczynam z trudem łapać oddech, zgina palce w literę L, naciskając na podstawę łechtaczki ruchem, który zdaje się mówić bez słów „chodź tutaj”. Także jego oczy mi to mówią. Teraz oboje

---

mamy przed sobą spektakl – mnie w chwili, gdy dochodzę.

– Tak, Leonardo... – jęczę.

W głowie mi się kręci, zmysły się mącą, całkiem zagubione w erotycznej demencji.

– Mocniej! – błagam go.

Sięgam do tyłu i chwytam go za ramiona, a on przyspiesza ruch palców we mnie, jednocześnie drugą dłonią dając mi delikatnego klapsa we wzgórek łonowy.

– Lubisz tak?

– Tak, lubię... – mruczę.

Jestem czystym pożądaniem.

– Jeszcze, proszę... nie przestawaj.

Tym razem to ja go o to proszę.

On kontynuuje swoją przewrotną grę. Dręczy mnie nieznośnie, do granic możliwości. Jest panem sytuacji. Moim ciałem targają konwulsje, nieopanowane skurcze. Jestem u szczytu podniecenia i jęczę, wcale się nie hamując. Wciąż na nowo. A potem z głębokim okrzykiem opadam na jego

---

palce i wyginam się gwałtownie do tyłu, na jego klatkę piersiową, czując wewnątrz rój malutkich drzazg.

Leonardo obejmuje mnie mocno i zasypuje mi szyję drobnymi pocałunkami.

– Brawo – szepcze w moje usta. – Tym właśnie jest orgazm.

Leżę na łóżku, syta i wyczerpana. On przygląda mi się zadowolony, a ja przykrywam się prześcieradłem. Uśmiecha się.

– Aż tak bardzo cię krępuje, gdy ktoś na ciebie patrzy?

– Mhm – potwierdzam słabo.

Wiem, że to bez sensu, bo jeszcze chwilę temu byłam w jego ramionach całkiem naga. Ale teraz czuję potrzebę chronienia swojej intymności, osłonięcia jej przed niebezpieczeństwem.

– A więc to będzie kolejne tabu, od którego cię uwolnimy. Bo ja z kolei bardzo lubię na ciebie patrzeć.



---

Jego głos jest pełen słodczy. Leży przy mnie w rozpiętej na piersi koszuli, z głową opartą na zagięciu łokcia.

Przez głowę przemyka mi ulotna myśl. Wkroczyłam na drogę szaleństwa. Szaleństwa, ale też obłądnego podniecenia. Kusi mnie czarem tego, co zabronione, i trochę mnie przeraża. Nie wiem, dokąd mnie zaprowadzi, ale w tej chwili wiem, że chcę ją przejść do końca.

Patrzę na niego. Jego twarz jest zmienna, za każdym razem inna. Nie wiem, jak to się dzieje, ale jego rysy nigdy nie wydają mi się znajome. Zupełnie jakbym za każdym razem patrzyła na niego z innej perspektywy. Kim tak naprawdę jest ten mężczyzna? Co go do mnie sprowadziło? Odnoszę wrażenie, że nigdy nie będę w stanie znaleźć odpowiedzi na te pytania. Ale ciekawość nie daje mi spokoju. Poza tym tracę już kontrolę nad tym, co mówię. I dobrze.

– Miałeś w życiu wiele kobiet? – pytam bez ogródek.

---

Powiedział mi już, że nie jest typem narzeczonego, a sposób, w jaki zna i wprawia w drżenie moje ciało, świadczy o wielkim doświadczeniu.

Nie wydaje się ani trochę zaskoczony moim pytaniem.

– Miałem ich wiele, tak. – Wzdycha głęboko i wyciąga się na plecach z dłońmi złożonymi na karku. – Ale romantyczne uczucia nie są do końca w moim stylu, już ci powiedziałem.

Nagle sprawia wrażenie, jakby spochmurniał. Potem obraca się ku mnie gwałtownym ruchem i obrzuca poważnym spojrzeniem.

– Nie jesteś jedyna, Eleno, jeśli to chcesz wiedzieć. Nie spodziewaj się, że będę ci wierny.

Mam ochotę schować się pod prześcieradłem. Czuję się głupia i dziecinna.

On chyba zdaje sobie z tego sprawę, bo w jego oczach wyczytuję dezorientację.

– Myślałem, że to jasne...

---

– Pewnie, jest jasne... – spieszę z odpowiedzią i uśmiecham się.

W rzeczywistości czuję się zraniona, ale z nadludzkim wysiłkiem staram się to ukryć. „Jeśli szukasz miłości romantycznej, nie jestem właściwą osobą” – powiedział mi prosto z mostu. Muszę tylko wbić to sobie do głowy.

– W każdym razie teraz muszę już iść – dodaję, wstając z łóżka, owinięta prześcieradłem.

Ubieram się szybko, a Leonardo odprowadza mnie do drzwi. Nagle czuję, że jestem całkiem w jego władzy, czuję się niemal przygnieciona emanującą od niego siłą. Zatrzymuje się na progu i zakłada mi za ucho pasemko włosów.

– Wszystko w porządku? – pyta z troską w głosie.

– Tak – odpowiadam, choć w gruncie rzeczy wcale nie jestem taka pewna.

– A więc do jutra?

Nie mam nawet czasu potwierdzić, bo jego zachłanne usta przyklejają się do moich. Dłońmi

---

mocno ujmuję moją twarz, a pocałunek jeszcze zyskuje na intensywności. Potem odsuwa mnie od siebie i patrzy na mnie tak, jakby chciał mnie zbadać.

– Chodzi mi po głowie pomysł na coś specjalnego dla ciebie – szepcze tajemniczo. – Przyjdź wcześniej.

– Dobrze... – odpowiadam wciąż oszołomiona.

Nie mogę się doczekać jutra.

Wokół mnie tylko ciemność i cisza.

Zostawił mnie nagą, przywiązaną do fotela, z czarną jedwabną chustką na oczach. Czuję się mała, siedząc w środku tego ogromnego pomieszczenia, sali balowej – największej w pałacu.

Tego ranka, idąc do Leonarda, zupełnie nie wiedziałam, czego się spodziewać. Do głowy przychodziły mi tysiące różnych scenariuszy, a i tak zdawałam sobie sprawę, że uda mu się mnie zaskoczyć.

I udało mu się. Jak zawsze.

Otworzył mi drzwi i stanął na progu z tą pewną siebie miną, która nie dopuszcza żadnych dyskusji. Nie powiedział nic, tylko przyciągnął mnie do siebie i pocałował. Potem wziął mnie za rękę, by przez korytarze i klatki schodowe zaprowadzić do tego salonu. Zatrzymał się na samym środku i zaczął mnie rozbierać. Serce

---

waliło mi jak młot. Sądziłam, że zaraz będziemy się kochać. Pragnęłam tego całą sobą. Chciałam, żeby mnie objął i swoim ciałem przykrył moją nagość, która sprawiała, że czułam się zdenerwowana i bezradna. Tymczasem powiedział:

– Obróć się.

Usłuchałam go. Zasłonił mi oczy, zanim zdążyłam zaprotestować, zawiązując mi z tyłu głowy czarną chustkę wyjętą z kieszeni spodni.

– Dziś oczy nie będą ci potrzebne. Nauczę cię widzieć w inny sposób.

Posadził mnie i przywiązał mi nadgarstki do poręczy fotela bliżej niezidentyfikowanym materiałem – mogły to być sznury podtrzymujące wspaniałe brokatowe zasłony zdobiące tę salę. W podobny sposób przytwierdził mi kostki do nóg mebla.

– Co zamierzasz zrobić? – zapytałam łamącym się głosem.

– Ciii... to nie jest dobry czas na pytania – odpowiedział mi szeptem.

---

Przykrył mnie prześcieradłem z grubego płótna, w rodzaju tych, których używa się do chronienia obrazów, zupełnie jakbym sama była dziełem sztuki. Odkrytą zostawił tylko twarz i biust. Pogłaskał mnie po policzku, a potem usłyszałam jego oddalające się kroki.

Jestem tu już od godziny. A przynajmniej wydaje mi się, że minęła godzina, bo słyszałam raz dźwięk dzwonów kościoła św. Barnaby.

Z początku byłam zagubiona, a myśli miałam w rozsypce. Panikowałam zdeorientowana – wydawało mi się, że jestem poddawana bezsensownej torturze. Przeklinałam samą siebie za doprowadzenie się do tej sytuacji, za przystanie na ten piekielny pakt. Jedyne, czego chciałam, to wyswobodzić się i uciec.

A potem zrozumiałam.

Powoli do moich nozdrzy docierała woń tego pomieszczenia – subtelna i nieustępliwa: stare drewno, kurz, wilgoć. Aksamit, którym obite było

---

oparcie, zaczął łaskotać mnie w plecy, a od jednego z okien nadciągnął lekki wietrzyk. Delikatny dreszcz przeszedł całe moje ciało, sprawiając, że sutki stały się spiczaste i twarde. Z ciszy powoli zaczęły wyłaniać się dźwięki – odgłosy znad Canal Grande, odległe pomrukiwanie vaporetti, spadająca gdzieś kropla, mój własny oddech, który w tej chwili stał się niemal ogłuszający.

Leonardo zakrył mi oczy, ponieważ są zbyt łakome. Pożerają wszystko, nie pozostawiając pola do popisu innym zmysłom. Mój wzrok zasypywany jest codziennie niezliczonymi bodźcami – moja praca, moje pasje, miasto, w którym żyję. Od dwudziestu dziewięciu lat narkotyzuję się pięknem Wenecji, żywię się marmurami, stiukami, temperami i kamieniami. Czytam świat jedynie za pośrednictwem oczu. A teraz są zakryte czernią, uśpione, odurzone. Wystarczał mi ten jeden rodzaj poznania. Byłam szczęśliwa i pewna. Dopóki nie poznałam jego.



---

Przez okiennice wdziera się promień słońca, niosąc odrobinę ciepła dla zdrętwiałej prawej ręki. Nie widzę go, ale próbuję poczuć. Staram się przyglądać światu bez udziału wzroku. Ponad wzrokiem. Tam, gdzie jest prawdziwa Elena, ta, której pragnie Leonardo.

Teraz zaczynają mi dokuczać kostki i przeguby rąk. Krew z trudem dociera do krańców kończyn. Mała łezka wypływa mi spod opaski, dociera do ust – jest ciepła i słona – gdy do moich uszu dobiega cichy szmer. Wyczuwam czyjąś obecność w pomieszczeniu.

– Leonardo? To ty? – poruszam się niespokojnie na fotelu. Słyszę jego zbliżające się kroki. Od jak dawna jest tutaj? Od jak dawna mnie obserwuje? Teraz stoi przede mną, wiem to, bo dociera do mnie ciepło jego ciała i ten zapach ambry, którego nie sposób pomylić z niczym innym.

– Leonardo, rozwiąż mnie... proszę...

Nie odpowiada. Unosi rąbek prześcieradła i zsuwa je nieznośnie powoli. Teraz jestem naga,

---

wystawiona na widok, bezbronna. Przez chwilę, która zdaje mi się wiecznością, czuję na sobie jego wzrok, który bada mnie wszędzie. Jest jak niedelikatny, bolesny dotyk, który sprawia, że mięśnie napinają się pod skórą. Sprawia mi ból i podnieca jednocześnie.

Nagle jego głos odzywa się tuż przy moim uchu.

– Patrzę na ciebie, Eleno. Wszędzie.

Chciałabym powiedzieć mu, że lubię, jak patrzy się na mnie w ten sposób, że nie wiedziałam tego, odkryłam to dopiero teraz, ale muszę przełknąć ślinę i nie udaje mi się wykrztusić ani słowa.

Musiał przede mną uklęknąć, jego dłonie są teraz na moich udach. Potem jego ciepłe i mokre usta dotykają moich. Schodzą niżej, ku szyi, czuję, jak jego broda ociera się o mój policzek, o moją pierś, o pępek. Zarost, który muska, łaskocze, kłuje i dręczy. Jego kolczyk pełźnie w dół mojego ramienia. A po chwili jego usta znów są na moich,

---

język arogancko toruje sobie drogę pomiędzy zębami i wdziera się dalej.

Zuchwała fala wstrząsa moim brzuchem, a potem opada niżej – płynna i podstępna. Chciałabym poczuć całe jego ciało, objąć dłońmi jego ramiona, lecz mogę tylko niecierpliwie zaciskać i rozluźniać ręce.

– Odpręż się, Eleno. – Czuję na twarzy oddech Leonarda. – Dziś tylko mnie wolno używać rąk.

Wzrok ma z pewnością zamglony, płonący pożądaniem. Wiem to, choć nie mogę zobaczyć. Po ustach błąka mu się ten enigmatyczny, okrutny uśmiech.

Przesuwa palcami po mojej twarzy, aż do podbródka. Chwyta mnie za włosy i rozpuszcza te, które wciąż były związane gumką. Jego język w moim uchu. Krew gotująca się w żyłach.

– Choć mnie nie widzisz – jego aksamitny głos rozbrzmiewa wokół mnie, we mnie – możesz mnie poczuć, wiem to.

---

Leonardo chowa twarz w zagięciu mojej szyi i spija mój zapach.

– Musisz tylko zaufać swoim zmysłom... Eleno...

Potem muska mnie coś chłodnego i żywego, co wędruje wzdłuż szyi, w kierunku piersi i zatrzymuje się przy sutkach. To coś niespodziewanego i mokrego, a kierują tym jego dłonie. Przesuwa się wzdłuż moich ud, pomiędzy nogami, a potem znów do góry, by na końcu opaść na moje usta.

– Poliz – zaprasza jego diaboliczny głos – powoli...

Przemykam usta i robię to, co mówi. Nigdy jeszcze nie smakowałam w ten sposób pomarańczy. Ma kwaśny smak grzechu, który miesza się z moim.

Teraz Leonardo kradnie sok z moich ust, podążając za jego biegiem, aż do pępka i niżej. Czuję, jak jego dłonie zmagają się z moimi nogami, które instynktownie się zacisnęły.

---

Chciałabym się ruszyć, cofnąć się przed tą słodką torturą, ale nie mogę.

Jego palce są we mnie. Palcem środkowym rozchyła wargi mniejsze, a wskazującym i serdecznym rozsuwa większe. Nurkuje w sam środek mojego gniazdka, a potem podnosi palce do moich ust, bym je possała. Moja pochwa mokra z jego woli.

Uwalnia jedną z moich kostek. Opieram łydkę o jego bok i otwieram się, tworząc przestrzeń dla tego, co ma się wydarzyć. Ale Leonardo niespodziewanie się wycofuje.

Czuję, jak kropla zimnego płynu spada na moje kolano, po czym ścieka aż do stopy. Potem taka sama gęsta kropla na moich ustach, rozsmarowana palcem Leonarda. Pachnie alkoholem i lukrecją.

– Wiesz przecież, że nie piję – mamroczę z trudem.

– Nie sądzę, żebyś od tego umarła – szepcze głosem rozwibrowanym od przyjemności.

---

Teraz poi mnie prosto z butelki. Napój smakuje mocno, intensywnie. Nie jestem do tego przyzwyczajona, więc cofam się z grymasem, a odrobina płynu spływa na podbródek i szyję. Leonardo się śmieje i prowokuje mnie, zbierając krople ustami.

– Eleno – mówi mi do ucha ze świstem – nie jesteś aniołem, czystym i pozbawionym wad... Myśl teraz tylko o rozkoszy.

Mówiąc to, wsuwa mi na nowo dłoń między nogi, sprawiając, że aż podskakuję. Bierze łyk i przyciąga mnie do siebie za szyję, po czym podaje mi płyn prosto do ust. Alkohol spływa zabójczo do gardła. Jest dobry, słodki, a zarazem gorzki. Odświeża z zewnątrz, w środku – rozpala.

– Smakuje ci, prawda? Wiem...

Wsuwa we mnie język i porusza nim wokół mojego. Potem chwytą mnie mocno za głowę i popycha ją w dół. W ciemności, którą mam przed oczami, lata rój białych punkcików. Wszystko wokół wiruje, jestem jak ogłuszona.

---

– Liż mnie – jego rozkaz jest słodki, przepełniony obietnicą.

Stoję na rozdrożu pomiędzy odwiecznym strachem a teraźniejszym pragnieniem. Trącam go językiem, tak jak robi się z czymś niebezpiecznym. Smakuję jego potężne pożądanie. Jest twardy, skórę ma napiętą. Rośnie, pulsując.

Raptem kilka chwil później, kładąc dłoń na moim czole, odsuwa moją twarz od swojej niecierpliwej męskości i zdecydowanym gestem uwalnia moją drugą kostkę.

Jego palce wędrują szybko wzdłuż moich nóg, uciskając je i masując, jakby chciał przywrócić im życie. Bez uprzedzenia moje ręce osuwają się z oparcia fotela, Leonardo rozwiązał wszystkie supły. Jestem wolna. Mogę go dotykać. Mogę robić to, czego pragnę. Unoszę dłoń do opaski, ale on ją zatrzymuje.

– Nie. To zostaje.

To rozkaz. Dla pewności zacieśnia jeszcze węzeł na karku.

– Proszę cię – próbuję go przekonać.

– Nie, Eleno... nie potrzebujesz ich – szepcze, odciskając swoje ciepłe i wilgotne usta na moich zakrytych oczach.

Potem chwytła mnie w talii, unosi i bierze w ramiona. Przyciska mnie do ściany, trzymając coraz mocniej. Czuję, jak jego dłonie ugniatają moje pośladki. Jego penis wślizguje się we mnie, torując sobie drogę pełnymi wyczucia ruchami, bez pośpiechu.

Czuję w uchu jego oddech.

– Jeszcze nie znasz siebie samej. Ale dojdiesz do tego, nim zdążysz się zorientować.

Jego głos drży z pożądania.

Mój oddech synchronizuje się z jego rytmem. Przyjemność parzy teraz jak ogień w naszych spoconych ciałach.

Wreszcie układa mnie na ziemi na płótnie, którym wcześniej byłam okryta, i kładzie się na górze, nurkując we mnie głęboko. Tym razem pozwalam mu wejść w siebie głębiej. Jęki, coraz



---

bardziej urywane. Westchnięcia. Zadrapania. Uściski. A potem znowu krótki oddech, zawroty głowy. Wszystko ustępuje, rozpada się pod ruchami jego ciała, pod jego pożądaniem. Leonardo ruszył na poszukiwanie rozkoszy w głębi mojego ciała i znalazł ją tam. Nagle rozpala się we mnie orgazm, a ja zaciskam mięśnie, jakby chcąc go powstrzymać, lecz on eksploduje gwałtownie, niepohamowanie, zajmując mnie całą – od czubków stóp aż po kości czaszki. Zapadam się w głąb Leonarda, paznokciami chwytając się jego pleców. Słyszę swój jęk. Całkiem straciłam kontrolę, to już nie jestem ja, to nie jest Elena, jaką znałam. Jestem jedynie bezradną obserwatorką siebie samej.

Leonardo wyślizguje się z mojego ciała, zostawiając mi swój mokry ślad na piersi, po czym opada przy mnie zdyszany.

Masło. Tak się teraz czuję. Ogarnął mnie śliski i zmysłowy bezwład, przyklejając mnie do posadzki. Nie chcę się ruszać, choćby nie wiem co.

---

Wzdłuż kręgosłupa wędrują mi drobne fale dreszczy.

Czuła dłoń głaszcze mnie po twarzy i uwalnia moje oczy od czarnego jedwabiu. Poruszam słabo powiekami w rachitycznym popołudniowym świetle. Z początku nie widzę wyraźnie, lecz po mału, po mału źrenica przyzwyczaja się i zwęża. Sala zdaje mi się całkiem inna, niż widziałam ją wcześniej. Zupełnie jakbym budziła się ze snu w całkiem nieznanym miejscu. Okna wychodzące na Kanał, lampy ze szkła z Murano, aksamit pokrywający krzesła, figury przedstawiające Saracenów po dwóch stronach kominka. Nic nie jest takie jak przedtem. Zapach kurzu miesza się z wonią seksu.

Mój wzrok napotyka spojrzenie Leonarda. Uśmiecha się jak ktoś, kto od dawna kogoś szukał i wreszcie odnalazł.

– Jesteś – mówi powoli, z otuchą, wycierając mi pierś rąbkiem prześcieradła. – I teraz jeszcze piękniejsza.

---

Nie mam siły mówić. Uśmiecham się, przeczesując mu palcami włosy, a on schyla się, żeby ucałować delikatnie mój pępek.

– Czy to było takie straszne? Raz w życiu nie patrzeć, a pozwolić, by to na ciebie patrzono? – pyta, dotykając ustami mojego ramienia.

– Było cudownie – szepczę cichuteńko. Nie chciałabym, żeby czar prysł.

– Cała ta potrzeba kontroli jest czystą iluzją, Eleno. Dopiero wtedy, gdy poddajesz się swoim pragnieniom, jesteś naprawdę sobą.

Głaszcząc mnie po czole i zakłada mi pasemko włosów za ucho.

– Dzisiaj to była tylko mała próba.

Uśmiecha się do mnie, po czym lekko uderza mnie w ramię.

– A teraz obróć się, chcę ci wymasować plecy.

Robię to, o co mnie prosi, wciąż bezwolna. Kolanami unieruchamia mnie po bokach, a dłoniom pozwala wędrować bez celu po mojej nagiej skórze. Czuję, jak powraca mi siła w mięśniach.

---

Nie mam pojęcia, która jest godzina, nie liczyłam już uderzeń dzwonów, dobiegających z kościołów. Wiem tylko, że niebawem będę musiała stąd iść. Wiem, że idąc zbyt wąskimi i zatłoczonymi zaułkami, będę wciąż czuła zapach Leonarda. Nie pozbędę się go, będzie za mną podążał aż do progu domu, gdzie wejdę po schodach lekko, niesiona myślami. Będzie mi towarzyszył do końca dnia i nic go nie zmyje.

– Gdzie jesteś, Eleno?

Szczypie mnie w ramię, jakby chciał mnie wyrwać z wiru myśli, któremu dałam się wciągnąć.

– Jestem tutaj. Ale niedługo pójdę.

Niedługo pójdę, ale jeszcze trochę zostanę. Bo teraz jest mi dobrze tu, gdzie jestem, w tej plamie światła zalewającej posadzkę, moje nagie ciało, jego ciało i nic więcej.

Nie widziałam Leonarda od wielu dni. Nagle zniknął, nie zostawiając wiadomości, nie dzwoniąc, a ja zostałam z dziwnym uczuciem, jakby coś mi amputowano. Od dnia zawarcia naszego paktu – jeśli tak go można określić – nie minęło wiele czasu, lecz on już stał się mi niezbędny. Przeżywam uzależnienie, jakiego jeszcze nigdy nie doświadczyłam, czekam na nasze kolejne spotkanie, jakbyśmy nie widzieli się przez całe miesiące. Już teraz należę do niego bez reszty, a chciałabym jeszcze bardziej. Nikt jeszcze nigdy nie wziął mnie tak całkowicie.

Nie pojawił się w pałacu. Myszkowałam w jego pokoju (zachowuję się jak wariatka, to nie w moim stylu), ale zastałam tam jedynie ten sam co zawsze nieporządek, rozgrzebaną pościel i rozłożone na dywanie koszule. Próbowалам zadzwonić do niego na komórkę, ale zmroził mnie

---

anonimowy głos automatycznej sekretarki, która radziła mi spróbować później.

Tak też zrobiłam, ale wciąż bez odpowiedzi. Leonardo jakby rozplątał się w powietrzu, a jego milczenie nasuwa mi wciąż nowe pytania. Jedno z nich w szczególności nie daje mi spokoju – a jeśli już się mną znużył? Układam w myślach najbardziej absurdalne hipotezy. Co jakiś czas wyobrażam sobie, że jest w szpitalu, podłączony do kroplówki, ale już chwilę później podejrzewam, że znajduje się w luksusowym pokoju hotelowym, gdzie dochodzi w ramionach innej kobiety. Może rzucił mnie, żeby być z posagową skrzypaczką. W gruncie rzeczy to bardzo prawdopodobne. Praca nie pomaga mi oderwać się od tych myśli. Moja dłoń nie jest pewna, oczy nie łapią ostrości, a umysł mnoży kolejne domysły. Zastanawiam się, czy kiedykolwiek będę jeszcze równie szczęśliwa jak wtedy, gdy leżałam, dotykając jego nagiej skóry. Przed wszystkim jednak zastanawiam się,

---

czy on kiedykolwiek pomyślał o mnie tak, jak ja myślę o nim. Jak o obsesji.

Wracam vaporettem z wyspy San Servolo<sup>10</sup>. Żeby nie zadręczyć się myślami, poszłam na retrospektywę znanego szwedzkiego fotoreportera. Nie wiem, czy to był najlepszy pomysł. Obrazy irackiej rzeczywistości gwałciły oczy, a krążąc po zatłoczonych salach, nie mogłam się powstrzymać przed myśleniem o Filippie. Zazwyczaj to z nim chodziłam na wystawy. Niesamowite, ale zawsze byliśmy tego samego zdania i rozumieliśmy się w lot. Potrafił czasami stać całymi godzinami oparty o ścianę z notesem moleskine w dłoni i długopisem w drugiej i przepisywać opisy, kreślić szkice czy robić notatki. A potem ja nie wytrzymałam, konfiskowałam mu ukochany notesik i wyciągałam go na zewnątrz. Śmialiśmy się jak wariaci.

A jednak, gdyby Filippo teraz tu był, wszystko byłoby bardziej skomplikowane.

---

Nad lagunę nadciąga lekka mgiełka, a dzień zapada się powoli za horyzont. Płynę vaporettem, rozkoszując się zachodem słońca, i odnoszę wrażenie, że przesuвам się po niebie wraz ze słońcem. O tej porze w weneckim powietrzu wisi zawsze pewien rodzaj nostalgii.

Wysiadam na przystanku San Zaccharia, potrącając ludzi zgromadzonych na pomoście. W okolicach przystanków vaporetta inne osoby i ich myśli wydają się szczególnie bliskie i zbliżone do naszych własnych. Wszyscy jesteśmy marynarzami, choć przemierzamy się raptem między różnymi dzielnicami tego samego miasta.

Postanowiłam wpaść do rodziców. Być może uda mi się przy okazji zjeść jedyną w tygodniu kolację godną tego miana. Po kilku dniach, kiedy całkiem brakowało mi apetytu, zaczynam odczuwać głód, ale wciąż nie jestem w nastroju, by zmierzyć się z supermarketem. Gdybym poszła w tej chwili na zakupy, skończyłoby się zapewne na wypełnieniu całego wózka ciastkami



---

z czekoladą oraz wyrzutach sumienia, które pojawiłyby się po zapłaceniu rachunku i spałaszowaniu jednej paczki po drodze.

Szybkim krokiem przemierzam portyki, pod którymi mieści się Caffè Florian<sup>11</sup>, i uciekam przed tłumem, zostawiając plac św. Marka turystom i ich aparatom fotograficznym. Smagana zimnym wiatrem, który zacina w twarz, dochodzę do placu Santa Maria del Giglio i dzwonię domofonem do siedziby państwa Volpe. Odbiera moja matka, która, sądząc po głosie, jest wniebowzięta z powodu mojej nieoczekiwanej wizyty.

Wchodzę po schodach, powoli spowija mnie zapach wyjętego przed chwilą z pieca strudla z jabłkami. Moja mama jest wspaniałą kucharką. Gdyby mnie nie żywiła, z pewnością zmarłabym z głodu w czasie wszystkich tych lat radykalnej diety wegetariańskiej.

Ściągam kurtkę i nadgryzając kawałek strudla, opadam na kanapę. Włączam zestaw stereo, bo tylko tyle mi wolno – zakaz oglądania telewizji

---

przed dziewiątą był zawsze żelazną regułą w domostwie rodziny Volpe. Właśnie dlatego wychowałam się bez kreskówek, a za to przy akompaniamencie składanek Miny i Lucia Battisti.

Moja mama odstawia ciasto na następną ze swoich specjalności – *gnocchi* z dynią – i przechodzi z kuchni do salonu, bombardując mnie pytaniami o otwarcie restauracji Brandoliniego. Nie widziałyśmy się od tamtej pory i byłam pewna, że mnie przeegzaminuje, by wyciągnąć wszystkie informacje o wielkim wydarzeniu tego miesiąca. Opowiadam jej z grubsza, jak było, oczywiście nie wspominając o Leonardzie, ale ona wydaje się nienasycona. Chce wiedzieć wszystko: kto był, a kogo nie było, domaga się szczegółów dotyczących każdej z obecnych osób.

– Przeczytałam w gazecie, że był tam słynny kucharz... – zagaduje mnie, czekając na odpowiedź, która ją zadowoli.

– Tak, mamó, to ten facet, który mieszka w pałacu, gdzie restauruję fresk.

---

Podaję tylko ogólne informacje, ale już czuję, jak policzki zaczynają mi płonąć. Gdyby mama wiedziała, co jej córeczka wyprawia z tym „słynnym kucharzem”... Poprawiam sobie chustkę. Nie ściągnęłam jej, by ukryć jednoznaczny ślad, który Leonardo pozostawił mi na szyi.

– No i jaki on jest? – kontynuuje przesłuchanie.

– Spotkałam go raptem parę razy – mówię ze spuszczonym wzrokiem – ale wydaje się, że gotuje dobrze.

– A co było do jedzenia?

– Mnóstwo rodzajów przekąsek do jedzenia palcami, superskomplikowane dania... Ale nic, co wytrzymałoby porównanie z tym, co ty dla mnie przygotowujesz, mamó – posyłam jej przymilny uśmiezek.

Zadowolona, mama przeczesuje sobie włosy, które od dwudziestu lat farbuje na ten sam miedzi-  
any odcień. Wpada w ekstazę za każdym razem, gdy ktoś pochwali jej umiejętności kulinarne.

---

– Czemu nie zdejmiesz chustki?

No tak, mogłam się tego spodziewać. Nic jej nie umknie.

– Trochę zawiało mi szyję i muszę ją sobie rozgrzać. – Udaję, że krzywię się z bólu.

– Kochanie, musisz cieplej się ubierać przy tym poziomie wilgotności.

– A może to wina fresku. Siedziałam zbyt długo w niewygodnej pozycji na drabinie.

Ratunku, nie dam rady podtrzymać historyjki o skurczu szyi teraz, gdy nasunęło mi się wspomnienie unieruchamiającego mnie Leonarda.

– No tak, jeśli nadwyrężysz mięsień, nietrudno o skurcz – mówi mama z przekonaniem.

Błagam, mamó, nie ciągnij tego tematu. Nie możesz – i nie chciałabyś – wiedzieć, jakie mięśnie nadwyrężyła sobie twoja córeczka. Próbuję zmienić temat.

– Gdzie jest tata?

– Poszedł do sklepu z artykułami metalowymi.

– Po co?

---

– Kto to wie? – kręci głową. – Odkąd przeszedł na emeryturę, cały czas poświęca na majsterkowanie.

– To dobrze. Może poproszę go, żeby zrobił mi nową półkę na książki, bo w mojej biblioteczce nie ma już ani centymetra wolnego miejsca.

– Z pewnością się ucieszy. Wiercenie dziur tą nową wiertarką sprawia mu ogromną radochę.

Dokładnie w tej sekundzie z torebki dobiega dzwonek komórki. Na wyświetlaczu iPhone'a miga numer zaczynający się od 41, weneckiego prefiksu. Kto mógłby do mnie dzwonić z numeru stacjonarnego, którego nie mam zapisanego w pamięci telefonu? O nie, to pewnie z gabinetu dentystycznego, chcą mi przypomnieć o jutrzejszej wizycie.

– Słucham? – odpowiadam rozkojarzonym tonem.

– Cześć, to ja – słyszę silny głos.

To on.

---

Rzucam mamie pogodne spojrzenie, jakby chcąc powiedzieć „wszystko w porządku, to telefon z pracy” – i wychodzę do mojego dawnego pokoju. Czuję, jak w skroniach pulsuje mi krew.

– Leonardo.

Opieram się o kaloryfer i wyglądam przez okno. Przez moment mam wrażenie, że czas staje w miejscu, a woda płynąca w kanale poniżej zatrzymuje swój bieg. Opieram czoło o szybę.

– Gdzie się podziewałeś? Dzwoniłam do ciebie z tysiąc razy.

– Wiem.

– Pomyślałam, że nie chcesz mnie już widzieć – dodaję niepewnie.

– Ależ nie, Eleno, nie tak szybko... Byłem na Sycylii – mówi ugodowym tonem. – Nagle wynikła pewna sprawa i musiałem wyjechać bez uprzedzenia. To wszystko.

– Jeden telefon by ci nie zaszkodził – odpowiadam z lekką irytacją.

Wzdycha.

---

– Nie spodziewaj się ode mnie telefonów, Eleno. Nie oczekuj gestów, jakie rutynowo wykonują pary. Muszę poruszać się swobodnie, dlatego nie chcę się wiązać.

A więc to tak. Sprawa przedstawia się znacznie banalniej, niż sobie wyobrażałam. Mógł wymyślić dowolną historyjkę, a tymczasem mówi mi prosto z mostu: nie odzywał się, bo nie miał ochoty. A ja muszę się na to zgodzić – wóz albo przewóz.

– Jestem w restauracji – mówi dalej. – Wróciłem godzinę temu i jesteś pierwszą osobą, do której dzwonię.

– W jakim celu? – pytam sucho, z uczuciem urażonej dumy.

– Przyjdź do mnie. Czekam na ciebie o północy, po zamknięciu restauracji.

– Dlaczego?

Przekładam telefon do drugiej ręki i wycieram mokry spód dłoni o spodnie. Jestem zdenerwowana.

---

– Dlatego, że chcę cię zobaczyć. – Mam wrażenie, że się uśmiecha, rozbawiony moimi oporami. – Przyjdź ubrana wieczorowo i bardzo głodna. Zjemy razem kolację.

Z góry zakłada, że się zgodzę. Jak zawsze. Chciałabym mieć w sobie dość siły, by powiedzieć mu „nie”, choćby po to, żeby się odegrać za porzucenie mnie w ten sposób. Ale nie ma sensu się okłamywać – ja też mam wielką ochotę się z nim zobaczyć.

– W porządku. Do zobaczenia.

Do diabła z dumą.

– Na razie.

Połączenie się urywa. Ściskam telefon tak mocno, że zaczynają mnie boleć palce. Cieszę się, że się odezwał, nie spodziewałam się niczego więcej, ale wciąż czuję się niepewna, zależna od jego tajemniczych planów. Kto wie, jaka była owa pilna sprawa na Sycylii, przez którą tak nagle się ulotnił? Nie wiem czemu, ale niespodziewanie zbiera mi się na płacz. Nie wiem nic o Leonardzie,



---

o jego przeszłości ani o tym, co robi, kiedy nie ma go przy mnie. Choć znam każdy centymetr jego ciała, jego wewnętrzny świat pozostaje dla mnie zagadką.

Mija chwila, nim wezmę się w garść. Przed powrotem do salonu idę do łazienki, żeby sprawdzić, jak wyglądam. Ogień, który mam w środku, wystąpił mi na czoło, a pomiędzy nogi wkradła się miękko fala wilgoci. Na samą myśl o nim reaguję w sposób fizyczny. Pragnę go do szaleństwa.

Przechodząc do salonu, zastaję mamę pochyloną nad marmurowym blatem w kuchni, w trakcie przetaczania kolejnych klusek widelcem – ta umiejętność za każdym razem robi na mnie wrażenie.

– Kto dzwonił? – pyta, odkrajając kolejny kawałek ciasta.

Namyślałam się przez sekundę i już jestem gotowa do wygłoszenia kłamstwa.

– Gaia.

– Co u niej? Nie widziałam jej od wieków...

---

Przygotowywałam się do kolejnego przesłuchania. Nagle mam *déjà vu* – w czasach licealnych, gdy wracałam wykończona po całym dniu w szkole, mama pytała mnie, jakie oceny dostali moi koledzy i o czym rozmawialiśmy na lekcji włoskiego. Jeśli nie miałam natchnienia, to ona dbała o to, by wypełnić chwile ciszy. Opowiadała mi o dolegliwościach swoich koleżanek, o tym, że urzędnik na poczcie był niesympatyczny i że w warzywniaku spotkała swoją nauczycielkę z trzeciej klasy podstawówki. Od tamtych czasów nic się nie zmieniło.

– U Gai wszystko w porządku, jak zawsze jest zabiegana.

Podchodzę do wieszaka i ściągam z niego swoją kurtkę.

– Przepraszam, mamó, ale nie mogę zostać na kolacji.

– Jak to? Już uciekasz?

Marszczy czoło na znak dezaprobaty i posyła mi krzywe spojrzenie.

---

– Przygotowałam nawet sałatkę owocową, bo wiem, że sama z siebie nigdy nie jesz owoców.

Przygląda mi się jeszcze raz, tym razem podejrzliwie.

– Eleno, jesteś jakaś blada... Na pewno wszystko w porządku?

Blada? A jeszcze przed chwilą wydawało mi się, że płonę żywym ogniem. Cholera. Czyżby odgadła? W liceum nigdy nie chciałam jej mówić, którzy chłopcy mi się podobają, w przeciwnym wypadku zamęczyłaby mnie pytaniami. Tym razem też nic nie powiem. Są tematy, na które naprawdę nie zamierzam puszczać pary z ust. Mam prawie trzydzieści lat i chciałabym, żeby moi rodzice mieli do mnie szacunek, żeby zachowali nieskażony obraz mojej osoby. A moja matka, która sens swojego życia odnajduje w przepisie na strudel i bębenku do haftowania, nigdy nie rozumiałaby relacji pomiędzy mną a Leonardem. Szczerze mówiąc, nawet ja sama jej nie rozumiem.

---

– Tak, wszystko dobrze, mamó. Może po-  
bladłam tak w związku z tym skurczem.

Mama opuszcza wzrok i wygładza spódnicę.  
Jest jej przykro. Najpierw rozbudzam jej nadzieje,  
a potem oznajmiam, że nie mogę zostać na kolacji.  
Bycie jedynaczką to zajęcie na pełny etat – nie ma  
braci ani sióstr, by cię zastąpić, gdy wycofujesz się  
z gry.

– Przestań, nie obrażaj się... – Podchodzę  
i całuję ją w policzek. – Gaia nalegała, wiesz, jaka  
jest. Musi ze mną pogadać o ważnej sprawie.

– Co to za ważna sprawa?

W jej głosie pobrzmiwa wymówka. Być może  
wyczuła, że poza Gaią chodzi o coś jeszcze, i chce  
się przekonać, czy ulegnę.

– Nie wiem, mamó, ale to chyba coś pilnego...  
Uciekam.

– No dobrze, bądź grzeczna.

W końcu się poddaje, ale przed wyjściem  
wręcza mi pojemniczek wypełniony *gnocchi alla  
zucca*.

---

– Włóż do lodówki, jutro też będą dobre.  
I zjedz je!

Mogłam zostać na kolacji u rodziców, a do Leonarda udać się później, ale nie podobała mi się myśl o przejściu z domowego zacisza prosto pod dłuto mojego Pigmaliona. To byłoby zbyt traumatyczne. Nie ma też mowy, bym pozostała sama w domu, wykończyłabym się oczekiwaniem. Zadzwoiłam więc do Gai i zaproponowałam, żebyśmy zjadły razem kolację. Zgodziła się natychmiast. Gdy ostatnio się widziałyśmy, jej romans z Jacopem był w pełnym rozkwicie, ale wyobrażam sobie, że od tamtej pory mogły mieć miejsce rozmaite zwroty akcji, a ona nie może się doczekać, żeby mi o nich opowiedzieć.

Wkładałam czarną bieliznę, którą kupiłam parę dni temu w sklepiku w centrum. Do tego samonośne pończochy i czarna koronkowa sukienka, którą miałam w szafie, ale nigdy jej nie wkładałam. Dostałam ją w prezencie od Gai, nie

---

pamiętam już z jakiej okazji, ale zawsze uważałam, że jest zbyt krótka i wydekoltowana. Dziś wieczór ubieram się jednak po to, by Leonardo mógł mnie później rozebrać, i ta myśl pchnęła mnie do wybrania czegoś odważnego.

Spotykamy się przy pizzerii Oche na Zattere. Na zewnątrz jest spora kolejka, więc proponuję, żeby iść do restauracyjki parę metrów dalej. Nie chcę się spóźnić na spotkanie z Leonardem, ale Gaia nalega, ma ogromną ochotę na pizzę i obiecuje mi, że jeśli nie dostaniemy szybko stolika, zrobi scenę. To rzeczywiście pokrzepiające. Obrzucam ją uważnym spojrzeniem – jest dziś jeszcze bardziej promienna niż zwykle, rysy ma wygładzone, a włosy ułożone perfekcyjnie. Z płatków uszu zwisają jej duże kolczyki z pereł i białego złota.

– Czyżbym miała coś na twarzy? – pyta mnie, szczypiąc się w policzki.

– Przyglądałam się tylko twoim kolczykom. Piękne...

---

– Prawda? To prezent od Jacopa – mówi, uśmiechając się od ucha do ucha.

– Brandolini ma gest, co?

Uśmiecha się. Tylko czekała, aż poruszę ten temat.

– Zabrał mnie do luksusowego hotelu wśród toskańskich wzgórz. Spędziliśmy tam cudowny weekend. Poznałam mnóstwo osób z jego towarzystwa. Wcześniej myślałam, że to banda snobów, a tymczasem...

Opowiada jeszcze przez dłuższą chwilę, wypełniając nudne minuty oczekiwania. Wreszcie pyta, jak mnie minął weekend.

– Świetnie – odpowiadam. – Pracowałam. Poświęciłam maksimum uwagi freskowi.

– A spotkałaś jeszcze później Leonarda? – pyta mimochodem, kiedy prowadzą nas do stolika na piętrze. – Ja nie widziałam go od dnia otwarcia restauracji. Musimy tam jeszcze kiedyś wrócić!

Serce na sekundę przestaje mi bić.

– Jasne, czemu nie?

---

Staram się nie zagłębiać w ten temat. Prawie potykam się na schodach.

Docieramy do stolika, a kiedy ściągam płaszcz, na twarzy Gai pojawia się wyraz zaskoczenia.

– Wreszcie widzę cię w tej sukience!

Przygląda mi się z zadowoleniem w świetle lampy i każe mi się obrócić.

– I nawet makijaż masz niezły. Brawo, co jakiś czas jednak się mnie słuchasz. Pomysł, by nosić się naturalnie, umarł wraz z feministkami w latach siedemdziesiątych.

– Ja zawsze cię słucham – odpowiadam z uśmiechem.

– Pewnie... – i macza łądyżkę selera naciowego w mieszance oliwy z przyprawami. – Naszyjnik też jest ładny. Trochę potężny, ale pasuje jak ulał.

Szkoda, że nie wie, co ukryłam pod nim. W każdym razie aprobata Gai wzmacnia moją nadzieję, że spodobam się też Leonardowi.



---

Do naszego stolika podchodzi kelner, żeby przyjąć zamówienie. Ona prosi o pizzę z rukolą i plastrami bresaoli<sup>12</sup>, ja biorę sałatkę. Leonardo powiedział, że mam przyjść głodna, nie chcę więc psuć sobie apetytu.

Gaia rzuca mi zdziwione spojrzenie.

– Nie zamawiasz nic więcej? Mam sama opychać się węglowodanami?

Próbuję ją udobruchać.

– Już ci mówiłam, praktycznie zjadłam kolację u rodziców. Znasz przecież strudel mojej matki...

– No tak, strudel Betty... W porządku, dziś masz alibi.

Mówi do mnie, ale patrzy na kelnera, który wciąż stoi przy naszym stoliku i który, muszę przyznać jej rację, jest naprawdę przystojnym chłopakiem. On się uśmiecha, ona również, kokieteryjnie.

– Bardzo proszę, żeby pizza była... mocno wypieczona – mówi, przeczesując palcami włosy.

---

Kelner potakuje, po czym się oddala. Gaia odprowadza wzrokiem jego dolne partie, przepasane fartuszkami i odziane w obcisłe spodnie.

– Ale wiesz, że on jest dla ciebie za młody? – mówię, nie przejmując się tym, że kelner może nas usłyszeć.

– Co takiego? – pyta z niewinną miną. – Oj, przestań, wcale nie flirtowałam. Nie myśl sobie, to tylko dlatego, że on jest gejem.

Wybuchamy śmiechem. Pomimo że pojawił się Brandolini, Gaia pozostała niepoprawną femme fatale. Za to ja się zmieniłam. Zawsze opowiadałam jej o swoich historiach miłosnych, ale o Leonardzie nie mam siły mówić. Musiałabym jej wytłumaczyć, że nie chodzi tak naprawdę o związek, że między nami istnieje pakt, rodzaj perwersyjnej gry, na której on może tylko zyskać, ja zaś mogę stracić jedno – samą siebie. Nie, nie sądzę, by Gaia mogła to pochwalić. Co więcej, niepokoiłaby się o mnie i namawiałaby mnie,

żebym dała sobie z tym spokój. Ale ja nie chcę spokoju, przynajmniej jeszcze nie teraz.

– Słuchaj, a co tam u Filippa? – rzuca nagle, wycierając delikatnie kąciki ust serwetką. – Kiedy ostatnio z nim gadałaś?

– Dobre parę dni temu, przez Skype’a. Jest zaganiany w związku z pracą.

– *Mamma mia*, choćby dlatego pasujecie do siebie idealnie. Para pracoholików! – gestykuluje żywo rękoma. Potem się nachyla i z całkowitą powagą mówi: – Ele, mówiłam ci już, że powinnaś spróbować z nim czegoś więcej.

– No, nie wiem... – Wbijam wzrok w obrus.

Filippo wydaje mi się w tej chwili taki odległy... Gaia się krzywi.

– Czemu jesteś tak pełna zahamowań? Wyluzuj i raz w życiu posłuchaj swoich emocji...

– Mówiłam ci już, chodzi o dzielącą nas odległość...

To oraz fakt, że uprawiam seks z innym facetem.

---

– Więc pojedź do niego! Moglibyście też porobić coś przez Skype, na przykład... – ciągnie coraz bardziej złośliwym tonem.

– Przestań, nie sądzisz chyba, że to w stylu Filippa...

– O rany, Ele... Pobudka! To po prostu facet... Nie sądzę, żeby różnił się aż tak bardzo od wszystkich innych.

– OK, wystarczy! – ukrywam się za serwetką.

I dokładnie w tej chwili przed oczami pojawia mi się odbity w lustrze mój wizerunek, gdy zaspokajam się w ramionach Leonarda.

Na szczęście na stół wjeżdżają nasze zamówienia. Biorę do ust pierwszy kęs sałatki i już wiem, że skończenie jej będzie ogromnym wyzwaniem. Żołądek mam ściśnięty, a danie wydaje mi się w beznadziejny sposób pozbawione smaku. Teraz w myślach mam jedynie zapach i smak Leonarda – coś, co przywodzi na myśl ambre, morze i dalekie lądy. Zadaję sobie pytanie,

---

czego się spodziewam po naszym spotkaniu, ale po chwili odpędzam tę myśl.

Żeby zająć głowę czymś innym, zagaduję Gaię.

– A więc Jacopo naprawdę ci się podoba. Ale wytłumacz mi jedno: jakie miejsce na twojej liście pragnień zajmuje kolarz?

Wyraz twarzy Gai się zmienia. Nie spodziewałam się, że dotknę czułego miejsca.

– Niestety, wciąż myślę o Belottim – wzdycha.  
– Wiem, że teraz jest z resztą drużyny na zgrupowaniu, ale prędzej czy później do mnie zadzwoni, zobaczysz.

Jestem zaskoczona, nie spodziewałam się, że jej uczucie do tego faceta jest aż tak trwałe.

– No i co byś wtedy zrobiła? Brandolini poszedłby z dnia na dzień w odstawkę?

– Kto wie, może dla niego byłabym do tego zdolna. – Odszukuje wzrokiem kelnera i prosi o rachunek, kreśląc zygzak w powietrzu. – Ale na razie twardo trzymam się Jacopa.

---

– I dobrze robisz. Kibicuję raczej hrabiemu niż kolarzowi.

– Idziemy się czegoś napić w Skyline? – proponuje Gaia, odzyskując nagle swoją zwykłą beztroskę.

Już wcześniej przygotowałam sobie na tę okoliczność wymówkę:

– Nie mogę. Jutro wcześniej wstaję do pracy – mówię udawanie zaspanym głosem, wieńcząc wypowiedź ziewnięciem jak się patrzy.

– Mogłabym się założyć o moje szpilki od Manola Blahnika, że odmówisz. – Dobrze, moje umiejętności aktorskie okazały się przekonujące. – Ale obiecaj, że jak tylko wrócisz do domu, włączysz komputer i zadzwonisz do Filipa.

– W porządku... o ile nie śpi.

Rozstajemy się przy moście. Przytulam Gaię i dziękuję jej za przyjemny wieczór. Robię kilka kroków w kierunku domu, ale już po chwili skręcam w drugą uliczkę w prawo i ruszam

---

biegiem przed siebie. Ku pokusie, której już nie potrafię się oprzeć.

Idąc wzdłuż Canal Grande, docieram do campo San Polo. Jedyne kilka ze stojących przy niej kamienic jest wciąż rozświetlonych, większość niknie już w półmroku. Ciemność pogłębia jeszcze typowa dla wczesnej zimy mgiełka, która zmiękcza kontury i rozmywa barwy. Jest mi zimno, mam ręce jak kostki lodu, ale wewnątrz czuję gorący wir. Ściągnęłam naszyjnik i chustę, które teraz straciły swoją rację bytu. Teraz pragnę należeć do niego każdym centymetrem skóry.

Restauracja jest zamknięta. Dzwonię do Leonarda na komórkę. Nie odpowiada, ale po chwili widzę zarys jego sylwetki za szybą drzwi wejściowych. Otwiera drzwi i ukazuje się na progu ze swoim zwykłym wymiętym wyglądem i miną kogoś, kto ma mało wiary w świat, ale za to dużo w samego siebie. Wciąga mnie do środka, łapiąc w tali, i przyciska mocno swoje usta do moich.

– Witaj.

Chwytam się jego pleców jak solidnej skały. Pojechał sobie, nie zostawiając ani śladu, zadał mi ból, ale oto znów jest w moich objęciach, a ja już zapomniałam o wszystkim.

Prowadzi mnie pewnym krokiem przez salę, pomiędzy stolikami, aż do swojego królestwa. Do kuchni. To miejsce może wzbudzać lęk – ascetyczne i uporządkowane, tonące w półmroku. Kto wie, jakie piekło rozpętuje się tutaj, gdy goście siedzą wygodnie na sali i czekają na swoje zamówienia. Kuchnia przypominałaby laboratorium, gdyby nie to, że koniec jednego z blatów jest nakryty jak restauracyjny stół i rozświetlony smugą pomarańczowego światła. W głębi, na tym samym blacie, stoi kilka półmisek ze srebrnymi przykrywkami. Sztućce, talerze i kieliszki są minimalistyczne i błyszczą jak narzędzia chirurgiczne. I rzeczywiście, sceneria bardziej kojarzy się z eksperymentem niż z kolacją.

– Oto twoje miejsce.



---

Leonardo pomaga mi zdjąć płaszcz, sadza mnie na jednym ze stołków, po czym sam zajmuje miejsce.

– Nigdy nie jadłam w kuchni restauracji. Co więcej, wydaje mi się, że nawet nigdy do żadnej nie weszłam. – Rozglądam się wokół z ciekawością.

– Powinnaś zobaczyć, jak wygląda w ciągu dnia, pełna ludzi, hałasu i ruchu. Ale ja wolę ją w nocy, gdy jest pusta i cicha.

Jego wzrok wędruje po mojej sukience.

– Jesteś bardzo elegancka – zauważa z zadowoleniem. Potem zatrzymuje spojrzenie na mojej szyi. – A ten ślad?

– Ty mi go zostawiłeś. – Instynktownie zasłaniam się dłonią.

Leonardo odsuwa ją i pochyliwszy się ku mnie, przyciska do malinki swoje ciepłe i miękkie usta.

– Jesteś głodna? – pyta następnie, podając mi aperitif składający się z truskawek i szampana.

---

– Dosyć – odpowiadam, gdy nasze kieliszki stykają się z cichym brzękiem. W rzeczywistości w żołądku wciąż mam węzeł. Chcę jego, a nie jedzenia. Lekko moczę wargi i odstawiam kieliszek na blat.

– Musisz wypić do dna – upomina mnie z lekką groźbą w głosie.

– Nie mogę. Od drugiego łyku zaczyna mi się kręcić w głowie. Wiem to.

– To dobrze. Znów będę musiał odnieść cię do domu na plecach.

Uśmiecha się, ale z jego spojrzenia wnioskuję, że nie mogę odmówić. Biorę łyk aperitif pod język, a gdy tylko spływa w dół, czuję, że żołądek skręca mi się jak suchy liść. Pali, ale muszę przyznać, że jest dobry.

– To nie jest tylko poświęcenie, prawda? – pyta, także pijąc łyk.

Przytakuje i dalej sączę szampana. Leonardo bierze kostkę lodu i przesuwa ją wzdłuż mojej szyi, a później maluje nią linię aż do wypukłości

---

piersi i przejeżdża po niej językiem. Moje ciało natychmiast przeszywa dreszcz, sutki twardnieją, domagając się języka i zębów, które by je dręczyły. Ale na to jeszcze nie nadszedł czas, moje pragnienie musi poczekać. On ma w planach coś innego.

– Dziś wieczór, Eleno, to podniebienie będzie twoim przewodnikiem na drodze do przyjemności – szepcze. – Chcę, żebyś zapomniała o wszystkich swoich upodobaniach i przyzwyczajeniach i próbowała wszystkiego, nawet potraw, które ci nie smakują albo nie smakowały do tej pory.

Unosi srebrną przykrywkę znad talerza pełnego marynowanych ostryg. Oto jego koncepcja – chce przewyciężyć moje kulinarne uprzedzenia. Ale mu się nie uda.

– Błagam cię, nie – proszę go z przymkniętymi oczami.

Nie wiem, czy dam radę. W pewnym momencie mojego życia, jeszcze jako nastolatka, zaczęłam postrzegać wszystko, co było kiedyś żywe,

---

jako niejadalne. Od tamtej pory zjeść mięso jakiegokolwiek zwierzęcia to dla mnie tak, jakby mieć trupa w żołądku. Zdaję sobie sprawę, że brzmi to nieco dramatycznie, ale tak po prostu jest.

– Już próbowałam ostryg. Zapewniam cię, mam po nich odruch wymiotny – mówię z nadzieją, że się nade mną zlituje.

Kręci przecząco głową. Jest nieugięty.

– W tej chwili wszystkie minione doświadczenia się nie liczą. Pozwól, by to twoje zmysły oceniły. Tu i teraz.

Zdecydowanym ruchem sięga po ostrygę i przysuwa mi ją do ust. Z wahaniem nadgryzam mięczaka i czuję, jak miękkie mięso rozpływa się między moim językiem a podniebieniem. Wydaje się wciąż żywe. Ale nie smakuje śmiercią, tak jak się spodziewałam, tylko morzem. Ten smak jest szalenie kobiecy i intrygujący. Przeliżam i dopiero wtedy odkrywam posmak kandyzowanej pomarańczy.

---

– Zestawienie z kandyzowanymi owocami to mój sekret. – Leonardo patrzy na mnie tak, jakby odczuwał wszystko to, czego doświadczam. Sam też zjada jedną ostrygę. – No i widzisz? Przeżyłaś... Dalej, weź jeszcze jedną.

Wciąż niepewnie, sięgam po jeszcze jedną muszlę. Tym razem odrywam od niej mięczaka językiem, tak jakbym dawała bardzo wyuzdany pocałunek. Czuję, jak mnie z kolei wysysa magnetyczne spojrzenie Leonarda, ale wcale mnie to nie onieśmiela, a przeciwnie – podnieca. Nie spuszczając ze mnie wzroku, sięga po otwartą butelkę valpolicelli i rozlewa wino do wysokich kieliszków.

– A teraz spróbuj tego.

Piję gęste i ciemne wino. Jest mocne, aromatyczne, rozgrzewa serce, a potem idzie do głowy, żeby w niej namieszać. Leonardo wstaje, by przynieść jeszcze dwa talerze, a ja osuwam się w przyjemne upojenie. Obserwuję, jak jego umięśnione ciało porusza się ze zdumiewającą

---

zwinnością, i usta układają mi się w błogi uśmiech. Kiedy on wraca, próbuję ten uśmiech ukryć, opierając podbródek na ręce.

– Jesteś już wstawiona... ale podobasz mi się też w takim wydaniu. I nie próbuj tego ukrywać – upomina mnie, zbliżając się z miną dorosłego, który złapał dziecko na podjadaniu marmolady.

Stawia talerze na blacie i przygląda mi się uważnie:

– Z tymi czerwonymi policzkami i skrzącymi się oczami wyglądasz pięknie.

Instyktownie zwracam wzrok ku mojemu odbiciu na srebrnej przykrywce i odkrywam, że Leonardo ma rację. Moja skóra się zaróżowiła, przede wszystkim na kościach policzkowych, a w moim spojrzeniu jest dziwne, jakby płynne światło. Wydaje mi się to zabawne. Wciąż jeszcze analizuję swój wizerunek, kiedy Leonardo podnosi przykrywkę, ukazując talerz. W całej swojej bezwstydney monstrualności ukazuje się tatar z czerwonego mięsa. Jestem przerażona. Cofam się

---

instynktownie, próbując zmasać z twarzy grymas obrzydzenia. Do moich nozdrzy dociera woń krwi wymieszana z aromatem ziół. Rzucam zagubione spojrzenie Leonardowi, a on kiwa głową, nieustępliwy.

– Tak, Eleno. Musisz go zjeść. Na surowo.

Wypijam jeszcze łyk wina dla kurażu. Może to ma mnie przygotować na mocne smaki – myślę. A jednocześnie mam poczucie, że nie dam rady, że to dla mnie zbyt wiele. Przełykam ślinę.

– Nie staraj się odgadnąć, jaki ma smak – sugeruje mi Leonardo. – Spróbuj i tyle.

Potem wsuwa widelec w tatar, próbuje go, po czym zanurza dwa palce w sosie imbirowym i rozsmarowuje mi go na ustach. Następnie wyciera je, przesuwając po nich językiem, który na sekundę wdziera się do moich ust, mokrych od żądz. Wraz z jego smakiem wyczuwam delikatny, ale natrętny smak mięsa zmieszany z imbirem.

Bierze widelec z mojego talerza i podsuwa mi go do ust. Stawiam słaby opór i już czuję brutalny

i krwawy smak na podniebieniu. W wyuczonym odruchu gryzę i przełykam, ale żołądek się buntuje, skręca w skurczu. Natychmiast biorę łyk wina, żeby zmazać ten smak.

Leonardo bada każdą moją reakcję.

– Dalej, Eleno, spróbuj jeszcze raz. Jeśli coś nie smakuje przy pierwszej próbie, nie jest przecież powiedziane, że nie może zasmakować przy drugiej. W przyjemności nie ma nic wrodzonego ani instynktownego. Trzeba dojść do niej pomału. Zdobyć ją.

Spoglądam na talerz, zaciskając pięści. A potem, wiedziona siłą woli, chwytam widelec i biorę jeszcze kęs. Tym razem smakuje mięso dłużej, spokojnie oddychając. Nie wiem, czy jest dobre, czy nie, ale ma w sobie coś z owocu zakazanego, dwuznaczny smak złamanych zasad. Nabieram odwagi, sięgam po jeszcze trochę. I jeszcze. Nie chce mi się wierzyć – jem mięso. Po tylu latach, gdy zapomniałam nawet, jaki ma zapach. Czuję, że jest w tym coś zwierzęcego, dzikiego,



---

prymitywnego. Robię to, bo zażądał tego Leonardo, bo jego wygłodniałe spojrzenie sprawia, że tak właśnie się czuję – jak mięso, ofiara, czysty instynkt. I, muszę przyznać, podoba mi się to. To nasze jedzenie naprzeciwko siebie, patrzeć na siebie i picie wina już jest uprawianiem miłości. Zupełnie jakbyśmy żywili się sobą nawzajem.

Skończyliśmy tatar, a Leonardo zabrał się za doprawianie oliwą i peperoncino sałatki z kopru włoskiego, pomarańczy i czarnych oliwek. Potem miesza ją rękoma. Jego oczy polują na mnie, ale ja nie uciekam, czekam, aż po mnie przyjdzie, nie spiesząc się. Czuję się naraz odważna i bezbronna, jestem w stanie wszechwładzy i bierności. Co jest tego przyczyną – on czy wino? Sama nie wiem i jest mi wszystko jedno. Straciłam kontrolę i nie chcę jej odzyskać. Cokolwiek on ma w planach, chcę, żeby to zrobił.

Nakłada mi na talerz trochę sałatki, a gdy próbuję, zbliża się jeszcze bardziej. W gardle czuję ogień peperoncino mieszający się z kwaskowym

---

smakiem pomarańczy, z goryczą oliwy i świeżością kopru włoskiego.

– Przygotuj się, Eleno, bo kolejną rzeczą, którą zjem – Leonardo szepcze mi do ucha – będziesz ty.

Jego dłoń wsuwa się pod moją spódnicę, pokonuje granicę pończoch, dociera aż do fig. Bez ogródek zakrada się pod gumkę i penetruje mnie bezwstydnie.

Widelec wypada mi z ręki, brakuje mi tchu. Peperoncino, które zostało na jego palcach, szczypie mnie między nogami, wzniecając istny pożar. Próbuję się cofnąć, całkiem zdezorientowana, ale Leonardo mnie powstrzymuje.

– Nie uciekaj, to na nic – rozkazuje.

Ściąga mi majtki i rzuca je na ziemię, rozsuwa mi dłońmi kolana i kuca przede mną. Jego usta przywierają do mojego łona w żarłocznym pocałunku. Ssie, smakuje, liże. Kłucie jego rudawego zarostu łączy się z pieczeniem, a ja muszę chwycić się dłońmi brzegu blatu, ścięta z nóg tą słodką torturą. Leonardo wyłania się na chwilę, by na mnie

---

spojrzeć, tak jakby chciał podziwiać efekt, jaki na mnie wywiera.

– Nie przestawaj, proszę... – błagam. Chcę, by dalej pochłaniał mnie w ten wyszukany sposób.

Jego wilgotne, czerwone usta układają się teraz w perwersyjny uśmieszek, a potem znów dotykają mojej łechtaczki. Oczy wciąż ma utkwione w moich, podczas gdy język wraca do pieszczot. Jego usta na moim łonie, jego ręce na moich udach, jego spojrzenie w moim. To zmysłowy raj, o jakiego poznaniu nigdy nawet nie marzyłam. Podnoszę dwa palce do ust i zaczynam je ssać, jęcząc i zapominając się, wyzbywając wszelkich hamulców. Ogień bucha coraz silniej, docieram do szczytu przyjemności i odrzucam głowę do tyłu, wydając z siebie głęboki krzyk. Potem opadam na blat, pomiędzy talerze i sztućce.

Leonardo wstaje, oblizując wargi. Widzę go, wychodząc z orgazmu, z wciąż jeszcze zamglonymi oczami. Jego widok wydaje mi się zmysłowy, a zarazem zabawny. Potem nasze

---

spojrzenia się spotykają, uśmiechamy się do siebie i wybuchamy śmiechem. Jeśli za to uczucie pełni i szczęścia odpowiedzialne jest wino, to żałuję wszystkich lat głupiej abstynencji... Ale nie sądzę, by chodziło tylko o to. Gdy zaś Leonardo obejmuje mnie i całuje, zyskuję pewność.

– Jesteś piękna. A najpiękniejsza, kiedy się śmiejesz – szepcze mi do ucha.

Wszystko we mnie natychmiast się skręca i zanim udaje mi się nad sobą zapanować, ogarnia mnie pragnienie, by trzymał mnie tak już zawsze.

Po chwili odsuwa mnie od siebie i ujmuje moją twarz w dłonie.

– To jeszcze nie koniec kolacji. Nie było deseru. Masz ochotę?

– Tak.

Odpowiedziałabym w ten sposób na każde zadane przez niego pytanie. Wyjmuje z lodówki butelkę, a gdy stawia ją na blacie, odczytuję z etykiety nazwę – Picolit.

---

– Bardzo lubię to wino – mówi, otwierając butelkę. – Jest wytwarzane z rzadkiej odmiany winorośli. Ze względu na wadę genetyczną jedynie nieliczne grona utrzymują się aż do stanu dojrzałości. Na pierwszy rzut oka wydają się brzydkie, jakby chore, nie sprawiają wrażenia, żeby mogło z nich powstać coś dobrego. A tymczasem... Spróbuj – Nalewa mi trochę.

Upijam łyk i czuję lejącą się słodycz.

– Przepyszne – komentuję.

– To wino udowadnia, że nawet w błędzie i w defekcie może kryć się coś wspaniałego. Wystarczy mieć cierpliwość, by to odkryć.

Całuje mnie swoimi miękkimi ustami, po czym wyciąga z kieszeni spodni jedwabną chustkę. Przebiega mi przez myśl, że znów chce mi nią przewiązać oczy, ale natychmiast wyprowadza mnie z błędu.

– Nie bój się, tym razem to nie na oczy.

Mówiąc do mnie tym swoim intensywnym głosem, obraca mnie, aby związać mi nadgarstki za

---

plecami. Potem wypija łyk wina i przysuwa kieliszek także do moich ust. Piję tak, jakby stało się to dla mnie najnaturalniejszą rzeczą na świecie.

Wyciąga z zamrażarki kolejną tacę. Podlawszy deser odrobiną Picolit, stawia go przede mną. Podany w wysokim cylindrze sorbet z ciemnej czekolady w całej swojej kuszącej okazałości.

– Śmiało. Spróbuj.

Na jego twarzy ukazuje się drwiący uśmiech.

Pochyliłam się do przodu i zaczynam lizać. Wpierw powoli, potem coraz bardziej łakomie. Czuję, jak czekolada topi się pod moim ciepłym językiem. Leonardo obejmuje mnie od tyłu i towarzyszy mi w tym powolnym tańcu. Czuję jego twardą męskość opartą o moje pośladki, jego umięśniona klatka piersiowa przyciska się do moich pleców, a język lekko ślizga się po szyi.

Czuję ciężar i zdaję sobie sprawę z absolutnej nieobecności jakiegokolwiek myśli. Picolit przywołał z powrotem stan upojenia, a Leonardo – pożądanie.

---

Nagle odrywa się ode mnie. Widzę kątem oka, że ściąga koszulę i spodnie, a następnie powolutku zdejmuję moją sukienkę. Pod spodem jestem już naga i mokra, a gdy we mnie wchodzi, otwieram się, by go przyjąć. To uczucie, kiedy jest we mnie, jest upajające – to tak jakbym przyjmowała cały wszechświat. Jego zachłanna męskość syci się mną. Zdaje mi się, że w każdej chwili może nadejść eksplozja, nie mogę się jej doczekać, ale jednocześnie pragnę, by to trwało wiecznie. Wysuwa się i wchodzi we mnie, jakby podążając za nutami szybkiej melodii, a moje biodra pragną poruszać się zgodnie z jego rytmem. Wkrótce gubię się w kolejnym orgazmie, w omdleniu pełnym potu, śliny i jęków.

Leonardo niemal nie daje mi czasu na odzyskanie sił, rozwiązuje mi ręce i obraca mnie.

– Teraz twoja kolej, Eleno – mówi, kładąc mi jedną dłoń na swoim wyprężonym penisie, a sam opiera się o blat.

---

Z lekkim wahaniem zaczynam go pieścić, najpierw powoli, potem coraz szybciej. Klękam przed nim i odrobiną śliny zwilżam usta i język. Jego męskość mnie wzywa. Chwytam ją u nasady, przytrzymując skórę kciukiem i palcem wskazującym, a drugą ręką głaszczę go po wewnętrznej stronie ud i jądrach. Oblizuję go dwa razy, pozwalając ślinie spłynąć po linii ognia, potem zaczynam ssać. Leonardo ujmuje delikatnie moją głowę i zaczyna ślizgać się powoli w przód i w tył w moich ustach, wzmacniając siłę moich ruchów. Rośnie w moich ustach, wywołując i we mnie wilgotną przyjemność. Gdy idę do góry, wykonuję delikatne skręty głową, a potem skupiam się na czubku – opieram koniuszek języka o dolną krawędź żołądki, delikatnie uciskając wędzidełko.

– Tak, Eleno, właśnie tak – jęczy. – Podoba mi się to, co robisz.

Spoglądam na niego. Ma przymknięte usta i oczy. Rozkoszuje się. Mnie także sprawia przyjemność, że mogę wziąć tego mężczyznę, tak



---

dużego i silnego, i zamienić go w kłębek rozkoszy. Wtedy ja też czuję się silna.

Kontynuuję w ten sam sposób aż do chwili, gdy Leonardowi wyrywa się głośniejszy jęk i czuję, że dochodzi. Pozwalam, by zrobił to w moich ustach. Przyjmuję ciepłe nasienie, a jego członek wciąż pulsuje między moimi wargami. Gdy jest po wszystkim, odsuwam się delikatnie. On ujmuje mnie pod ramiona i pomaga mi wstać. Obejmuje mnie w talii i przygląda mi się. Wciąż mam jego spermę w ustach. Jeszcze nigdy tego nie robiłam, ale tym razem zastanawiam się, jak by to było ją połknąć. Przestaję więc to sobie wyobrażać i robię to. Po prostu. Jest słodkawa i śliska, ale ma w sobie także coś niesamowicie intrygującego, jak wszystko, co związane z Leonardem. Teraz to wiem.

To nie jestem ja. A może tak – to właśnie jestem ja i powinnam nauczyć się odkrywać siebie samą, rozliczyć się z tą Eleną, która, jak się wydaje, przez tyle lat była we mnie uśpiona. On

---

uśmiecha się do mnie, niemalże zdziwiony, po czym opiera się czołem o moje czoło.

– Teraz znasz także mój smak, Eleno – i całuje mnie całymi ustami.

Po chwili opieram głowę o jego pierś i słucham bicia serca. Dźwięk jest spokojny i regularny. Mogłabym wsłuchiwać się w niego godzinami.

Gdy się ubieramy, myślę znowu o minionych dniach bez Leonarda, o chłodzie naszego rozstania, ale też o głębokim porozumieniu, jakie jest między nami, o naturalności, z jaką do siebie wróciliśmy. Nadal czuję się przy nim w pewnym sensie obco – powierzyłam mu moje najbardziej intymne, sekretne życie, ale wciąż go nie znam.

Zupełnie tak, jakby jego dusza miała dwie strony – tę słoneczną i hedonistyczną, którą lubi pokazywać, i tę tajemniczą, czarny cień, który pozostaje zazdrośnie ukryty, ale choć niewidzialny,

---

wciąż jest z nim i jedynie ktoś, kto go nie zna, może tego nie widzieć.

Odwracam się, by na niego spojrzeć, i wpada mi w oko ten dziwny tatuaż między jego łopatkami. Zbliżam się i muskam go palcami. Wiem, że tam kryje się jego sekret. Zbieram się na odwagę i pytam:

– Kiedy go sobie zrobiłeś?

Jego oblicze w okamgnieniu zasnuwają chmury, a on staje się jak kamienny posąg.

– Nie chcę o tym rozmawiać – odpowiada sucho.

– Ale w ten sposób jedynie podsycasz moją ciekawość – zauważam.

– Wiem. Ale niestety w tej akurat dziedzinie pozostanie niezaspokojona. – Szybko wkłada koszulę. Potem nagle wbija we mnie wzrok, tak jakby uznał, że należy uściślić tę wypowiedź. – Są sprawy, które chcę zachować dla siebie, Eleno. Nie musimy wiedzieć o sobie wszystkiego.

---

Pomiędzy nami może być tylko seks, nic innego – to chciał mi powiedzieć. Zaciskam usta, nie chcę mu dawać do zrozumienia, że dla mnie ten warunek jest trudny do zaakceptowania.

W kuchni nagle zrobiło się lodowato.

– Chodź, odprowadzę cię do domu – mówi, wracając do miłego tonu. Ale widać, że spieszy mu się do wyjścia.

Nie tracąc czasu, narzucam płaszcz i ruszam pierwsza szybkim krokiem w stronę drzwi. Zanim jednak zdążę je otworzyć, on chwyta mnie za ramię i przyciąga do siebie.

– Posłuchaj, Eleno... Przepraszam, jeśli byłem szorstki. – Ściska mnie tak mocno, że niemal sprawia mi ból. Spoglądam na niego pytająco i odnajduję na jego twarzy grymas udręki, jakiego nigdy dotąd u niego nie widziałam. – Musisz mi coś obiecać.

– Co takiego?

– Że się we mnie nie zakochasz.

---

Dlaczego mówisz mi to teraz? Zadaję to nieme pytanie bardziej sobie niż jemu, wciąż wpatrując się w niego szeroko otwartymi oczami.

– Chodzi mi wyłącznie o twoje dobro – kontynuuje Leonardo, wbijając mi palce w ramiona. – Ponieważ ja się w tobie nie zakocham. A jeśli któregoś dnia się zorientuję, że za bardzo się zaangażowałaś, skończę z tym. Przysięgam, że się nie zawaham.

Przełykam ślinę, starając się pozbyć węzła, który czuję w gardle. Przybieram pozę kobiety silnej i wyemancypowanej. Mam przecież jakąś dumę.

– W porządku. Postawiłeś sprawę jasno już na początku – mówię, mając nadzieję, że zabrzmii to spokojnie i pewnie.

– A więc przyrzeknij – potrząsa mną, nie rozluźniając uścisku.

– Dobrze, przyrzekam.

Wreszcie mnie puszcza i wychodzimy razem na powietrze. Masuję sobie ramiona i podążam za

---

nim ulicą w milczeniu. Oczywiście, że się w nim nie zakocham, powtarzam sobie i czuję, jak kotłuje się we mnie narastający gniew. Niczego o nim nie wiem, wymyka mi się, jest szalony, wręcz brutalny. Ja zaś jestem niezależną kobietą, całkowicie zdolną do utrzymywania intymnych relacji bez komplikowania wszystkiego uczuciami. Pociągamy tak jeszcze trochę, a potem każde pójdzie swoją drogą, tak jak ustaliliśmy na samym początku.

Nie zakocham się w nim.

Nie zakocham się w nim.

Powtarzam to raz za razem, aż słowa tracą znaczenie, a moja modlitwa staje się całkiem pusta.

Wracam do domu z kina. W Giorgione grali trzeci film z retrospektywy Giuseppe Tornatorego. Poszłam na niego sama. Chyba tylko Filippo byłby w stanie przełknąć dwie i pół godziny *Baarii*, ale jego tu nie ma, a ja czuję, że coraz bardziej się od siebie oddalamy. Nasze randki na Skypie stają się ostatnio coraz rzadsze, przede wszystkim z mojej winy. To, że jest tak daleko, ma swoje odbicie także w moich myślach – co jakiś czas odnoszę wrażenie, że zaczynam zapominać jego twarz, że nie pamiętam już wcale jego głosu.

Mój umysł zdominowała teraz jedna jedyna myśl – Leonardo. Wszystko mi o nim przypomina, jest ze mną, cokolwiek robię. Nie mogę się od niego uwolnić. Będąc w kinie, zatopiona w spalonych słońcem pejzażach, wpatrzona w wysmagane wiatrem twarze, nie mogłam przestać myśleć o Sycylii. O jego ojczyźnie. Kto wie, jakie twarze

mają jego rodzice i jego przyjaciele, w którym miasteczku się wychował? Czemu marzę o tym, żeby któregoś dnia tam pojechać? Być może razem z nim?

Dość tego. Zaczynam fantazjować, a to niedobrze. Nie wolno mi ulec myśli o zakochaniu. Muszę kontrolować sytuację, zachowywać się racjonalnie, rozdzielić serce, umysł i ciało. Minął miesiąc od naszego pierwszego razu i nie wiem, jak to wszystko się skończy. Może bardzo źle dla mnie... Ale nie mam zamiaru z tego rezygnować. Chcę przeżyć tę przygodę do samego końca.

Jest dziesiąta wieczór, na zewnątrz panuje ziąb, a w wodzie kanałów odbijają się świąteczne lampki ozdabiające fasady pałaców. Nie chce mi się wierzyć, że za dwa tygodnie będzie Boże Narodzenie. Czas tak szybko zleciał...

Słyszę dobiegający z uliczki gwizd, a potem męski głos: „A n’vedi!” – „Obczaj ją!”. Potem słyszę dwóch chłopaków obgadujących mnie z mocnym rzymskim akcentem. Mijają mnie,



---

skrupulatnie taksując wzrokiem, posyłają mi pełne samozadowolenia uśmiechy i znikają rozgadani za moimi plecami. Wczoraj także przydarzyło mi się coś podobnego – jeden facet wbił we mnie wzrok, a potem obejrzał się za mną. Byłam zaskoczona, nie jestem do tego przyzwyczajona. Zanim poznałam Leonarda, takie sytuacje nie zdarzały mi się zbyt często, być może dlatego, że podświadomie ich unikałam, traktując ludzi z dużą dozą dystansu. Zmieniłam się, mam w sobie nową, zmysłową energię. Inni chyba też musieli to zauważyć, bo patrzą na mnie w odmienny sposób. Ja także inaczej spoglądam na siebie w lustrze – czerpię przyjemność z tego, co widzę w odbiciu. Zmieniłam się, ale podobaam się sobie. To jest pewne. Moje nagie ciało nie jest już widokiem, którego bym unikała, lecz czymś intymnym i bliskim, krajobrazem, w którym poruszam się bez zahamowań. Już nie boję się go pokazywać lub używać do prowokowania – bielizna z czarnej koronki, buty na obcasach, lekki makijaż i sukienki z dekoltem

---

przystały stanowić dla mnie tabu. To Leonardo pomógł mi odkryć kobiecość, której wcześniej nie dostrzegałam. Pragnąc za wszelką cenę stać się kobietą dla niego, stałam się nią także dla siebie samej i dla innych.

Przed powrotem do domu zbaczam trochę z drogi, nadkładam kilkaset metrów. Wolnym krokiem zbliżam się od zaplecza do pałacu Brandoliniego, tylko po to, by poczuć, że jestem blisko niego. Stąd mam widok na mieszczące się na piętrze mieszkanie Leonarda. Pali się u niego światło. Kusi mnie, żeby zadzwonić domofonem, ale wiem, że w ten sposób złamałabym nasz pakt. Zawsze czekam, aż to on do mnie zadzwoni, aż złoży mi niemoralną propozycję, i niekiedy te chwile oczekiwania niesamowicie mi ciążyą, bo ja chciałabym spotykać się z nim nieustannie. Podnoszę wzrok ku jego oknom i wpatruję się.

No chodź, Leonardo. Wyjrzyj z okna i powiedz mi, że mnie pragniesz. Jestem tu dla ciebie.

---

Nagle widzę przesuwany się za szybami cień, który nie należy jednak do niego. To zarys kobiety – poznaję to po konturze piersi i długich falujących włosach. Naga kobieta... skrzypaczka! Jestem pewna, że to ona. Serce na sekundę przestaje mi bić, a krew zatrzymuje swój bieg. Nie śnię, to wszystko dzieje się na moich oczach.

Ze ściśniętym gardłem, na drżących nogach idę uliczką wychodzącą na Canal Grande, wyobrażając sobie niespodziankę, której będę musiała stawić czoło. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałam – przy pomoście przed pałacem cumuje biała motorówka. Ta motorówka.

Czuję się, jakby ktoś wymierzył mi cios prosto w twarz. Zaciskam z całej siły pięści, wbijając sobie paznokcie w skórę. Chciałabym się rozplakać, ale łzy nie napływają, zablokowane przez koncentrat wściekłości, która się we mnie załęgła. „Nie jesteś jedyna, Eleno. Nie oczekuj, że będę ci wierny”. Słowa Leonarda rozbrzmiewają mi w głowie jak mantra. Nieznośne. Uprzedził

---

mnie, postawił sprawę jasno od samego początku. Ale i tak jestem wzburzona, a fakt, że byłam na to przygotowana, nie czyni zawodu mniej bolesnym. Cios pozostaje ciosem i sprawia ból, także wtedy, gdy był oczekiwany.

Miałabym ochotę oblać motorówkę tej lafiryndy benzyną, a potem opuścić na nią zapaloną zapalniczkę, jak w filmach. Albo wcisnąć z całej siły dzwonek do drzwi, żeby zakłócić ich idyllę, a potem obrzucić ich oboje obelgami. Ale zamiast tego odchodzę, zbieram resztki honoru i znikam, zraniona i bezradna.

Od tamtego wieczoru minęło wiele długich dni i jeszcze dłuższych nocy. Leonardo znowu zniknął, a ja staram się nie chodzić do pracy w godzinach, kiedy on przebywa w pałacu. Nie wiem już, co myśleć. Być może w ogóle nie powinnam myśleć. Niekontrolowane wizje vendetty lub co gorsza zmanifestowania swoich roszczeń z czasem ustąpiły miejsca głębokiemu smutkowi. Mimo

---

wszystko wciąż brakuje mi Leonarda, a jego nieobecność rani mnie najbardziej ze wszystkiego. Nie chce mi się wierzyć, że utraciłam go na zawsze, nie mogę się pogodzić z tym, że tamta kobieta mi go odebrała. Co wieczór zasypiam, myśląc o nim, wiedząc zawczasu, że jego czarne oczy nawiedzą moje sny. Nienawidzę go, ale zapomnieć o nim – to niemożliwe.

A potem, któregoś ranka, gdy już niemal całkiem straciłam nadzieję, on nagle się pojawia. Dochodzi południe, a ja pracuję nad wykończeniem fresku. Z kieszeni mojego kombinezonu dobiega pojedynczy sygnał iPhone'a. Nowy SMS.

O 17 w Mendicoli<sup>13</sup>.

Pragnę Cię w spódnicy i pończochach.

To Leonardo, szalenie pewny siebie, jak zawsze. Ręce lekko mi drżą, gdy wpisuję odpowiedź.

Czekaj na mnie. Będę tam.

---

Cóż innego mogłam mu napisać? Że mam go dość i nie chcę go już widzieć? To nieprawda, a okłamywanie samej siebie nic nie da.

W ten sposób podejmuję natychmiastową decyzję, że pozwolę mu dalej narzucać reguły gry, zresztą – nie mam wyboru. Nie będę robić scen, nie wysunę niepotrzebnych żądań, ale muszę spojrzeć mu w oczy, by zrozumieć, czy coś się zmieniło w naszym pakcie. Przede wszystkim zaś – zrozumieć, czy jestem w stanie akceptować jego warunki.

Brakuje kilku minut do piątej i już prawie zapadł zmrok. Nie wiem, dlaczego Leonardo postanowił wyznaczyć spotkanie właśnie w San Nicolò dei Mendicoli, jednym z najbardziej zapomnianych zakątków miasta. Niewiele osób w ogóle go zna, lecz ja zawsze uważałam, że to wyjątkowo sugestywne miejsce, jedno z tych, które zapadają w pamięć ze względu na swoją odmienność od całej reszty świata. Tędy chodziłam na zajęcia, kiedy

---

uczęszczałam do Instytutu Architektury. Niekiedy, gdy już zaczynało się lato, chroniłam się w kościele przed nieznośnym upałem, siedziałam w chłodzie i czytałam książkę, kołysana dźwiękami muzyki sakralnej dobiegającej zza ołtarza. To chyba jedyny kościół w Wenecji, w którym dwadzieścia cztery godziny na dobę włączony jest odtwarzacz, wypełniający przestrzeń niebiańskimi nutami. Mimo to nie rozumiem, dlaczego Leonardo wybrał właśnie campo dei Mendicoli. Może bez konkretnego powodu... Mam nadzieję, że przyjdzie punktualnie, gdyż w tym stroju nie wysiedzę długo. Pończochy z pewnością nie są odpowiednim odzieniem na panującą obecnie zimową pogodę. Mimo że opatuliłam się od stóp do głów niczym caryca, czuję się naga, a wilgotny chłód wspina mi się po nogach, wywołując na moich plecach falę dreszczy.

Leonardo przychodzi na czas. Nie wybiła jeszcze piąta, a on już jest na miejscu. Jego wzrok wędruje gdzieś w oddali, ubrany jest w długi

---

płaszcz w stylu Keanu Reevesa w *Matrixie*. Gdy tylko mnie spostrzeża, rusza w moją stronę i wita się ze mną, biorąc mnie w ramiona i całując intensywnie.

– Jesteś jeszcze piękniejsza... Mam wrażenie, że za każdym razem spotykam się z inną kobietą – mówi, taksując mnie wzrokiem od stóp do głów.

Ja także mu się przyglądam. Ciemne oczy są wciąż takie same. Promieniają tym ciepłym światłem, które topi lód wokół serca. Być znowu w jego ramionach to jak wrócić do domu.

– Czemu spotykamy się tutaj? – pytam, odwracając wzrok ku dzwonnicy kościoła, skąd słychać dzwony wybijające piątą.

– Bo podoba mi się tutaj. Odkryłem to miejsce przypadkiem parę dni temu, idąc na przystań św. Marty, by odebrać ładunek towaru – rozgląda się dookoła, ogrzewając mi twarz obiema rękami. – Jest piękne, wydaje się jak z innego świata.

– To prawda.



---

Nasze myśli biegną podobnym torem. Czy powinnam zacząć się niepokoić? Kładę ręce na jego dłoniach i na chwilę zapominam o tej nagiej kobiecie w oknie jego pokoju, o smutnych myślach z poprzednich dni i koszmarach, które wypełniały minione noce. Gdy mnie całuje, wiem jedno – on wciąż mnie pragnie. A ja pragnę jego.

Stoimy tak na rogu przez chwilę, całując się, a potem wchodzimy do mieszczącej się nieopodal enoteki. Nie mam ochoty na wino, ale Leonardo nalegał, żebyśmy weszli. Prowadząc mnie do lady, kładzie mi dłoń na plecach i błyskawicznie zjeżdża nią na pupę. Lokal jest niemal całkiem pusty, tak więc kiedy sadowimy się na stołkach, właściciel przygląda nam się z ciekawością. Choć w duchu wciąż skręcam się z zazdrości, to cieszą mnie przejawy pożądania u Leonarda – jego palce w moich włosach, jego nogi splecione z moimi. Przeglądamy kartę win i wybieramy z niej pinot grigio. Leonardo płaci, po czym z kieliszkami w ręku wychodzimy na dwór. Jak rasowi

---

wenecjanie, używamy murka biegnącego wzdłuż kanału jako stolika.

Jestem teraz dość zrelaksowana, ale wystarczyłoby, że Leonardo chwilę dłużej zatrzyma wzrok na przechodzącej dziewczynie, by nowa fala zazdrości zaczęła zatruwać mi krew. Przyszłam tu z założeniem, że nie będę robić scen, i byłam przekonana, że uda mi się wytrwać w postanowieniu, ale nie jest lekko. Upijam łyk wina i stawiam kieliszek z powrotem na murku, patrząc w stronę przeciwnego brzegu. Minę mam poważną, a on to zauważył.

– Co jest? – pyta, przechylając głowę.

– Widziałam ją, wiesz.

Węzeł złości, który miałam wewnątrz, nagle się rozluźnia, zalewając żołądek żółcią.

– Kogo widziałaś? – pyta Leonardo, jakby urwał się z choinki.

– Przestań, naprawdę... Między nami nie powinno być niepotrzebnych kłamstw, prawda? – Obracam się ku niemu z ogniem w oczach. –

---

Widziałam twoją kochankę. W twoim pokoju, kilka wieczorów temu.

Biorę głęboki oddech i cofam się o parę kroków.

Leonardo przewraca oczami, ale już po chwili na jego twarzy gości z powrotem wyraz spokoju i odprężenia.

– A więc zaczęłaś mnie szpiegować – śmieje się. – Uważaj, bo nie wiesz, co możesz odkryć, Eleno – i przeciąga mi palcem wskazującym po nosie.

Chwytam jego dłoń i odrzucam ją gwałtownie.

– Powiedz mi chociaż, co to za jedna, co dla ciebie znaczy...

– Ona ma na imię Arina – uściśla Leonardo.

– Arina-Srina, wszystko jedno!

Obraz tej kobiety pojawia mi się przed oczami i czuję się nagle nieskończenie mała. Pewność siebie, której, jak mi się wydawało, nabrałam w ostatnim czasie, znika w ułamku sekundy.

---

– Spotykałeś się z nią przez cały ten czas? – pytam.

– Jasne, że się z nią spotykałem, to moja przyjaciółka. Ale do łóżka poszliśmy tylko parę razy – mówi prowokującym tonem, z irytującym spokojem.

Łatwość, z jaką otrzymuję odpowiedzi, wybija mnie z rytmu. Leonardo nie ma nic do ukrycia, ponieważ nie jest mi nic winien, i w tym tkwi cały problem.

Moje oczy robią się szkliste i pieką od łez wściekłości, które powstrzymuję całą siłą woli. On przyciąga mnie do siebie, chwytając jedną ręką za talię, a drugą dłonią ujmuje pod brodę.

– Eleno, nie rób tego. Chcesz wiedzieć, kim jest dla mnie tamta kobieta? Jest przygodą, podróżą, jak każda inna...

– A ja? Ja też jestem jak każda inna?

– Nie, nie jesteś – patrzy mi prosto w oczy. – Ponieważ żadna podróż nie jest taka sama jak

---

poprzednie, każda jest piękna na swój własny sposób.

– Ale ja ci nie wystarczam? – mówię, co leży mi na sercu.

– Czemu myślisz w ten sposób? Nie rozumiem, czemu wyciągnęłaś taki wniosek... Gdybyś ty miała innych kochanków, cieszyłbym się twoim szczęściem, nie mógłbym ci nic zarzucić – wydaje się niemal zbity z tropu moją reakcją. – Zazdrość to klatka, która daje ci jedynie iluzję posiadania drugiej osoby. Lecz pragnień nie da się uwięzić – podsumowuje, obejmując mnie mocno.

Chciałabym się uwolnić i zasypać go gradem ciosów. Nienawidzę jego i tej jego wolności. Ale jednocześnie mu zazdrozczę. Chciałabym także być zdolna do podobnego mentalnego otwarcia, ale trudno uwolnić się od schematów, które stały się częścią twojego sposobu myślenia, uwewnętrznionych modeli. Z drugiej strony, gdyby teraz zaczął składać mi solenne obietnice wierności, nigdy w życiu nie dałabym mu wiary. Muszę spojrzeć

---

prawdzie w oczy – Leonardo nigdy nie będzie mój, nigdy nie uda mi się go zamknąć za ogrodzeniem. Mogę jedynie mieć nadzieję, że w tych swoich wędrówkach wciąż będzie trafiał do mnie.

Idziemy w kierunku campo Sant’Angelo. Ja pozostaję cicha i nieco odległa. Leonardo obejmuje mnie w pasie i czeka, aż przejdzie mi zły humor. W pewnym momencie podnoszę wzrok i o kilka metrów od nas zauważam znajomą postać. To Jacopo Brandolini. Idzie w naszym kierunku. Wyzwalam się z uścisku Leonarda dokładnie w chwili, gdy hrabia nas zauważa. O matko, zapyta nas, co robimy, a my nie mamy czasu wymyślić żadnej bajeczki.

– Cześć, Jacopo! – pozdrawia go Leonardo, spokojny jak zawsze.

– Ach, dobry wieczór – pozdrowienie skierowane jest do nas obojga. Widzę, jak wzrok Brandoliniego wędruje po mojej osobie, ostatecznie spoczywając na twarzy.

---

– Co was sprowadza w te strony? – przekłada skórzaną torbę z jednego ramienia na drugie i uśmiecha się do nas zdziwiony.

– A pana? – pytam z nerwowym śmieszkiem.

To rozpaczliwa próba zyskania na czasie. Jestem niesamowicie spięta, istna katastrofa.

– Idę do jedyne go porządnego krawca w tym mieście. Szyje mi koszule na miarę.

Rzeczywiście, teraz sobie przypominam, że wszystkie jego koszule mają wyszyte na mankiecie inicjały JB.

Cholera, nie mogę przestać przytupywać prawą nogą. Jestem zbyt zdenerwowana. Uspokój się, Eleno. Nie widział, jak szliście objęci. Oddychaj.

– Wracalem z Santa Marta, poszedłem tam, żeby sprawdzić, czy dotarł towar – mówi Leonardo. Widać, że panuje nad sytuacją. – I spotkałem Elenę przed kościołem...

– Kościołem San Nicolò dei Mendicoli... – wtrącam z zapalem. – Ksiądz szuka konserwatora do wykonania pewnej pracy.

---

A ty stawiałaś się na rozmowę w spódniczce mini, pończochach i kozakach na obcasie? Myśl, Eleno. Opatulam się lepiej płaszczem.

– Wie pan, wydaje mi się, że w pałacu skończę już na Boże Narodzenie...

– Tak, fresk wygląda naprawdę świetnie, wykonałaś kawał dobrej roboty, Eleno – odpowiada Brandolini, wyraźnie zadowolony.

– Dziękuję – mam zamiar dorzucić jeszcze kilka słów pożegnania, ale on jest szybszy.

– Może pójdziemy się czegoś napić? Ja stawiam – mówi, wskazując na bar za naszymi plecami.

Dukam coś niezrozumiałego, po czym spoglądam na Leonarda, błagając o pomoc.

– Dzięki, ale naprawdę muszę uciekać do restauracji – wykręca się z bezbłędną zręcznością. – Może innym razem.

Zbieram się na odwagę i też wymyślam sobie wymówkę.



---

– Chętnie bym poszła, ale muszę jeszcze zrobić zakupy na święta.

To pierwsza rzecz, która przyszła mi do głowy. Przez Leonarda staję się straszną kłamczuchą.

– W porządku. W takim razie do zobaczenia w pałacu – żegna się z nami uściskiem ręki.

Nie rozumiem, jak może chodzić do łóżka z Gaią, a wobec mnie zachowywać taki dystans, skoro zdaje sobie sprawę, że wiem o nich wszystko.

– Do widzenia – żegnamy się.

Odprowadzamy go wzrokiem, aż znika w zakładzie krawieckim po przeciwnej stronie kanału. Wydaję z siebie westchnienie ulgi.

– Ale zbieg okoliczności – komentuje Leonardo.

– Wenecja jest mała – dodaję, nawiązując do tego, o czym mówiliśmy wcześniej. – Chyba już zdążyłeś to zauważyć.

Ale on przyciąga mnie do siebie i całuje w policzek. Zgodny występ w tym małym

---

przedstawieniu uczynił z nas współników, a jemu się wydaje, że to wystarczy, by usunąć dystans, który między nas wprowadziłam. Obracam się szybko, żeby sprawdzić, czy Brandolini nie kręci się wciąż w okolicy, a Leonardo śmieje się z mojej ostrożności.

– Spokojnie, już sobie poszedł... A zresztą nawet gdyby nas zobaczył, nic by się nie stało.

– To prawda. Ale mnie wcale nie zależy na tym, by ludzie uważali mnie za jedną z twoich kochanek – odpowiadam, kurczowo trzymając się mojego złego nastroju, i ruszam przed siebie.

Kątem oka widzę, jak potrząsa głową i podąży za mną z wypisaną na twarzy bezradnością pomieszaną z rozbawieniem. Trochę na to liczyłam. Idziemy kawałek ramię przy ramieniu i docieramy do calle dell'Avogaria. Na murze wisi szyld „Szkola tanga”. Byłam tu raz z Filippem, kiedy przeżywaliśmy muzyczną fazę Carlosa Gardela. To była katastrofa. Podeptawszy sobie nawzajem

---

boleśnie stopy, doszliśmy do wniosku, że nie mamy najmniejszej smykałki do tanga.

Leonardo wyprzedza mnie i zaczyna iść przede mną tyłem. To nieco śmieszne, ale na pewien dziwny sposób to też jest tango.

– Długo jeszcze będziesz się na mnie boczyć?  
– pyta, szukając wzrokiem mojego spojrzenia.

– Nie wiem – odpowiadam nadąsana.

– Zachowujesz się jak mała dziewczynka, wiesz?

Zatrzymuje się nagle, a ja wpadam prosto na jego klatę. Zaciska wokół mnie swoje silne ramiona. Jestem w pułapce.

– Daj mi buzi i się pogódźmy – rozkazuje mi ze śmiechem.

Mnie także chce się śmiać, ale się powstrzymuję.

– Nie – odpowiadam, choć w rzeczywistości mam szaloną ochotę go pocałować.

– Więc wezmę sobie sam.

---

Całuje mnie z językiem przyciśniętym do moich zębów, które w ramach protestu pozostają zacisnięte. Niezrażony, przypiera mnie do muru, wsuwa mi dłoń pod sweter i głaszcze mnie po piersiach.

– Zostaw mnie – mówię bez większego przekonania.

– Nie.

Jego palce suną po mojej nagiej skórze, a ja wibruję pod jego dotykiem jak wrażliwy instrument. Liże moją szyję, wędrując językiem do góry, rysuje nim kółka w moich uszach. Topię się w powolnej, rozkosznej udręce i zapominam o całym świecie. Wreszcie się poddaję i uchylam usta, by wpuścić jego język, przyciągam go za kark, a drugą dłonią sięgam do jego krocza. Pragnie mnie, czuję to przez materiał spodni.

– Chodźmy do domu – szepczę mu na ucho.

Tymczasem on bierze mnie za rękę i ciągnie do portyku, znajdującego się na skraju ulicy i pełniącego funkcję przejścia do zamkniętego

---

podwórka, obecnie pogrążonego w ciszy. Porusza się z pewnością, tak jakby znał te miejsca. Pod arkadą, w zagłębieniu w murze kryje się stara brama wejściowa. Leonardo popycha mnie na drewniane drzwi i chwytając za pośladki, przyciska swoje biodra do moich, tak że mogę poczuć jego podniecenie.

– Co chcesz zrobić? – pytam, obawiając się odpowiedzi.

– To samo co ty – odpowiada, gryząc mnie w szyję.

– Tutaj?

– Czemu nie?

Nagle odzywa się moja komórka. Udaje mi się sięgnąć ręką do kieszeni płaszcza i sprawdzić, kto dzwoni, choć obiecuję sobie, że i tak nie odbiorę. O matko, to Brandolini. Patrzę na Leonarda, nie wiedząc, co robić.

– Odbierz – sugeruje mi z nonszalancją.

Tak też robię, choć jestem nieco zaniepokojona.

---

– Słucham? – mówię, siląc się na spokój.

– Cześć, Eleno – ton głosu hrabiego jest jak zawsze dostojny. Leonardo tymczasem wsuwa mi dłoń pod spódnicę. – Zapomniałem ci powiedzieć, że jeśli potrzebujesz referencji dla don Marca, by dostać pracę w kościele Mendicoli, możesz na mnie liczyć. Znam dobrze proboszcza.

Nie jestem pewna, czy zrozumiałam całe zdanie. Chce mnie polecić księdzu? Dłoń Leonarda delikatnie muska moje figi, zaś druga mocno ściska moją prawą pierś. Powstrzymuję jęk.

– Ach, dziękuję – w moim głosie pobrzmiewa pożądanie.

– Zrobię to z przyjemnością. Wiem, że można na tobie polegać.

– To bardzo miłe z pańskiej strony, ale wolałabym z tym poczekać. Jeszcze nie mam pewności co do tego zlecenia... Przepraszam, są zakłócenia na linii...

Udaję, że nie mam zasięgu. W rzeczywistości słyszę go świetnie, ale obecnie dłoń Leonarda

---

wsunęła się pod koronkę i zakrada się do mojej wilgotnej szparki.

– Niestety muszę już kończyć.

– W porządku, Eleno – odpowiada Brandolini.

– Do zobaczenia w najbliższych dniach.

– Oczywiście. Do zobaczenia.

– Dobrze ci poszło – mruczy Leonardo, szukając moich ust i wciąż wsuwając we mnie palce.

Wyłączam komórkę, wkładam ją do kieszeni płaszcza, a on wędruje językiem pomiędzy moimi piersiami, wykorzystując dekolt koszuli. Następnie odsuwa miseczkę stanika i zaczyna ssać mój sutek.

– Przestań, proszę... Tu mogą nas zobaczyć...

– próbuję stawić opór.

– Wiem – ucisza mnie. – Właśnie dlatego tutaj jesteśmy.

I wtedy dociera do mnie, że wszystko było zaplanowane. To kolejny z jego eksperymentów. Zaprowadził mnie tutaj, by postawić przed kolejną z serii prób, by rzucić wyzwanie mojemu poczuciu wstydu.

---

Sytuacja całkiem wymknęła mi się spod kontroli. Leonardo unosi mi spódnicę, i tak już krótką, i zrywa ze mnie figi, rozszarpując szew dłońmi. Jestem teraz naga od pasa w dół. Potwornie się boję, że ktoś może nas odkryć, ale myśl o tym jednocześnie mnie ekscytuje. Leonardo rozpina spodnie i oswobadza swojego twardego i nabrzmiąłego penisa. Popycha mnie w kąt pomiędzy drzwi a futrynę i unosi mi jedną nogę. Dłońmi chwytam mnie za pupę i w okamgnieniu jest już we mnie. Obszerny płaszcz zakrywa nas oboje. Leonardo przez chwilę pozostaje bez ruchu, tak jakby chcąc, bym posmakowała jego pragnienia, a potem zaczyna poruszać się powoli w przód i w tył.

Umieram z rozkoszy. Chciałabym, aby ta agonia nigdy nie dobiegła końca, coś we mnie się otwiera i wzdłuż pleców dociera aż do głowy. Jęczę, nie mogąc powstrzymać eksplozji przyjemności.

Leonardo wciąż całuje mnie w usta i szyję. Choć jestem półnaga, a wokół panuje ziąb, jego



---

ciało przyciśnięte do mojego wyzwala ogromny żar.

W pewnym momencie słyszymy zbliżające się kroki. Przerywamy, Leonardo przyciska mnie do muru jeszcze mocniej, pozostając we mnie. Oddychamy powoli, nasze twarze dzielą milimetry, a moje serce bije jak szalone przy jego piersi. Dwóch mężczyzn przechodzi ulicą, mijają portyk, nie zauważając nas. Patrzę na Leonarda przerażona, a tymczasem on uśmiecha się bezczelnie. Gdy tylko odgłos kroków zaczyna się oddalać, on unosi mi drugą nogę, tak, że praktycznie trzymam się na jego ramionach. Zaczyna znowu poruszać się we mnie, tym razem w szybszym tempie.

– Co też my robimy, Eleno? – prowokuje mnie. – Co by było, gdyby nas teraz nakryli? Ciebie, taką grzeczną dziewczynkę... – szepcze mi diabolicznym głosem.

Wszystko to jest tak szalone, perwersyjne, ekscytujące. Nic już nie rozumiem, wiem tylko, że

---

jest mi dobrze. W tej chwili cała reszta jest mi obojętna. Zaciskam mu nogi wokół pasa i chwytam go za pasmo potarganych włosów, jęcząc mu do ucha.

– Ty draniu...

Wchodzi we mnie gwałtownym pchnięciem. Jęczę jeszcze głośniej.

Rośnie we mnie nowa rozkoszna udręka, poprzedzona głębokimi skurczami, od których niemal podskakuję. Czuję, jak nadciąga obłędny i niepowstrzymany orgazm. Nie udaje mi się powstrzymać – wyrywa mi się głośny, ochryply krzyk, który Leonardo tłumi swoją silną ręką. Wciąż krzyczę w jego dłoń, nie dbając już o nic, podczas gdy wzrok zachodzi mi mgłą. Z kącika oka spływa ciepła łza. Leonardo dochodzi zaraz po mnie. Wydaje z siebie pierwotny jęk, nurkując głęboko we mnie i chowając głowę w zagłębieniu mojej szyi.

Trzyma mnie jeszcze chwilę, a ja obejmuję go nogami. Całuje mnie czule z zamkniętymi oczami,

---

trwając poza tym bez ruchu, przeciągając tę chwilę. Nasze zmęczone oddechy mieszają się teraz z dźwiękami miasta, które powoli zaczynają znów docierać do naszych uszu – silnik poruszającego się w oddali vaporetta, stukające o ramę okno, okrzyki ludzi z pobliskiego placu. Gdy budzę się z tego ekstatycznego snu, Leonardo powolutku wysuwa się ze mnie, podtrzymując mnie, zanim opuszczę nogi na ziemię. Wokół nas powstała chmura ciepłego powietrza, która teraz wędruje do góry, rozpraszając się w wilgotnej zimowej aurze.

– A teraz możemy iść do domu – komentuje z uśmiechem.

Ja także się uśmiecham, pogodzona z losem, rozbawiona, zaskoczona.

Pospiesznie doprowadzamy się do ładu. On musi iść do restauracji, a ja wrócić do domu. Opuszczam spódniczkę i zauważam moje rozdarte figi leżące na ziemi. Patrzą na nie niepewnie i nie wiem, czy mam je podnieść.

---

Robi to za mnie Leonardo i chowa je sobie do kieszeni. Bierze mnie za rękę i wyprowadza spod arkad.

– Lepiej ci bez nich – mówi, pociągając mnie za ucho.

A potem całuje mnie długo, kończąc ugryzieniem. Nie mam siły mu odpowiedzieć. Ten mężczyzna za każdym razem mnie rozbija. Muszę wrócić do domu tak, nie mając pod spodem nic, poza wonią seksu.

W porządku, Leonardo. Jak zawsze, to ty wygrałeś.

**N**ie śpię już od paru godzin. Zjadłam śniadanie na spokojnie, co nie zdarza mi się prawie nigdy. Przygotowałam sobie dobrą kawę, pokroiłam trochę sezonowych owoców i posmarowałam grzanki nutellą. Mogę powiedzieć, że jest mi dobrze.

Teraz siedzę przed moim MacBookiem i rozpaczliwie pragnę, żeby ktoś powiedział mi, co mam zrobić. Drzewa przy campo San Vio są ozdobione czerwonymi płatkami, a w nocy rozbłyskują na nich żółte lampki, zaś nad wejściem do pizzerii góruje nieco kiczowata, podświetlona gwiazda betlejemska z napisem „Wesołych świąt”. Czas mija tak szybko – do Bożego Narodzenia zostało już tylko pięć dni. Ja także wyciągnęłam te same co zawsze dekoracje i ustawiłam sztuczną choinkę, ale w tym roku pojawiła się też pewna nowość – udekorowałam kupione w Ikei bombki cytatami o miłości zaczerpniętymi od niektórych słynnych

---

poetów. To romantyczna choinka – małe ustępstwo wobec mojego zakneblowanego serca.

Wracam do wpatrywania się w komputer. Obecnie istnieje tylko jeden powód skłaniający mnie do włączenia go – Filippo. Nie odpisałam na jego ostatni mail. Nie dałam rady. Pisał do mnie wiele razy, domagając się odpowiedzi na pytanie, czemu przestałam się odzywać, i zapraszając mnie do Rzymu. Czuję, że go zdradziłam. Choć nie jest moim chłopakiem i wspólnie podjęliśmy decyzję o tym, by nie być parą, i tak od wyrzutów sumienia ściska mi się gardło, ilekroć o nim myślę.

Podaję decyzję. Teraz do niego napiszę. Przede mną otwiera się biała strona, a ja pozwalałam myślom, by płynęły wolno, podczas gdy posłuszne palce podążają za nimi.

Od: Elena Volpe

Do: Filippo De Nardi

Temat: Z serca

Fil, mój drogi,

Piszę do ciebie po długiej przerwie.

---

To był dla mnie dość trudny okres. Mogłabym wymyślić tysiąc wymówek, ale okłamywanie Cię nie ma najmniejszego sensu. Prawda jest taka, że musiałam znaleźć w sobie odwagę, by porozmawiać z Tobą z całą szczerością, na jaką zasługujesz. Fil, poznałam mężczyznę, bez którego nie potrafię się już teraz obyć. Nie potrafię wytłumaczyć tego sobie samej, a co dopiero innym, ale chcę spróbować. Nie jesteśmy parą. To, co jest między nami, ma brutalnie cielesny charakter. Wziął mnie i przewrócił mi życie do góry nogami, postanowił sprawić, że przetamię swoje blokady i ograniczenia, traktując to niemal jak wyzwanie lub grę, a ja mu na to pozwoliłam. Nauczyłam się przeżywać rozkosz tak, jak jeszcze nigdy wcześniej, moje zmysły się przebudziły i rozpaczliwie pragną tylko jego. W pewien sposób mnie wyzwolił, ale teraz nie mogę stać się z powrotem dawną sobą. To rodzaj obsesji, myślę o nim przez cały dzień, a z każdym spotkaniem moja potrzeba zobaczenia go na nowo tylko rośnie.

---

Nie spodziewam się, że mnie zrozumiesz. Zdaję sobie sprawę, że wszystko to może Ci się wydać absurdalne.

Strasznie mi przykro, ale wydaje mi się, że dlatego, czym jesteśmy, lub czym wyobrażaliśmy sobie, że jesteśmy, spotkanie w Rzymie byłoby czymś więcej niż zwykłymi wakacjami, stałoby się początkiem związku, którego kiedyś pragnęłam, ale obecnie nie mogę go sobie wyobrazić. Nie mogę, Fil. Naprawdę nie mogę.

Znienawidzisz mnie, wiem, i nie będziesz mnie chciał więcej widzieć. Dobrze mi tak, zasłużyłam sobie i nie będę się starała przeciwstawić. W tej chwili moją jedyną potrzebą jest przeżycie tego do końca, bez względu na to, dokąd mnie to doprowadzi.

Wybacz, jeśli po tym liście znów zapadnie milczenie.

Bibi

Napisałam to jednym ciągiem, niemal jak w transie, i oto moje nagie myśli, niemal wbrew



---

mojej woli, zostały ujęte czarno na białym. Pisałam bardziej dla siebie niż dla niego, teraz to dla mnie jasne.

Czytam wiadomość jeszcze dwa razy i wstaję, by przejść się po salonie, jakbym chciała nabrać do niej dystansu. Siadam z powrotem, ale mój palec zwleka z naciśnięciem klawisza. Przycisk „wyślij” nigdy jeszcze nie wywoływał we mnie takiej obawy. Gdyby Filippo naprawdę przeczytał ten list, poczułby się zraniony, ale przynajmniej znalazłby prawdę.

Nagle powiadomienie ze Skype’a informuje mnie, że jest online. Po kilku sekundach wysłała mi wiadomość:

Bibi, jesteś tam? Możemy pogadać?

Czuję się brudna, jakby ktoś przyłapał mnie na kradzieży. Odpowiadam, że tak, i przyjmuję od niego połączenie.

Widzę, że nie jest w domu. Dzwoni z miejsca w Rzymie, które rozpoznaję natychmiast.

---

– Dzień dobry, Bibi! Masz ochotę na herbatę u Babingtona? – to pierwsza rzecz, jaką mówi, z tym uśmiechem, który trafia człowiekowi prosto w serce.

Jego zielone oczy pobłyskują w słońcu. Jaką musiałabym mieć odwagę, by zranić tego królewicza z bajki?

– Chciałabym, Fil! – kręcę się na krześle, nieco zakłopotana. – Jesteś na placu Hiszpańskim?

– Tak, siedzę na Schodach Hiszpańskich – obraca monitor i przed moimi oczami ukazuje się panoramiczny widok na kościół Trinità dei Monti w całej jego okazałości. Mam wrażenie, jakbym była w filmie, którego on jest reżyserem. – Widzisz?

– Cudowne! Nic się nie zmieniło, wciąż jest tam pięknie...

Ostatni raz byłam tam z nim, na warsztatach terenowych na trzecim roku studiów.

– Więc kiedy w końcu przyjedziesz?

---

Stało się. Wiedziałam, że mnie o to zapyta, ale nie wiem, co mu odpowiedzieć.

– Prędzej czy później... – mówię, ukrywając udrękę za uśmiechem.

– Skończyłaś pracę nad freskiem?

– Tak, dziś ostatni dzień – wzdycham.

– A więc przyjedziesz na Gwiazdkę, prawda?

– A ty nie wracasz? – odbijam piłeczkę w żalostnej próbie wywinięcia się od odpowiedzi i zyskania na czasie.

– Niestety, dopiero dwudziestego siódmego – prycha i wzrusza ramionami. – Bibi, przyjeźdź. Brakuje mi ciebie, nie zaniedbuj mnie tak...

O rety, nie jestem w stanie wytrzymać jego spojrzenia. Mnie także ciebie brakuje, Fil, ale nie w ten sposób. Zbyt wiele się zmieniło, odkąd wyjechałeś.

– Fil, na Gwiazdkę nie mogę. – W gardle czuję węzeł, ale jestem jeszcze w stanie coś wykrztusić. – W Wigilię mam rodzinną kolację... – staram się go przekonać z umęczonym wyrazem twarzy. –

---

Dla moich rodziców to ważne, wiesz, jacy są. Już i tak rzadko się z nimi widuję...

– Rozumiem... Rodzinne święta... – mówi z uśmiechem rezygnacji. – Jestem jedynym potworem, który bojkotuje rodzinne spotkania.

– Nie ty jesteś potworem.

– Tak mówisz?

– Tak.

To ja nim jestem.

Uśmiecha się chytrze, potem nagle się obraca, jakby coś lub kogoś zauważył.

– Muszę już kończyć. Zaraz będzie tu ktoś z biura Renzo Piano, będziemy omawiać projekt – i przesyła mi całusa z ręki.

– OK, zatem przyjemnej pracy.

– Dzięki, nawzajem.

Patrzy mi prosto w oczy, tak jakby chciał z nich coś wyczytać. A może to nieczyste sumienie wpędza mnie w paranoję.

---

– Zadzwonię jeszcze ze świątecznymi życzeniami. Ale nie odpuszczę, mam nadzieję, że wkrótce się zobaczymy – kończy.

– Ja też.

Odwzajemniam pocałunek i widzę, jak jego twarz znika z ekranu.

Wyłączam Skype'a i na wyświetlaczu MacBooka materializuje się z powrotem list, niczym groźna chmura na czystym niebie. Teraz wydaje mi się, że pisanie go było skończoną głupotą. Co mi strzeliło do głowy? Nie mogę wykreślić Filippa z mojego życia. W każdym razie nie w ten sposób, nie poprzez chłodny mail. Niczym sobie na to nie zasłużył.

Kursor wędruje na przycisk „usuń”. Klikam bez litości i bez wahania. Tak, chcę usunąć ten mail. Chcę też usunąć poczucie winy, niepewność i zobowiązania moralne, które są tak ciężkie, że ostatecznie mnie przygniatają. Być może to z mojej strony hipokryzja i egoizm, ale chcę wiedzieć, że Filippo gdzieś tam jest, chcę w głębi serca

---

zachować tę odrobinę wiary, że wciąż mamy sobie nawzajem coś do zaoferowania. Jeżeli któregoś dnia przyjdzie nam się rozstać, to niech tak będzie, ale nie teraz. Nie w ten sposób.

Na myśl przychodzą mi słowa Leonarda, który stwierdził, że pragnień nie można zamknąć w klatce. Teraz wiem, że poza klatką panuje emocjonalny chaos, lecz już się tu znalazłam, a powrót jest niemożliwy.

Po południu przygotowuję się do wyjścia. Myję włosy i ubieram się starannie, jak na szczególną okazję. I rzeczywiście, to jest szczególna okazja. Skończyłam restaurować fresk i idę oddać klucze do budynku. Wnioskując po wynagrodzeniu, które wpłynęło na moje konto – znacząco wyższym niż ustalone – Brandolini jest bardzo zadowolony z efektów pracy. To oznacza, że w tym roku, po raz pierwszy odkąd skończyłam uczelnię, wreszcie będę mogła kupić prezenty pod choinkę, nie

---

martwić się o pieniądze... A to prawdziwa satysfakcja.

Wchodzę przez główne drzwi i pokonuję szybko schody, by dotrzeć do holu. Oto i on. Fresk wita mnie grą kolorów, które wreszcie są żywe i promienne. Uśmiecham się w milczeniu i podchodzę bliżej, żeby lepiej mu się przyjrzeć. Wyobrażam sobie, że pojawia się anonimowy autor dzieła i wręcza mi kawałek granatu w podziękowaniu. Ach, ile dni prób i frustracji kosztował mnie ten jeden szczegół! Najprawdopodobniej bez pomocy Leonarda nigdy nie osiągnęłabym właściwego odcienia. Dzięki niemu moje oczy przeżyły przemianę i nauczyły się patrzeć odmiennie nie tylko na ten granat, ale i na cały świat. Ten fresk towarzyszył kilku minionym miesiącom mojego życia, mojej metamorfozie, i rozstanie się z nim wywołuje we mnie spore emocje. Gdy następnym razem przyjdę do tego pałacu – jeśli przyjdę – to nie do niego, lecz do Leonarda.

---

Wystarczyło, że przywołałam go w myślach, i już się zmaterializował w holu, jak za sprawą zaklęcia, sprawiając, że serce podskoczyło mi do gardła. Zawsze tak mam przy spotkaniu z nim.

– Cześć – mówię – właśnie o tobie myślałam.

– Ach tak? I co konkretnie myślałaś? – zbliża się ze wzrokiem utkwionym we fresku.

– Że gdyby nie to zlecenie, nigdy byśmy się nie spotkali.

Obracam się nieco i napotykam jego ciemne oczy. Po zmarszczkach w kącikach poznaję, że się uśmiecha. Mam ochotę go pocałować, ale jak zawsze czekam, aż to on zrobi pierwszy krok.

– Świetnie ci poszło, Eleno. Jest naprawdę piękny.

– Powinniśmy to uczcić.

Obracam się, nie mogąc dłużej się oprzeć. Chcę zbliżyć swoje usta do jego, ale gdy unoszę się na czubkach palców, on się odsuwa, a ja zastygam w miejscu zdziwiona.



---

– Uczymy, ale po moim powrocie – mówi zdecydowanym tonem.

– Po twoim powrocie? – otwieram szeroko oczy. W duchu wciąż staram się przetrwać odrzucenie. – Wyjeżdżasz?

– Dziś wieczór, na Sycylię.

– Na jak długo?

– Nie wiem, zdecyduję już na miejscu.

Wzrok ma zamglony, niemal ponury. Nagle wydaje mi się chłodny i odległy.

– A co z restauracją?

– Mam zastępcę – wzrusza ramionami. – Moi współpracownicy są już samodzielni.

Ta wiadomość ścina mnie z nóg. Zdążyłam ułożyć tysiąc planów – choć może należałoby raczej mówić o fantazjach – na tę świąteczną przerwę. Odmówiłam Filippowi między innymi dlatego, że liczyłam, iż cały czas spędzę z Leonar-dem. A tymczasem...

– Naprawdę musisz jechać? – pytam, próbując ukryć desperację.

---

– Chcę – odpowiada z determinacją w spojrzeniu. – Przynajmniej raz w roku, gdziekolwiek jestem na świecie, wracam na Sycylię.

– Masz tam bliskich?

– Mam tam swoją przeszłość.

Chciałabym zadać jeszcze wiele innych pytań, ale gryzę się w język. Leonardo nie znosi, gdy wtrącam się w jego życie prywatne, a więź z rodzinną ziemią należy do sfery absolutnie intymnej i nienaruszalnej.

– Spróbuj się rozerwać i beze mnie.

Ujmuje mnie pod brodę i wysila się na uśmiech, jakby chciał zmienić kierunek, w którym potoczyła się nasza rozmowa.

Chciałabym poprosić go, aby nie jechał albo żeby zabrał mnie ze sobą. Nie mogę znieść myśli o tak długim rozstaniu. Tymczasem starcza mi jedynie odwagi na to, by zapytać:

– Zadzwonisz chociaż do mnie?

Kręci głową przecząco.

---

– Nie, Eleno. Wolę, żebyśmy się usłyszeli dopiero, kiedy wrócę.

– Dlaczego?

Chwytam go za ramię. Wiem, że nie powinnam nalegać, ale potrzebuję jakiegoś wyjaśnienia.

– Bo muszę się oderwać, pobyć sam. Bo moje życie to nie tylko to, co robię tutaj, i nie chcę mieszać różnych rzeczy. – Jego spojrzenie nie dopuszcza polemiki. – Zadzwońię do ciebie, jak tylko wrócę.

Głaszczę mnie po raz ostatni i rusza w kierunku schodów, nie oglądając się za siebie. Jestem zdruzgotana. Poszedł sobie bez przeprosin i usprawiedliwiania się. Zostawił mnie tutaj z kolejnym upokorzeniem do przełknięcia i rękami opuszczonymi wzdłuż ciała.

Dość tego. Muszę natychmiast stąd uciec. Szukam w ogrodzie stróża i wręczam mu pęk kluczy.

---

– Do widzenia, Franco. Spokojnych świąt – pozdrawiam go pospiesznie, nie wdając się w grzecznościowe pogaduszki.

– Nawzajem, *signorina*, wesołych świąt – Franco składa krótki ukłon, jak to ma w zwyczaju.  
– Wszystkiego dobrego.

Unoszę głowę, rzucam ostatnie spojrzenie w kierunku tych okien, a potem szybkim krokiem ruszam przed siebie ulicą.

Żegnaj, fresku. Żegnaj, Leonardo.

Jest dzień Wigilii. Przetrwanie dni pełnych świątecznej euforii po tego rodzaju odrzuceniu wymagało ode mnie nadludzkiego wysiłku. Rytualna pielgrzymka od jednego sklepu do drugiego w poszukiwaniu świątecznych prezentów oraz niewątpliwy bezsens patrzenia na wszystkich tych szczęśliwych i zabieganych ludzi wpędziły mnie w stan głębokiej melancholii. Ja, która zawsze uwielbiałam Boże Narodzenie, obecnie całą sobą go nienawidzę.

---

Mimo to jakoś udało mi się przeżyć te cztery dni. Wiem jednak, że najgorsze jeszcze przede mną. Jest ósma wieczorem i za niespełną godzinę będę w domu moich rodziców na tradycyjnej rodzinnej kolacji. Jeśli przetrwam także to, będzie można uznać, że prawie się udało.

Kwadrans po dziewiątej, po tym jak uciekło mi vaporetto i starłam sobie pół obcasów, idąc na piechotę, stoję przed drzwiami domu rodziny Volpe. Obładowana torbami, z trudem naciskam na dzwonek.

Otwiera moja mama, odziana w wiśniowy kostium, z wyrazem lekkiego niepokoju na twarzy.

– Eleno! Już myśleliśmy, że zaginęłaś! Czekaliśmy tylko na ciebie.

Moich uszu dobiega szum rodzinnych rozmów na tle gardłowego głosu Mariah Carey, śpiewającej te same co zawsze świąteczne kawałki.

– Przepraszam, mammo, uciekł mi tramwaj.

---

Udaje jej się w ramach jednego gestu ucałować mnie, ściągnąć mi płaszcz, rzucić go na wieszak, poprawić mi włosy i wpędzić w poczucie winy.

– Skarbie, czy ta sukienka nie jest trochę za krótka? – pyta, patrząc z niedowierzaniem na mój koronkowy strój, ten sam, który włożyłam na kolację z Leonardem w kuchni jego restauracji.

– Nie wydaje mi się – odpowiadam z nonszalancją. – Zawsze narzekasz, że nie noszę sukienek... no i proszę, dziś spełniłam twoje życzenie.

Wchodzę do jadalni i przez chwilę przemyka mi przez głowę pomysł, żeby uciec. Przede mną, rozstawiony w zwartym szyku wokół świątecznego stołu, pluton złożony z moich krewnych czeka niecierpliwie ze sztuciami w rękach, zupełnie jakby nie jedli od tygodnia. Odpędzam tę myśl. Wszystko w porządku, Eleno, dasz radę.

Nikogo nie brakuje – babcia, ciocie, kuzyni, mamie udało się nawet ściągnąć wujka Bruna, który wciąż krąży po świecie ze swoimi

---

przyjaciółmi gejami. Witam się ze wszystkimi z daleka, rozdając uśmiechy na lewo i prawo, po czym zajmuję swoje miejsce. Oczywiście posadzono mnie przy kuzynce Donatelli, która jest mniej więcej moją równolatką. I tylko to nas łączy. W wieku dwudziestu pięciu lat poślubiła Umberta, weneckiego klona Flavia Briatore<sup>14</sup>, i już rok później wydała na świat małą Angelikę, która obecnie ma siedem lat i wygląda jak miniaturowa Barbie. Siedzi po mojej lewej stronie i macha mi rączką:

– Cześć, ciociu!

Głaszczę ją po główce i uśmiecham się fałszywie, mrużąc oczy.

– Eleno, cudownie wyglądasz – mówi Donatella, całując mnie w oba policzki i otaczając chmurą swoich duszących perfum o zapachu żółtych irysów.

– Dzięki, ty też trzymasz formę.

– Przestań, nawet tak nie mów. Przytyłam pięć kilo. – Robi zrozpaczoną minę i unosząc spódnicę,

---

pokazuje mi kawałek uda. – Patrz, wszystko zebrało się tutaj.

No tak, zaczęło się. Co roku biadoli dokładnie w ten sam sposób, ale w tym roku naprawdę nie mam siły na jej usypiające opowieści. Muszę się ratować, zanim zaczniesz wywód na temat najnowszego odkrycia w dziedzinie kremów na cellulit.

– Co przyniósł ci Święty Mikołaj? – pytam jej córkę, usiłując zmienić temat.

– Nową komórkę – odpowiada, pokazując mi z dumą iPhone’a najnowszej generacji.

– Fajny...

...ale po co jej w tym wieku potrzebny, tego, szczerze mówiąc, nie wiem.

– Mogę zobaczyć twój, ciociu?

Przestań nazywać mnie ciocią, ledwo cię znam, dziecko.

Wyciągam z torby mojego iPhone’a. Biorąc go w łapy, robi zdziwioną minę.



---

– Ale to jest czwórka! – mówi zszokowana. – Nie wiesz, że teraz wyszła piątka?

Wstrętna, bezczelna i rozpuszczona dziewucha. Na chwilę ja też staję się znów dziewczynką i nachodzi mnie nieodparta ochota, by wytargać ją za włosy.

Prezentuję jeszcze jeden plastikowy uśmiech i postanawiam ją ignorować, a zamiast tego skupić się na przystawce, która właśnie została przyniesiona z kuchni. Oczywiście, zgodnie z tradycją domostwa Volpe, w Wigilię nie jada się mięsa, więc wszystkie dania są na bazie ryby. Sałatka z dorsza, zapiekane małże i grzanki z łososiem.

Moja mama napawa się płynącymi od całego rodu komplementami.

Żeby nie umarła z głodu, przygotowała dla mnie, jak zawsze przy podobnych okazjach, menu wegetariańskie. Oczywiście nic jeszcze nie wie o mojej niedawnej konwersji na dietę mięsną, więc aby uniknąć pytań i nie odbierać sensu jej staraniom, postanawiam pominąć tę kwestię.

---

– Dziękuję, mamo, jesteś wspaniała – mówię jej, chrupiąc *grissino* i nakładając sobie niewielką porcję risotta z *radicchio*, które z taką miłością ugotowała dla swojej córeczki.

Przyglądam się po kolei moim krewnym. Mam wrażenie, że spotykam się z grupą obcych ludzi. Nie mam ochoty tu być, chcę wrócić do swojego życia, a w każdym razie tego, co było nim przez ostatnie dwa miesiące. Każdy dzień bez Leonarda wydaje mi się dniem straconym. Należę sobie pełen kieliszek prosecco, może trochę mnie rozweseli.

Moja mama nagle spogląda na mnie, jakby wyrosły mi łuski.

– Eleno, co robisz? – pyta przerażona.

– A co? Nie wolno? – patrzę na nią niewinnym wzrokiem i napełniam kieliszek.

– A od kiedy ty pijesz wino? – nie odpuszcza i ten jej upór mnie irytuje. Nie może znieść, że coś obywa się bez jej kontroli i aprobaty.

– Od teraz, jeśli nie masz nic przeciwko – odpowiadam sucho.

– Jeśli mam być szczerą, to trochę mam...

– Mamo, odczep się – uciszam ją szorstko.

Mama patrzy na mnie z niedowierzaniem. Mój ojciec też. Przy stole zapada krępująca cisza. Babcia, która jest nieco głucha, pyta jednego z moich kuzynów, co się stało, a ciotka wygładza sobie na kolanach serwetkę, pokaszując. Rozglądam się z lekkim poczuciem winy. Przesadziłam, na ogół nie odzywam się w ten sposób, zawsze jestem w domu miła i zgodna. Teraz dociera do mnie, że to nie oni są obcy, tylko ja się zmieniłam.

Na szczęście wujek Bruno przychodzi mi w sukurs.

– Betta, dobry posiłek wymaga dobrego wina!

– mówi, szturchając ją w ramię. – A poza tym przy święcie trzeba wznosić toasty.

Sięga kieliszkiem w stronę mojego, puszczając do mnie oko.

– Masz rację. Nasze zdrowie! – mówi mój ojciec, także unosząc swój kieliszek. Po jego spojrzeniu widzę, że mi wybaczył.

---

Kolacja przebiega bez animozji aż do *panettone*<sup>15</sup>, po którego zjedzeniu następuje wymiana życzeń i upominków. Dostaję patchworkową poduszkę zrobioną przez mamę – będzie pasować do narzuty, którą podarowała mi w zeszłym roku, wełnianą czapkę, dwie pary ręcznie dzierganych skarpet, kaszmirowy szalik. Najwyraźniej wyglądam na zmarzlucha. Ale na ziąb, który odczuwam obecnie, nie pomoże wełna.

Przy pierwszej nadarzającej się okazji całuję na zgodę moją mamę, pozdrawiam krewnych i uciekam do domu. Jestem szczęśliwa, że odbębniłam rytuał i zostałam sama.

Dochodzi pierwsza. Dzwony Wenecji ogłaszają radośnie koniec pasterki, a nieliczni wciąż pracujący gondolierzy pospiesznie kończą ostatnią rundkę. Idę szybkim krokiem, starając się skupić na obłoku pary, w którą zmienia się mój oddech. Nie chcę myśleć. Lecz zanim otworzę drzwi wejściowe do mojego budynku, podnoszę oczy do

---

nieba i patrzę na gwiazdy. Ciekawe, czy patrzy na nie w tej chwili także Leonardo?

W dzień Bożego Narodzenia późnym popołudniem idę do Gai, która mieszka w małym lofcie nieopodal Ogrodów Biennale<sup>16</sup>. Co jakiś czas pod oknem jej sypialni wyrasta kolejna dziwna instalacja, jak ostatnie dzieło brazylijskiego artysty – rząd totemów z białego plastiku, które w nocy rozbłyskują fluorescencyjnymi światełkami. Teraz bardziej niż totemy przypominają zabawne bałwany i bardzo pasują do świąt, choć nie sądzę, by taki był zamiar artysty. Gai kupiłam pokryty brokatem kuferek, wewnątrz którego znajduje się nadający objętość tusz do rzęs Lancôme i zalotka Shu Uemura. Ona uwielbia takie rzeczy i jestem pewna, że będzie zadowolona.

Ledwie otwiera drzwi i już przytula mnie energicznie, prawie przewracając mnie na wiszące na ścianie gigantyczne zdjęcie Marilyn Monroe.

---

– Wesołych świąt! – mówi cała szczęśliwa i rusza przede mną do salonu, klapiąc japonkami. Dom to jedyne miejsce, gdzie nie nosi wysokich obcasów.

– Nawzajem! – odpowiadam, ściągając płaszcz.

– Chodź, usiądziemy sobie wygodnie na kanapie – mówi, wyłączając telewizor.

Za każdym razem, gdy siadam na jej kosztownej kanapie z białej skóry, mimowolnie myślę o bezceństwach, które wyczynia na niej ze swoimi kochankami.

– A może przypadkiem wyleczyłaś się ze swojej choroby i masz ochotę na kieliszek bellini<sup>17</sup>?

– OK.

– No, zuch dziewczyna! – patrzy na mnie, pozytywnie zaskoczona moim alkoholowym wyborem.

Znika na chwilę w części kuchennej, a gdy wraca, niosąc tacę z kieliszkami, zauważam, że na jej palcu serdecznym zagościł brylant.

---

– A to? – pytam szybko.

– Prezent od Jacopa – mówi, zbliżając twarz do mojej.

– Pierścionek zaręczynowy? – wytrzeszczam oczy.

– Po prostu pierścionek.

– Gaia, nie udawaj idiotki – upominam ją.

– OK, przyznaję. Jacopo traktuje sprawę serio.

– Ale ty nie – dopowiadam.

– Trochę na to za wcześnie, nie sądzisz?

Patrzy na mnie, czekając, aż przytaknę. Wydaje się strapiona. Z jej twarzy wyczytuję, że nie jest naprawdę zakochana – co zresztą byłoby cudem, biorąc pod uwagę, jak rzadko jej się to zdarza.

– W takim razie czemu przyjął taki znaczący prezent?

– A co miałam zrobić twoim zdaniem? – usprawiedliwia się. – Oddać mu go? W święta?

– Nie wiem, Gaia, ale może powinniście o tym porozmawiać.

---

– Słuchaj, mnie naprawdę zależy na Jacopie – mówi, sącząc swój aperitif.

– Wierzę. Ale być może bardziej zależy ci na kimś innym, kto przepadł bez śladu...

Trafiłam w sedno.

– Czytaj – mówi, podając mi swój BlackBerry. To ostatni SMS od Belottiego:

Wesołych świąt, mała. Prędzej czy później po Ciebie przyjadę.

W tej chwili oczy Gai mają kształt serc. Kiedyś doradziłabym jej ostrożność, odegrałabym stałą rolę poważnej, nieco staromodnej przyjaciółki, która sprowadza ją na ziemię i mówi, jak powinna postąpić. Ale teraz rozumiem ją lepiej niż kiedykolwiek wcześniej i nie mam ochoty prawić jej kazań.

– Myślisz, że naprawdę po ciebie przyjedzie? – pytam.

– Kto wie... – odpowiada z miną pełną ufności.



Nie odczuwa wyrzutów sumienia wobec biednego hrabiego, nie obchodzi jej, że może cierpieć z jej powodu. Obchodzi ją jedynie to, by być szczęśliwą. Z Belottim, w miarę możliwości.

Być może to prawo przyciągania podobieństw sprawia, że dokładnie w tej chwili moja komórka też wydaje pojedynczy sygnał. W moim sercu ożywa nadzieja. Boże, spraw, żeby to był Leonardo.

– Kto to? Kto to? – piszczy Gaia zaciekawiona.

Czytam wiadomość i próbuję ukryć rozczarowanie.

– A, to Filippo. Składa mi świąteczne życzenia.

– I mówisz to w ten sposób? – Chyba nie ukryłam emocji dość dobrze.

– A jak powinnam to powiedzieć?

– Z odrobiną entuzjazmu, Ele! – ujmuję mnie czule za ramiona. – Co się dzieje? Nie jesteś już co do niego przekonana?

---

– Ależ nie, nie o to chodzi – mówię szybko. – Trochę mi go brakuje...

Patrzy na mnie zaskoczona.

– Tylko trochę? Przecież Fil to superchłopak. Według mnie to właściwy mężczyzna dla ciebie.

O matko, Gaia, chociaż ty nie komplikuj mi życia! Mam taki zamęt w głowie... Filippo jest właściwym mężczyzną, ale to nie jego pragnę w tej chwili. Mówię więc tylko:

– Zobaczymy...

– Odpowiedz mu szybko – rozkazuje mi – ja w tym czasie pójdę po twój prezent.

Wpisuję na ekranie nieco chłodną i formalną odpowiedź, ale zdaję sobie z tego sprawę dopiero po wysłaniu. Gdy podnoszę wzrok znad komórki, Gaia jest z powrotem w salonie i uśmiecha się triumfalnie.

– *Voilà* – wręcza mi paczuszkę, a ja też daję jej prezent.

Oczywiście Gaia rozrywa papier w ciągu nanosekundy. Wnioskując po jej minie, trafiłam

---

w dziesiątkę, prezent jej się spodobał. Ja natomiast należę do osób, które niesamowicie powoli otwierają prezenty – rozpakowuję je powolutku, bo lubię smakować niespodziankę.

Potrząsając pudełeczkiem, zgaduję, że to może być oliwka do ciała albo perfumy. Odgłos przypomina szklaną buteleczkę.

– Nawet nie próbuj zgadywać, bo nie masz szans – mówi Gaia, cała podekscytowana.

Wreszcie otwieram opakowanie i robię się czerwona jak rak.

– Wibrator?! Z kryształu?!

– Dokładnie to ze sztucznego kryształu.

Biorę go do ręki i nie wiem, czy mam być wkurzona, rozbawiona, zszokowana czy zdesperowana. W końcu wybucham śmiechem, bo to chyba jedyna słuszna reakcja. Gaia śmieje się wraz ze mną, bo osiągnęła zamierzony efekt.

Zupełnie jakbyśmy były w serialu *Seks w wielkim mieście*.

---

– Ponieważ jeszcze żadnego nie masz i nigdy byś sobie sama nie kupiła, zrobiłam to za ciebie. – Puszczam do mnie oko i wprawia go w działanie z miną profesjonalistki. – Podobno jest świetny w akcji...

– Cóż, z pewnością jest bardzo szykowny. – Przekręcam głowę, patrząc na refleksy, jakie rzuca na ściany. – Ale nie obrazisz się, jeśli nie będę go używać, prawda?

– Nigdy nie mów nigdy. W każdym razie zawsze lepiej mieć takie cacko... – mówi z przekonaniem.

– Przynajmniej nie jest to kolejna para skarpet – mówię z wystudiowaną powagą.

Jeszcze raz wybuchamy śmiechem, a mnie przychodzi na myśl, że jedynie z Gaią można spędzić takie świąteczne popołudnie.

Jednak gdy tylko docieram do domu, znów nachodzi mnie smutek i to poczucie bezradności wynikające z niemożności dostania tego, czego

---

chciałabym najbardziej. Choć z całych sił próbuję go przepędzić, Leonardo niepodzielnie rządzi moimi myślami. Czemu jest taki surowy? Czemu wciąż ucieka, otaczając się cieniami i tajemnicami? Już mam do niego zadzwonić albo napisać mu SMS, ale wyłączam telefon, by uniknąć pokusy.

Kładę torbę z prezentem od Gai na biurku. Wyjmuję wibrator z pudełka i szybko ukrywam go w łazience. Co mam zrobić z tym sprzętem?

Chcę Leonarda. To pragnienie, którego nic innego nie jest w stanie zaspokoić.

Ostatnią rzeczą, na jaką w tej chwili mam ochotę i siłę, jest praca przy gruntownej restauracji mojej własnej osoby w obliczu nadciągającego przyjęcia sylwestrowego w hotelu Hilton. Zaproсили mnie Gaia i Brandolini, a moje próby odrzucenia zaproszenia spełzły na niczym. Powinnam być wdzięczna mojej przyjaciółce i jej „narzeczonemu”, ale w moim obecnym stanie sama myśl o pełnieniu przez cały wieczór funkcji piątego koła u wozu odbiera mi resztki energii. Jestem sama, bez Leonarda, i tak pozostanie, nawet w otoczeniu świętującego tłumu. Czuję, że mogę być nieprzyjemna i konfliktowa, zwłaszcza że jestem trochę meteopatką, a za oknem straszy paskudne ołowiane niebo.

Dziś wieczór wolałabym zdecydowanie zostać w domu w piżamie i obejrzeć film owinięta w mój patchwork, zjadając się czekoladkami After Eight

---

do poziomu grożącego cukrzycą lub niestrawnością.

A tymczasem rozpoczynam zmagania przed lustrem. Prostuję włosy, depiluję się cała, smaruję kremem ujędrniającym piersi i uda, wkładam czerwoną bieliznę, nakładam róż na policzki, maluję powieki błyszczącym cieniem, a usta trwałą szminką. I dla kogo to wszystko? Wykonywanie tych samych czynności z myślą o Leonardzie, by być atrakcyjną w jego oczach, miało sens, ale obecnie wydaje mi się całkiem zbyteczne. Kto wie, co teraz robi, i z kim?! Jestem na odwyku od niego i zaczynam pragnąć go coraz bardziej, z zapalczliwością narkomanki. Szkoda, że nie ma żadnego dilera, który mógłby dostarczyć mi w tej chwili mój narkotyk.

Dzwoni domofon. To na pewno Gaia i Jacopo, którzy przybyli punktualnie, aby przetransportować mnie siłą na swojego hucznego sylwestra.

– Już schodzę – rzucam apatycznie do słuchawki.

---

– OK, pospiesz się – odpowiada Gaia, już teraz podekscytowana.

Rzucam ostatnie spojrzenie w kierunku lustra, poprawiając niepokorny kosmyk – naprawdę czas już odświeżyć tego eks-boba – i zbiegam ze schodów, uważając, żeby nie potknąć się o własny płaszcz.

Otwieram drzwi i widzę trzymających się za rękę Gaię i Jacopa.

– A może trzeba wziąć parasol? – pytam. Podnoszę wzrok i w cieniu za ich plecami dostrzegam znajomy kształt.

– E tam, parasol! Widać nawet gwiazdy – ten głos, niemożliwy do pomylenia z jakimkolwiek innym, dociera do mnie jak nieoczekiwana pieszczota.

Gaia puszcza do mnie oko i Brandolini odsuwa się, żebym mogła przejść.

Stoi przede mną Filippo, odziany w swój zielony płaszcz Burberry. Nie chce mi się wierzyć, przez chwilę mam wrażenie, że śnię.



---

– Fil! Co tu robisz?

– Wróciłem – mówi, prezentując jeden ze swoich wspaniałych uśmiechów.

Sprzeczne emocje zaczynają buzować w moim sercu, wywołując nieoczekiwane i ekscytujące zagubienie. Potem na wszystko nakłada się ogromne rozczulenie i nagle nachodzi mnie pragnienie, by go uściskać. Tymczasem stoję jak pień, z bezradnie zwisającymi rękoma. Co się robi w takich sytuacjach? Całuje się? Parę miesięcy temu rozstaliśmy się pełnym pasji pocałunkiem, ale od tamtej pory wydarzyło się tyle rzeczy, a ja nie wiem, czy... Na szczęście to Filippo przejmuje inicjatywę – podchodzi i muska moje usta w delikatnym pocałunku, który natychmiast dostrzega Gaia. Teraz w końcu go obejmuję – i to z desperacją rozbitka. Jestem wdzięczna jemu za to, że tu jest, a Gai – za tę piękną niespodziankę. Na pewno maczała w tym palce.

Po drodze Gaia i Jacopo wyprzedzają nas o parę metrów. Filippo podaje mi ramię, a ja

---

chwytam się go, rozkoszując się ciepłem jego ciała.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś – mówię.

– Ja też.

– Kiedy przyjechałeś?

– Właściwie to dwie godziny temu.

Przyglądam mu się dokładniej w słabym świetle latarni. Jego ogolona twarz jest nieco zapadnięta, nosi ślady nocy spędzonych przy pracy, ale oczy błyszczą bardziej niż kiedykolwiek.

– Myślałam, że masz mnóstwo pracy w Rzymie.

– Tak, ale udało mi się wyrwać na parę dni – uśmiecha się do mnie. – Miałem taką ochotę się z tobą zobaczyć!

Ja także miałam ochotę się z nim zobaczyć, ale zdaję sobie z tego sprawę dopiero teraz. Dotąd byłam zbyt zajęta myśleniem o czym innym.

– Wróciłeś tylko na dwa dni? – pytam.

---

– Niestety tak. Drugiego muszę być z powrotem w pracy. Wykorzystują mnie tam jak niewolnika. A ja się daję.

Zwalnia kroku i puszcza na chwilę moje ramię, spoglądając mi w oczy.

– Naprawdę się cieszysz, że mnie widzisz? Mina, jaką zrobiłaś na początku, nie była zbyt radosna...

Jest tak wrażliwy, że zauważa najmniejszą zmianę mojego stanu ducha. Już zdążyłam o tym zapomnieć.

– Pewnie, że się cieszę – mówię, uśmiechając się szeroko. – Po prostu byłam zaskoczona.

Nagle czuję obejmujący moje plecy chłód. To nie zimowy wiatr, nie. Chodzi o to, że nie mówię całej prawdy. Cieszę się, że cię widzę, Fil, ale kiedy ciebie nie było, zachorowałam na kogoś innego i nie wiem, czy ty możesz mnie wyleczyć.

Ruszamy przed siebie, ja wciąż trzymając się kurczowo jego ramienia. Obiecuję sobie po cichu, że choć na kilka godzin zapomnę o Leonardzie

---

i przeżyję te chwile z radością. Cieszę się, że nigdy nie wysłałam Filippowi tamtego maila. Gdybym to zrobiła, ta sytuacja nie mogłaby mieć miejsca. A jeśli do niej doszło, to znaczy, że los jest po naszej stronie, przynajmniej na tę jedną noc.

Wsiadamy we czwórkę na pokład motorówki przy Zattere i pokonujemy kanał della Giudecca. Dwie minuty później jesteśmy już przy wejściu do hotelu Hilton. Dziwnie spoglądać na miasto stąd – zupełnie jakby nagle odwróciła się perspektywa. Suniemy po dywanie z czerwonego aksamitu i – dzięki obecności Brandoliniego – pokonujemy pancerne wejście ze strzegącymi go nadętymi ochroniarzami. Nigdy tu jeszcze nie byłam. To superluksusowy hotel, przerastający wszelkie moje oczekiwania. Personel jest niebywale elegancki i traktuje gości z troską graniczącą z przesadą.

Po przystanku w szatni i pierwszej kolejce drinków udajemy się do naszego stolika, dołączając do innych osób z kręgu Brandoliniego. Sala jest

---

wielka i gustownie urządzona, ustawiono w niej co najmniej pięćdziesiąt stolików. Goście są w euforii, ale okazują to na sposób ludzi z wyższych sfer – zachowując się tak, jakby cały czas skierowana była na nich kamera.

– Gaia zaczęła zadawać się z elitami – szepcze mi do ucha Filippo. Podobnie jak ja, nie jest przyzwyczajony do takiego przepychu.

– Nie, to elity zaczęły zadawać się z Gaią – odpowiadam.

Uśmiechamy się do siebie porozumiewawczo.

Kolacja przebiega przyjemnie, bez jakichkolwiek tarć, i odkrywam, że przyjaciele hrabiego są mniej wyniośli, niż można się było spodziewać. Gaia miała rację. Uśmiecham się i nakazuję sobie nie zastanawiać się za dużo. Powtarzam sobie w myślach, że to tylko zwykłe przyjęcie. Fakt, że jest przy mnie Filippo, sprawia, że czuję się w jakiś sposób pewnie i wydaje mi się, że z każdą mijającą chwilą odnajdujemy łączącą nas dawniej więź. W pewnej chwili zauważam, że jego wzrok

---

zatrzymał się na moim dekolcie. Teraz, gdy o tym myślę, zdaję sobie sprawę, że nigdy nie widział mnie w stroju wieczorowym, to pierwsza elegancka okazja, przy jakiej się spotykamy. Ta sytuacja mnie bawi i zamiast się zakryć, jak zrobiłabym kiedyś, rozkoszuję się jego spojrzeniem.

– Podoba ci się moja sukienka? – pytam.

On się otrząsa, lekko zakłopotany.

– Wyglądasz świetnie... Nie chodzi tylko o sukienkę. Zmieniłaś się, Bibi, jakbyś rozkwitła.

– Wypijmy więc za zmiany na lepsze – mówię, unosząc kieliszek z winem i trącając się z nim.

Filippo nigdy nie widział mnie też pijącej alkoholu. I rzeczywiście, jest zdziwiony:

– Zaczęłaś też pić?

– Tak, tak, nasza Elena jest małą alcoholiczką... Najwyższy czas! – wtrąca się Gaia, dołączając do naszego toastu.

Filippo się uśmiecha, nieco zbity z tropu.

---

– Myślałem, że jesteś abstynentką – patrzy na mnie z ciekawością. – Nie wypiałś ani kieliszka nawet po swojej obronie!

– Też tak myślałam – wzruszam ramionami, upijając duży łyk – ale może się myliłam.

Tak jak myliłam się co do wielu innych spraw.

– OK, w takim razie za nowości! – i wypija również. Popijamy wesoło, przegryzając grzankami i pasztecikami, a ja udaję, że interesują mnie toczące się wokół powierzchowne konwersacje, i wciąż się uśmiecham. Alkohol zaczyna działać, czuję się lekka i zrelaksowana, tak jak chciałam. W pewnym momencie jednak potrącam niechcący butelkę wina, wylewając je na sukienkę siedzącej przede mną dziewczyny. Kelner spieszy, żeby zniwelować skutki katastrofy, a moi współbiednicy, na szczęście, nie zwracają zbyt wielkiej uwagi na moje zakłopotanie, i wykorzystują zdarzenie jako pretekst do kolejnego toastu. Dziewczyna jednak nie jest zbyt uradowana i piorunuje mnie wzrokiem.

---

– Wszystko w porządku, Bibi? Może troszkę przesadziłaś? – szepcze z troską Filippo.

– Troszeczkę – mówię, uciskając sobie dłonią skroń. Wydaje mi się, że jestem podpita, być może nie mam tak mocnej głowy, jak mi się wydawało.

– Niezdara ze mnie, co?

– Uroczą niezdara – puszcza do mnie oko. – Zresztą tamta i tak wygląda na zołzę.

Jak przyjemnie mieć go przy sobie, myślę wśród oparów alkoholu. Jak miło być rozpieszczaną i docenianą, nawet wtedy, gdy zaliczam wpadki. Tylko Filippo potrafi sprawić, że czuję się w ten sposób.

Gaia w tym czasie zdążyła wstać i przejść na środek sali, wraz z innymi znajomymi z naszego stolika. DJ właśnie puścił dansowy kawałek, który, wiem o tym, bardzo jej się podoba. To utwór Davida Guetty albo kogoś podobnego. Moja przyjaciółka porusza się z bezbłędnym wdziękiem, widać, że jest w pełni świadoma swojego ciała. Jej minisukienka z obszytego cekinami szyfonu odbija



---

wszystkie światła parkietu, a włosy lekko jej się wicherzą od potu. Policzki ma zaróżowione i wilgotne. Nachodzi mnie ochota, żeby potańczyć, czego na ogół wcale nie robię, i wstaję, by dołączyć do grupki. Ciągnę za sobą także Filippa, nie zważając na jego protesty.

– Bez dyskusji! – mówię stanowczo, ciągnąc go za mankiet.

Przypomina mi się pamiętny wieczór w szkole tanga, który skończył się wzajemnym zdeptaniem stóp, i wiem, że on także o tym myśli, gdy wykonuje parę sztywnych kroków, uśmiechając się do mnie bezustannie. Wybucham głośnym śmiechem, straciłam już całkiem kontrolę. Filippo pyta, o co chodzi, ale ja nie daję rady udzielić odpowiedzi. Naszła mnie niespodziewana i bezbrzeżna głupawka. Gaia także ją zauważyła, podchodzi do mnie i rozbawiona chwytła mnie za nadgarstki.

– Jesteś pijana, Ele?

– Mam nadzieję – odpowiadam, osuszając łzy.

---

Ale teraz nie wiem już, czy to są łązy radości, czy desperacji.

Na kilka minut przed północą wychodzimy wszyscy na taras, żeby podziwiać sztuczne ognie. Zawsze je uwielbiałam, i to nie tylko oglądać, ale także puszczać. Pamiętam, że jako dziewczynka pod koniec roku wydawałam wszystkie pieniądze z mojej różowej świnki skarbonki, żeby kupić sztuczne ognie i petardy, które potem odpalaliśmy z tatą, ciesząc się jak wariaci. Moje przyjaciółki twierdziły, że to nie jest zabawa dla dziewczynek, ale mój ojciec zdawał się o to nie dbać, a ja byłam przeszczęśliwa, że mogę dzielić z nim te chwile.

Ciemne niebo nieco się przetało i widać na nim parę gwiazd. Widok stąd jest rzeczywiście spektakularny – odnosi się wrażenie, że jest się punkcikiem zawieszonym pomiędzy wodą, ziemią i niebem. Nadszedł nieunikniony moment odliczania. Gaia i Jacopo wysuwają się do przodu, do samych barierek, podczas gdy ja i Filippo

---

trzymamy się z tyłu, w nieco odseparowanym zakątku.

– Pięć.

Filippo obejmuje mnie mocniej w talii.

– Cztery.

Przytulam się mocniej do jego ciała.

– Trzy.

Patrzy na mnie.

– Dwa.

Unoszę podbródek.

– Jeden.

Jego usta są o kilka centymetrów od mojej twarzy.

– Szczęśliwego nowego roku! – mówimy to w tej samej chwili, patrząc sobie w oczy i czekając, aż nasze usta się odnajdą.

To pierwszy prawdziwy pocałunek tego wieczoru i jest w nim cała czułość, o której zdążyłam już zapomnieć. Filippo odkorkowuje butelkę Moët & Chandon, którą trzymał w dłoni, i upijamy po łyku z gwinta, podczas gdy sztuczne

---

ognie podświetlają na kolorowo miasto i kanał u naszych stóp. Przez parę minut podziwiamy ten spektakl w milczeniu.

– Czas pomyśleć życzenie – szepcze mi nagle do ucha Filippo.

– OK.

Zamykam oczy, żeby się skoncentrować. Choć ta chwila z nim jest tak piękna, choć staram się pomyśleć o innym życzeniu, przychodzi mi do głowy tylko jedno – Leonardo. Otworzywszy oczy, mam ochotę się rozpłakać.

– Już? – pyta Filippo.

Potakuję i szybko uciekam wzrokiem. Wyrrywam mu z ręki butelkę i pociągam jeszcze jeden łyk.

– A ty? Zastanowiłeś się nad swoim? – pytam, siląc się na uśmiech.

– Nie muszę się zastanawiać. Moje życzenie już się spełniło – mówi, obejmując mnie i całując jeszcze raz.

---

Czuję, że umieram. Jestem najniższą formą istnienia na ziemi. Czepiam się tego pocałunku całą sobą z siłą, z jaką tak naprawdę chciałabym prosić go o wybaczenie.

Filippo przyciąga mnie do siebie, przyciskając do klatki piersiowej. Trwamy tak nie wiem nawet jak długo, odnoszę wrażenie, że wróciłam z dalekiej podróży. Teraz, gdy pokaz sztucznych ogni dobiegł końca, większość osób już weszła do środka, tylko nieliczni kręcą się jeszcze po tarasie. Czuję, jak ciepło Filippa miesza się z moim, pod ubraniami nasze ciała są tak blisko siebie, a mnie gotuje się w żyłach krew. Być może stoi za tym też wypite wino, ale nagle nachodzi mnie szalona ochota, by się z nim kochać. Nie wiem, czy kieruje mną pożądanie, czy złość, radość czy rozpacz, wiem tylko, że tej nocy chcę jeszcze raz należeć do niego. O konsekwencjach pomyślę jutro.

Ujmuję więc jego twarz w dłonie i zaczynam całować go z żarem, wsuwając mu do ust cały język i kładąc dłoń między nogami.

---

Filippo jednak cofa się i patrzy na mnie zdeorientowany.

– Co się stało? Nie masz ochoty? – pytam.

– Oczywiście, że mam ochotę – odpowiada on, rozglądając się wokół.

– A więc? – szepczę, popychając go w stronę ciemniejszego zakątka tarasu.

– Bibi, ludzie patrzą – podoba mu się, wiem to, ale jest zbyt zakłopotany.

– Niech patrzą – łapię jego dłoń i kładę ją sobie na piersi.

– Co cię napadło dziś wieczór? – pyta, a jego zielone oczy płoną światłem, jakiego jeszcze u niego nie widziałam.

– Napadła mnie ochota – mówię tonem wyzwania i opuszczam ramiączko sukienki, tak że może zobaczyć moją pierś.

– Co ty wyrabiasz? Zakryj się.

Jest cały w nerwach, zbulwersowany i zakrywa mnie w pośpiechu.

– Czemu jesteś taki sztywny?

---

Ja natomiast jestem sfrustrowana i poirytowana. Leonardo by mnie nie zatrzymywał. Leonardo nie powiedziałby tych wszystkich rzeczy. Leonardo wziąłby mnie tu, na miejscu, przy tym murze. Leonardo, Leonardo, cholera jasna, czy ja mogę myśleć już tylko o nim?! „Czemu nie zrobisz czegoś, żebym o nim zapomniała” – chciałabym wrzasnąć do Filippa.

– Jesteś zupełnie pijana – mówi, odsuwając mi pasemko włosów z czoła. Kiedy jest wściekły, robi się o wiele bardziej seksowny... szczękę ma bardziej kwadratową.

Teraz pragnę go niemalże z przekory, jego odrzucenie mnie podnieca, czuję potrzebę zaszokowania go, postawienia przed nim tej nowej Eleny, która nie należy już do niego, lecz do innego mężczyzny. Rozpinam mu pasek niecierpliwymi ruchami.

– Dalej, Fil! Chcesz mnie czy nie?

Zatrzymuje mnie, chwytając mocno za nadgarstek.

---

– Przestań, Eleno. Przesadzasz – cedzi przez zęby.

Nigdy nie nazywa mnie Eleną. Wydaje się wzburzony.

– A więc przesadźmy! – odbijam piłeczkę zniecierpliwiona. – Nie możesz raz w życiu zaszałeć?

– Powiedziałem „przestań”.

– O co chodzi, musisz to przemyśleć? Chcemy sobie dać czas także na to? – Teraz jestem wściekła i rozeźlona; nie umiem zatrzymać słów, które płyną z moich ust jak trucizna. – Gdzie jest pasja, Fil? Czy nie można podjąć ani jednej pieprzonej decyzji, która nie będzie racjonalna? Czy między nami nie może być ani trochę zdrowego szaleństwa? Wszystko jest zawsze takie przewidywalne!

Powiedziałam to, wykrzyczałam i już żałuję. Filippo patrzy na mnie z niedowierzaniem.

– Jechałem sześć godzin pociągiem, żeby cię zobaczyć – mówi przez zaciśnięte zęby, blady. –



---

Ale wydawało mi się, że my dwoje to coś więcej niż numerek na tarasie hotelu.

Zakrywam twarz rękoma. Chciałabym się zapąć pod ziemię ze wstydu.

On cofa się o kilka kroków ze zgaszonym spojrzeniem. Nie chce już kontaktu z moim ciałem.

– Nie wiem, co ci się stało przez te ostatnie kilka miesięcy, Eleno, ale ja cię już nie poznaję. A to, co widziałem dziś wieczorem... nie podoba mi się.

Chce odejść, ale przytrzymuję go za ramię.

– Przepraszam, nie chciałam...

Odpycha moją rękę.

– Owszem, chciałaś. – Patrzy na mnie chłodno, z zaciśniętymi pięściami. – Powiedziałaś, co myślisz, aż zbyt jasno. Życzę ci szczęśliwego nowego roku.

A potem rusza szybko w kierunku schodów prowadzących do wyjścia.

Nie mogę go już zatrzymać i nawet nie próbuję. Jestem ledwo żywa, osuwam się bezsilnie

---

po murze, w głowie mi się kręci, czuję mdłości, które na szczęście udaje mi się opanować. Oddycham głęboko i wstaję spokojnie, by powlec się niepewnie z powrotem do naszego stolika. Ja także sobie pójdę, w takiej sytuacji nie ma sensu zostawać. Zabieram torebkę, żegnam się pospiesznie z Gaią i Brandolinim, nie tłumacząc przyczyny mojego wyjścia. Na szczęście Gaia jest jeszcze bardziej pijana niż ja i nie zauważyła zniknięcia Filippa ani mojego żalosego stanu. Powtarza mi jeszcze raz „Szczęśliwego nowego roku” i uszczypnąwszy mnie w pupę, pozwala mi odejść.

I oto jestem sama w moim mieszkaniu singielki, o trzeciej rano pierwszego stycznia, z perspektywą rychłego porzygania się i migreną, która nie chce ani na chwilę ustąpić. Piękny początek nowego roku. Bez Leonarda. A teraz także bez Filippa. Czym sobie na to wszystko zasłużyłam? Czuję się zmęczona, zużyta – dokonałam już wyboru, ale los

---

bawi się wymierzaniem mi policzków. Pragnę tego, czego nie mogę mieć.

Ledwo trzymając się na nogach, wlokę się w kierunku kuchni, by poszukać czegoś, co mogłoby wchłonąć przelewający mi się w żołądku alkohol. Znajduję kawałek chleba i natychmiast biorę go do ust, nie zastanawiając się, od jak dawna tam zalega. Potem idę do łazienki i odkręcam kran przy wannie, dolewając do wody trochę oliwy do kąpieli. Nalało mi się trochę za dużo, ale nie zwracam na to uwagi. W oczekiwaniu, aż wanna się napełni, wracam do salonu, a mój wzrok pada na choinkę, której światełka wciąż są zapalone. Siadam na podłodze, żeby jej się przyjrzeć. Na jednej z bombek czytam wersy, które sama napisałam:

*Nienawidzę i kocham. Czemu tak się dzieje –*

*Spytasz. Nie wiem. Lecz czuję, że tak jest.*

*I cierpię.*

Katullus<sup>18</sup>

---

Zaraz się rozplącę. Węzeł w gardle mi się rozluźnia. Jestem sentymentalną idiotką o czerwonych oczach, dziewczynką, która bawiła się w kobietę i narobiła kłopotów.

Uwalniam się od mojej wymiętej sukienki i tej durnej seksownej bielizny z czerwonej koronki, pozwalam im opaść na podłogę, a sama wracam do łazienki. Potem wchodzę powoli do pełnej wanny, zanurzając także głowę i rozpuszczając w wodzie łzy.

Oto nowa Elena. Samotna, zagubiona i winna. Kat i ofiara siebie samej.

**P**rzerwa świąteczna wreszcie dobiegła końca, a ja żegnam stary rok z wdzięcznością, lecz robię to bez żalu. Choć ten nowy rozpoczęłam fatalnie, muszę patrzeć przed siebie. Zrezygnowałam ze zwyczajowej wyliczanki dobrych postanowień, ale obiecałam sobie, że będzie to rok odważnych wyborów.

Przede wszystkim chcę rzucić się z powrotem w wir pracy. Byłam na kilku rozmowach, ale wydaje mi się, że w Wenecji nie dzieje się obecnie nic ciekawego. Skontaktowałam się więc z profesoressą Borraccini, dyrektorką Instytutu Konserwacji, z którą kiedyś współpracowałam, a ona zaproponowała mi współudział w projekcie w Padwie. Wszłabym w skład zespołu pod jej kierownictwem, który będzie odpowiedzialny za odnowienie Kaplicy Scrovegnich<sup>19</sup>. To prestiżowa praca, świetnie by wyglądała w CV, ale

---

musiałabym dojeżdżać codziennie pociągiem, więc zastanowię się jeszcze po odbyciu rozmowy.

Zdobyłam się też na odwagę i zapisałam na siłownię. W czwartki mam pilates, w poniedziałek i czwartek chodzę na kurs zumby. Oczywiście idzie mi znacznie lepiej w tym pierwszym, być może dlatego, że nie trzeba za dużo robić, poza rozciąganiem się w miejscu. Pewnie, nie jestem może giętka jak guma, ale teraz przynajmniej jestem w stanie dotknąć ziemi palcami rąk bez uginania kolan. Na zumbę natomiast spuściłabym litościwie zasłonę milczenia. To Gaia mnie namówiła, żebym się zapisała, i przeklinam dzień, w którym się zgodziłam. Instruktorka to wariatka, a ja nie mogę się powstrzymać przed patrzeniem w lustro i myśleniem, że wyglądam absurdalnie pośród wszystkich tych rozszalałych kobiet bujących biodrami i wymachujących rękoma we frenetycznym rytmie, podczas gdy ja pozostaję w tyle o przynajmniej pół sekwencji. Pod koniec każdej lekcji ledwo mogę oddychać, ale muszę przyznać,

---

że czuję się lekka, zmęczona w najlepszym znaczeniu tego słowa i niemalże rozbawiona swoją własną nieporadnością.

Na froncie uczuciowym natomiast panuje całkowity zastój.

Od czasu koszmarnej nocy sylwestrowej Filippo już się do mnie nie odezwał. Gaia wciąż z uporem dopytuje się o przyczyny naszego rozstania, a ja za każdym razem wykręcam się zdawkową odpowiedzią. Powiedziałam, że postanowiliśmy przez jakiś czas od siebie odpocząć, nie wtajemniczając jej jednak w szczegóły mojego wysoku i nie mówiąc, że to ja doprowadziłam do zerwania. Zachowałam się wobec Filippa w sposób naprawdę niewybaczalny. Myślę, że powiedziałam mu te wszystkie rzeczy tylko dlatego, że nieświadomie chciałam go od siebie odstraszyć, doprowadzić do tego, że mnie znienawidzi. Udało mi się zresztą, a myśl o tym, że między nami się skończyło, jeszcze zanim się zaczęło, pozostawia mi gorycz w ustach. Męczy

---

mnie jednak myśl, że straciłam szansę na bycie szczęśliwą, ale nie mogę nic na to poradzić – w tej chwili moje serce skłania się w inną stronę.

I wciąż wracam do Leonarda. Nie wiem już, jak powstrzymywać ogarniającą mnie szaloną chęć zadzwonienia do niego, ale wytrwanie jest jedynym sposobem, by znowu go mieć. Czas, który mnie od niego dzieli, niekiedy wydaje mi się nie do wytrzymania, ale jestem pełna ufności – święta skończyły się już jakiś czas temu i wiem, że on wkrótce będzie tu z powrotem. Znowu razem. Ja i on, choć nie do końca wiem, w jakim stopniu razem. Ale, w gruncie rzeczy, niekiedy lepiej nie wiedzieć.

Właśnie wróciłam z siłowni i czuję się, jakbym unosiła się nad ziemią. W efekcie treningu, który powalił nawet Gaię, z mojego ciała zniknęły wszystkie toksyny. Dziś wieczorem mogę sobie pofolgować w kuchni bez większych wyrzutów sumienia. Przygotowuję *tramezzini*<sup>20</sup> z rukolą i –



---

teraz to już nie problem – wędliną bresaola, a także serem brie i orzechami oraz gorgonzolą i karczochami z oliwy – po dwie z każdego rodzaju. Pakuję w nie góry składników, jak w barze Toletta, słynącym z najlepszych *tramezzini* nie tylko w Wenecji, ale i na świecie.

Jest za parę minut ósma, kiedy nagle dzwoni domofon. Kto to może być? Nikogo się nie spodziewam. Odkładam na talerz nóż ubrudzony serem brie i oblizując palce, podchodzę do drzwi, by odebrać.

– Tak? – pytam.

– Leonardo – silny i opanowany głos. Jego głos.

O matko, słabo mi. Instynktownie spoglądam w wiszące na ścianie lustro. Masakra – mam na sobie podarte džinsy, kapcie z wełny merynosa i rozprutą bluzę adidasa, którą noszę tylko po domu. Mam ją od czasów liceum. I tak całe szczęście, że nie jestem we flanelowej piżamie w niedźwiadki.

---

– Leonardo?! – pytam jeszcze raz, żeby się upewnić, że nie śnię.

– Tak. Może mi otworzysz?

A może poczekaś chwilę, aż się przebiorę? Albo kilka godzin, w pełni się odrestauruję.

– Wejdz.

Naciskam guzik i pędzę do łazienki przypudrować twarz. Jeśli chodzi o moje włosy, to Gaia powiedziałaaby, że strach na nie patrzeć. Ale nie ma czasu. Zbieram je w improwizowany kucyk.

On wchodzi po schodach.

Nie sądziłam, że zjawi się w ten sposób, bez uprzedzenia. Nie jestem przygotowana. Serce wali mi jak młot, nogi drżą pode mną, lecz muszę grać pewną siebie, zrelaksowaną, nie chcę, żeby się zorientował, jak bardzo mi go brakowało, chociaż pewnie i tak się domyśla, a ukrywanie tego jest bezcelowe.

Otwieram przed nim drzwi, starając się przybrać minę umiarkowanego zaskoczenia.

---

– Ale niespodzianka...

– Ta, na którą czekałaś... – odpowiada, niewzruszając wszystkie moje wysiłki.

Jest taki seksowny z kilkudniowym zarostem, potarganymi włosami i nieco ciemniejszą niż zawsze cerą.

– Proszę – mówię, zapraszając go do środka ruchem głowy i ledwo się powstrzymując przed rzuceniem mu się na szyję.

Robi kilka kroków w kierunku salonu, rzuca na podłogę swoją torbę w kolorze wojskowej zieleni, rozgląda się wokół i muska mój policzek ustami w przelotnym pocałunku.

– Jak się miewałaś beze mnie?

– Dobrze.

– Kłamczucha.

Przyciąga mnie do siebie i całuje bez końca. Przesuwa się ku szyi, silnie ujmuje moją twarz w dłonie, popycha mnie na kuchenną ścianę i zatapia język w moich ustach. Czemu nie pozwalasz się schwytać, Leonardo, czemu nie chcesz być

---

mój? Tak bardzo mi brakowało tych drapieżnych ust, tych mocnych ramion, tego ciała pachnącego ambrą i życiem... Ale czemu nie mogę mieć go przy sobie za każdym razem, gdy zechcę?

Nie hamując się, odpowiadam z takim samym pożądaniem.

– Tak się odżywasz? – pyta mnie w pewnej chwili, uwalniając się z mojego uścisku, zobaczywszy na stole deskę z leżącą na niej kromką chleba posmarowaną serem brie.

– Tak, uwielbiam *tramezzini* po wenecku.

Leonardo potrząsa głową z pogardliwym uśmieszkiem. Być może i jest wielkim kucharzem, ale nikt nie będzie podważał jakości moich *tramezzini*.

– Poważnie, są przepyszne – nalegam z pełnym przekonaniem.

Leonardo wybuchą śmiechem, jakbym powiedziała coś zupełnie absurdalnego.

– Zobaczmy, czy rzeczywiście są przepyszne – mówi, naśladowując mój ton.

---

I nadgryza *tramezzino* z brie i orzechami, smakując go powoli.

Czuję się oceniana, zupełnie jak uczestniczka MasterChef, która zaraz może wylecieć z programu, z tą różnicą, że Leonardo jest nie tylko surowy, jak sędziowie z show, ale także niesamowicie seksowny, przez co onieśmiela mnie jeszcze bardziej.

Patrzy na mnie wzrokiem, który nie zapowiada niczego dobrego. Potem wzdycha i przyciąga mnie do siebie, obejmując w tali.

– Brawo – komentuje, oblizując usta. – Może zatrudniłbym cię jako asystentkę?

– Dzięki, ale mam już pracę. Mniej więcej... – odpowiadam.

W odpowiedzi daje mi klapsa w pupę.

– W każdym razie, jeśli jesteś głodny, zrobiłam więcej... – Wskazuję talerz.

– OK.

Zdejmuje skórzaną kurtkę i przenosimy się na kanapę. Porusza się z pełną swobodą, ja zaś czuję

---

się nieco dziwnie, mając go przy sobie tutaj, w moim domu. To pierwszy raz. Pewnie zapamiętał adres tego dnia, kiedy była *acqua alta*...

On częstuje się *tramezzino* z rukolą i bresaolą, ja urywam sobie kawałeczek tego z gorgonzolą i karczochami. Przeżuwam jakby wbrew sobie, nagle straciłam apetyt. Mam ochotę na niego.

– Przestało ci smakować? – pyta.

– Pewnie, że nie – kłamię bez mrugnięcia okiem. Potem nagle przychodzi mi coś do głowy. – Może przyniosę coś do picia? Mam butelkę dom *pérignon*...

– A od kiedy to trzymasz w lodówce alkohol? Dogadzamy sobie, co? – komentuje, przytakując jednak.

Podnoszę się z kanapy i pod pretekstem pójścia do kuchni wymykam się szybko do łazienki, a tam opuszczam figi, by skontrolować sytuację. Wydaję westchnienie ulgi. Piersi mam nabrzmiące, znak, że wkrótce się zaczniesz, ale byłaby szkoda, gdyby to zdarzyło się właśnie dziś wieczór...

---

Poprawiam przed lustrem ogonek, a przynajmniej próbuję, potem biorę szampana i wracam do salonu.

– Już jestem.

Stawiam dom pérignon na stoliku i szukam kieliszków. Leonardo wodzi za mną wzrokiem, odkorkowując butelkę.

– Wszystko w porządku? – pyta, gdy już mu je podstawiam.

– Tak – odpowiadam, zajmując z powrotem miejsce na kanapie. Tak bardzo widać po mnie emocje? Przyspieszony kurs maskowania się, który sama sobie zafundowałam w ostatnich tygodniach, najwyraźniej nie przyniósł wielkich efektów: nie sposób ukryć emocje, które on we mnie wywołuje.

– Za co pijemy? – pytam.

– Za nas – odpowiada, patrząc mi w oczy i stukając delikatnie swoim kieliszkiem o mój. Potem wstaje i wyciąga z torby białą paczuszkę.

– To dla ciebie, prosto z Sycylii – mówi.

Prezent. Tego akurat się nie spodziewałam.

---

– Dziękuję – bąkam nieco zakłopotana. – Ale ja dla ciebie nic nie mam...

– Dalej, otwórz – ucina Leonardo.

Rozpakowuję prezent z pieczołowitością. Zda je się, że zawiera coś miękkiego.

– Jak twoja podróż? – pytam.

– Bardzo dobrze – odpowiada w telegraficznym skrócie.

Patrzy w przestrzeń i wydaje mi się niemal melancholijny. Z jego ojczyznę musi go łączyć jakaś ważna więź. Coś, o czym mnie nie jest dane wiedzieć.

Odwijam kolejną warstwę papieru i pod moimi palcami pojawia się skrawek gładkiego materiału. Rozkładałam go, przyciskając sobie jeden koniec do piersi, tak jakbym rozwijała plakat. Przyglądam mu się uważnie. To wspaniała peleryna z czarnego jedwabiu z kapturem wykończonym satyną.

– Nazywa się *armuscinu* – tłumaczy mi Leonardo, zanim zdążę zadać jakiegokolwiek pytanie. – Jest ręcznie robiona. Niegdyś sycylijskie



---

kobiety zakładały je, wychodząc z domu, ale teraz nie jest łatwo na nie trafić.

– Jest przepiękna – mówię, przyciskając go do piersi.

To musi być rzadki przedmiot. W myślach przewijają mi się klatki z filmów Tornatore – nigdy nie byłam na Sycylii, a jego dzieła stanowią moje jedyne źródło wiedzy o niej.

– Tradycyjnie nosi się ją na dwa sposoby – Leonardo zarzuca mi materiał na ramiona. – Z opuszczonym kapturem, gdy idzie się załatwiać jakieś sprawy. Lub z kapturem na głowie – naciąga mi go na włosy – idąc do kościoła lub na spotkanie z kimś ważnym.

Uśmiecham się. W tej pelerynie czuję się jak matrioszka, a nie jak Monica Bellucci w *Malenie!*

Leonardo poprawia ułożenie materiału jak stylista przygotowujący swoją modelkę, a potem mnie podziwia. On także jest rozbawiony.

– *Assabinidica*<sup>21</sup>, donno Eleno. Bardzo ci w tym ładnie.

---

Nie wiem, co powiedzieć, więc tylko lekko się kłaniam. On zbliża się i chwyta za rąbek materiału.

– Ale jeszcze ładniej nago.

Zsuwa ze mnie pelerynkę, potem bluzę, a następnie bawełnianą bluzeczkę. Delikatnie dmucha na moje nagie piersi, a sutki natychmiast mi twardnieją. Siada na kanapie i obróciwszy mnie, sadza sobie między nogami. Pozwalam, by masowały mnie jego sprawne dłonie, czuję, jak jego palce miękko wspinają się po szyi, a potem zjeżdżają w dół aż do linii bioder, rysując mnóstwo małych kółeczek wzdłuż kręgosłupa. Potem delikatnie dotyka moich piersi. Moje ciało przechodzi fala dreszczy.

– Pachniesz tak pięknie. Tak słodko.

Jego nos muska zagięcie mojej szyi, a za nim podąża gorący język. Krew natychmiast rozgrzewa mi się w żyłach. Pragnę go do szaleństwa.

– Brakowało mi ciebie, Eleno – szepcze mi cichutko.

---

Całuje mnie w kark i przysuwa się do mnie tak blisko, że cały przylega do moich pleców – klatką piersiową, policzkami i ustami. Odpoczywa chwilę, oparty o mnie. Potem ja się odwracam, nie mogąc oprzeć się pokusie jego ust. Ściągam mu przez głowę sweter i siadam na nim okrakiem, całując jeszcze i jeszcze, aż wreszcie kładzie się na mnie. Dłońmi chwyta moje uda i w ułamku sekundy jego usta są znowu na mojej skórze. Gwałtownie gryzie moje łono przez materiał dżinsów, podczas gdy moje palce wplątują się w jego włosy. Jęczę, a przyjemność rozlewa się po mnie, niepoohamowana.

Nagle podnosi mnie i przerzuca sobie przez ramię jak worek. Wiszę z głową w dół, wsuwam dłonie w kieszenie jego dżinsów, aby się przytrzymać. Ale czuję się pewnie w jego silnych ramionach.

– Dokąd mnie niesiesz? – pytam ze śmiechem.

Skreca w korytarz bez chwili wahania, jakby znał mój dom od zawsze.

---

– Chcę zobaczyć twoją sypialnię.

Otwiera na oścież uchylone drzwi, wchodzi i rzuca mnie na łóżko.

– Urocza. Podoba mi się. – Rozgląda się, pieszcząc jednocześnie mój sutek.

Serce wali mi jak oszalałe, a w żyłach płynie czyste pożądanie. Leonardo ściąga ze mnie dzinsy i figi, a potem liże mnie powoli, od dołu mojej szparki aż do samej góry, torując sobie drogę ku lechtaczce. Cała się gotuję. Pragnie mnie z żarem, jakiego nigdy nie widziałam u nikogo innego – mówią mi to jego doświadczone i nieustępliwe usta.

– Dobrze smakujesz, Eleno. Jak ciepły chleb. A w środku – jak sól.

Jego język sięga coraz głębiej, zdaje się nienasycony.

Ja natomiast czuję, że rozpływam się w nicości, tak jakby percepcja zawężyła mi się jedynie do mojej waginy, przeszywanej konwulsjami oraz dreszczami przyjemności.

---

Nagle się podnosi, z oczami pełnymi pożądania i napiętymi mięśniami klatki piersiowej. Szybko ściąga z siebie ubranie i rzuca się na mnie, unieruchamiając mi dłońmi nadgarstki. Wchodzi we mnie pełnym żądzy pchnięciem i dysząc, zaczyna poruszać się w szybkim rytmie.

Niczym cząsteczka w trakcie alchemicznego doświadczenia przeskakuję do innego wymiaru. Nasze dwa połączone ciała wyzwalają we mnie energię tak intensywną, że zupełnie tracę orientację. Zdaje się, że nasza rozłąka tylko spotęgowała pożądanie, popychając nas do przeżycia czegoś porywającego, niepokojącego i gwałtownego.

Teraz Leonardo obraca mnie. Pomagam mu, chwytając się za zagłówek łóżka. Jęczę bez ustanku i poruszam się, wychodząc naprzeciw jego ruchom, czując jego dłonie na moich biodrach, a jego członek – we mnie. Narzucił mordercze tempo, ale udaje mi się za nim nadążyć.

– Jesteś moja, Eleno – mówi, pieszcząc moje pośladki.

---

Po czym wykonuje jeszcze jeden ruch, właśnie ten, którego potrzebowałam, żeby odlecieć.

Nie mogę przestać krzyczeć, podczas gdy zagłówek łóżka uderza o ścianę. Spadam w głąb wiru mojego orgazmu, czuję drzenie każdego mięśnia, pod zębami – krew i kręci mi się w głowie. Leonardo podąża za mną, trzymając mnie mocno, aż opadamy razem na pościel, a on zamyka mnie w swoich ramionach.

Trwam przez jakiś czas wtulona w jego klatkę piersiową, podziwiając całe jego ciało, wdychając jego upajający zapach. Czuję, że wariuję – z nim i na jego punkcie.

– Pewnie słyszała nas Clelia – mamroczę.

– Kim jest Clelia?

– Moją sąsiadką.

Narobiłam więcej hałasu niż jej kotki w rui – myślę, uśmiechając się do siebie.

– Nie wiem, co powie na ten temat Clelia, ale ja uwielbiam słyszeć, jak dochodzisz. – Muska

---

mnie palcem po nosie, patrząc na mnie z zadowoleniem.

Nie rób tak, bo mam ochotę cię przytulić... a nie mogę zbyt ulegać czułości. Pozwalam palcom prześliznąć się między włoskami na jego klatce piersiowej.

– Co powiesz na gorącą kąpiel? – dzielę się pomysłem, który nagle przyszedł mi do głowy.

– Czemu nie...

Mam już wstać, ale on mnie zatrzymuje.

– Zostań, ja naleję wody do wanny.

Wstaje, a moje oczy pochłaniają jego posągowe ciało. Podoba mi się, że przejmuje inicjatywę. Podoba mi się, że tu jest. Podoba mi się w nim wszystko. Poza faktem, że nigdy nie będzie mój.

Wciąż jestem w stanie słodkiego odrętwienia, kiedy Leonardo wraca do sypialni z psotną, rozbawioną miną.

– A to?

---

O matko, wibrator! Wygrzebał go z szafeczki na płyny do kąpiel. O, nieeeee! Chciałabym ze wstydu schować się pod prześcieradła.

– Dostałam go w prezencie od Gai. Na Gwiazdkę – usprawiedliwiam się.

Leonardo potrząsa głową ze śmiechem.

– Wypróbowałaś go już?

Podchodzi do łóżka. Ten zimny przedmiot w jego dłoniach staje się niesamowicie erotyczny.

– Właściwie nie.

– Czemu nie?

– Nie wiem, wydaje mi się, że by mi się nie spodobało.

– Wydaje ci się? – i siada koło mnie na łóżku ze znaczącym spojrzeniem.

Jeszcze nie się pozbierałam po poprzednim orgazmie. Ten mężczyzna mnie wykończy! Głaska mnie między nogami, przesuując palcami w górę i w dół, jakby włączał i wyłączał jakieś urządzenie. Moje gniazdko znowu bucha ogniem, wciąż ni-enasycone, i nagle czuję, że wypełnia mnie coś



---

o konsystencji szkła. Gładkie i chłodne, ślizga się szybko, aż wrywa mi się jęk.

Leonardo wsuwa go głębiej. Porusza nim – wsuwa i wysuwa – a następnie wprawia go w wibracje. To nowe uczucie, bezgraniczne i ekscytujące, jak wszystko, co robię z nim. Otwieram oczy i patrzę na wibrator. Skrzy się w świetle rzuconym przez żyrandol. Widok tego nieożywionego przedmiotu zagłębiającego się w moje żywe ciało jest wyobcowujący, ale jednocześnie, nie wiem czemu, podoba mi się.

Leonardo wysuwa go ze mnie i wkłada mi go do ręki.

– Skończ sama, Eleno – mówi, ujmując w dłoń swój członek. – Chcę patrzeć, jak to robisz.

Jego oczy znów płoną pożądaniem.

Spełniam jego życzenie jak zahipnotyzowana, nie znajdując siły, by się przeciwstawić. Kryształ dostarcza mi lubieżnej przyjemności, którą jeszcze pogłębia spoczywające na mnie spojrzenie Leonarda. Niczego już nie rozumiem, jestem

bezbronna – w głowie mi się kręci, a ręką brakuje siły. On patrzy na mnie przez chwilę, a potem uwalnia mnie od zabawki, chwyta mnie za uda i wchodzi we mnie zdecydowanym ruchem. Jęczę, głośniejszym niż wcześniej.

– Wolisz tak, prawda?

Z moich ust dobywa się wszystko mówiący jęk.

Wysuwa się ze mnie i wzięwszy na ręce, zanoszą do łazienki. Woda dotarła już prawie do krawędzi wanny. Schyla się, by zakręcić kran i wrzuca do wody musującą kulkę o zapachu paczuli, która topi się, wypuszczając mnóstwo pachnących bąbelków. Brawo, Leonardo. Ty zawsze wiesz, co mi się spodoba.

Biorę głęboki wdech i jako pierwsza zanurzam się w pianie. On pożera mnie zmysłowym spojrzeniem, a potem usadawia się przodem do mnie, sprawiając, że trochę wody wylewa się na podłogę. Moja wanna jest mała, sprzyja kontaktowi. Nasze nogi się splatają.

---

W jego oczach rozpala się pożądanie, gdy zbliża się do mnie, by mnie pocałować. Ujmuje w dłoń moją twarz i bierze sobie moje usta.

– Chodź tu – mruczy, sadzając mnie na sobie okrakiem. Głaszcze mały pieprzyk pod moją pierś i uśmiecha się do mnie. – Za każdym razem, gdy o tobie myślę, myślę także o nim.

Teraz go czuję. Znowu zagłębia się w moje mokre ciepło. Siedzę na nim spokojnie, a kiedy on atakuje, by wypełnić mnie całą, wyginam plecy w łuk z głośnym jękiem. Potem obejmuję jego głowę i przyciskam ją do piersi, podsuwając mu sutki. Chcę czuć na sobie jego usta i chcę, by wiedział, jak mocno go pragnę.

Poruszamy się w jednym rytmie w wąskiej przestrzeni wanny, nasza skóra jest mokra i śliska, oczy szkliste od przyjemności, usta chciwie spijają rozkosz. A woda rozlewa się wokół nas.

Nowy orgazm rozprzestrzenia się po moim ciele, trawiąc moją duszę i ciało. Te emocje mnie przerastają i czuję, że Leonardo także traci

---

kontrolę. Dochodzimy jednocześnie, całując się w usta.

Należę do niego. A on jest mój, przynajmniej na tę jedną noc.

Łazienkę wypełnia para. Woda powoli staje się znowu przejrzysta, w miarę jak piana znika. Leżymy razem przez chwilę – ja na brzuchu, uwięziona między jego nogami, jak w miękkiej kołysce.

– Zmieniłaś się, Eleno, wiesz? – mówi, bawiąc się moimi włosami.

– Co masz na myśli?

– Kochasz się inaczej. Jesteś bardziej wyzwolona, zmysłowa.

– To ty mnie odmieniłeś.

– Być może po części. Ale ja tylko wyciągnąłem na wierzch to, co i tak było w tobie.

To niespodziewany komplement, który wypełnia mnie dumą i czułością. Nie wiedząc za bardzo, co powiedzieć, uciekam się do sarkazmu:

---

– A więc zdam do następnej klasy, panie profesorze?

W odpowiedzi on wpycha mnie na chwilę pod wodę, przyciskając ręką moją głowę. Wynurzam się z okrzykiem i rzucaam się na niego, by ugryźć go w ramię. Śmiejemy się.

Potem podnosi mnie nieco i przesuwaa gąbką po moich plecach, masując mnie. Kiedy chce, potrafi być niesamowicie łagodny. Zamykam oczy i rozluźniam się, pieszczona jego dłońmi i dźwiękiem kropli spadających powoli do wody.

– Zostaniesz na noc?

Te słowa wypłynęły mi na usta spontanicznie, zanim zdążyłam je zatrzymać. Obawiam się, że popełniłam poważny błąd. Nie pyta się o to mężczyzny takiego jak on.

– Tak.

Ze zdziwienia otwieram szeroko oczy. Nie spodziewałam się takiej odpowiedzi. Na ogół kochankowie nie zostają na noc. Obracam się, żeby mu się przyjrzeć i przekonać, czy mówi serio.

---

– Jeśli dla ciebie to nie problem, to dla mnie też nie.

No właśnie. To, co na ogół jest prawdą, nie odnosi się do Leonarda.

Całuję go z uczuciem, jak jeszcze chyba nigdy go dotąd nie całowałam, jakby był moim mężczyzną, a ja jego kobietą, jakbyśmy nie byli dwójką ludzi, których łączy i dzieli przeklęty pakt.

Nie powinnam się zakochiwać, wiem. Ale nie chcę też zmarnować tej chwili szczęścia, wypełniając ją bezsensownymi rozmyślaniami. Chcę ją przeżywać. Teraz.

Kładziemy się do łóżka, pachnący i rozgrzani długą kąpielą. Leonardo jest tutaj, w moim łóżku, i jest tu dla mnie. Obejmuję go pod kołdrą, szczęśliwa na myśl, że jutro rano wciąż tu będzie.

Nie zasypiamy od razu. Przez jakiś czas kręcimy się w łóżku, odnajdując się w nienasyconych pocałunkach, przytulając się mocno, tak jakbyśmy chcieli w naszych ciałach objąć

---

wszystko, łącznie z oddechem. A potem, nie wiem kiedy, osuwam się z tego stanu półsnu w głęboki letarg.

O szóstej czterdzieści pięć nieprzyjemny świergot telefonu wyrywa mnie z zasłużonego odpoczynku. Otwieram oczy i szukam telefonu, jednocześnie odzyskując świadomość. Cholera, rozmowa z Borracini! Za dwie godziny muszę być w Padwie. Poprosiłam mamę, żeby do mnie zadzwoniła i upewniła się, czy naprawdę wstałam. Zawsze tak robię, gdy czeka mnie bardzo wczesna pobudka.

Odbieram, mówiąc szeptem, by nie obudzić Leonarda:

– Cześć, mamó – mamroczę zaspanym głosem, na czubkach palców przechodząc do salonu.

– A czemu mówisz tak cicho? – pyta moja mama.

– Może urywa się zasięg – zapomniałam, że rozmawiam przez telefon stacjonarny, a nie

---

komórkę, ale na szczęście mama nie zauważyła tego szczegółu.

– A więc wstałaś? O której masz pociąg?

Nie wiem, mam. W tej chwili nie mam nawet pojęcia, na jakim jestem świecie.

– O ósmej – odpowiadam, zgadując.

– Zdążysz?

– Tak. I to z zapasem – taką w każdym razie mam nadzieję.

– Oby! Bądź sobą i daj z siebie wszystko, jak zawsze. Powodzenia, kochanie!

– Nie dziękuję. Pa, pa.

Wracam do sypialni, stąpając bosymi stopami po zimnej podłodze. Wciąż rozgrzanej skóry dosięga chłodny poranny powiew, który kłuje jak szpilki. Narzucam na siebie duży wełniany golf.

Leonardo otwiera na chwilę oczy, ale natychmiast z powrotem je zamyka, zrażony promykiem słońca, padającym od okna.

– Dzwonił jakiś telefon? Która jest godzina? – pyta, budząc się.



---

Jest cały rozmemłany, ale podoba mi się i tak. Ja natomiast muszę wyglądać jak potwór ze skołtunionymi włosami i workami pod oczyma.

– Jest wcześniej rano, ale muszę iść. Mam rozmowę w sprawie pracy. Ale ty śpij.

Nie zdążyłam jeszcze dokończyć zdania, kiedy czuję ukłucie w żołądku i zdaję sobie sprawę, że już raz przeżyłam podobną sytuację kilka miesięcy temu, z Filippem. Tylko że tym razem role się zamieniły.

Odsuwam od siebie tę nieprzyjemną myśl i podczas gdy Leonardo jeszcze drzemie, otwieram szafę. Wybieram szybko strój i z ubraniami w ręku udaję się do łazienki. Biała, obcisła koszula od Hermèsa, czarne ołówkowe spodnie, antracytowy sweterek i czarne kozaki na trzycentymetrowym obcasie. Maskuję cienie pod oczami korektorem, nakładam odrobinę różu i błyszczycy, a potem zbieram na karku dwa pasma włosów – idealny look grzecznej dziewczynki. Brawo, Eleno. Udało się,

---

choć teraz nie pamiętasz już nawet, jak to jest być grzeczną dziewczynką...

Wracam do pokoju po torbę oraz płaszcz i zauważam, że Leonardo przygląda mi się z łóżka, z rękoma założonymi za głowę i szeroko otwartymi oczami.

– Nie wiem, o której wrócę – tłumaczę mu, podchodząc bliżej – ale możesz zostać, jak długo chcesz.

– Ja też wyjdę niedługo – mamrocze on, wciąż jeszcze zaspanym głosem. Potem chwyta mnie za dłoń i zmusza, żebym usiadła na łóżku.

– Wychodząc, kopnij drzwi delikatnie, wtedy same się zatrzasną – kontynuuję.

– Zawsze jesteś taka piękna z rana? – pyta, wcale mnie nie słuchając i przyciągając mnie do swoich ust.

Zostaje na nich trochę błyszczyku i nagle Leonardo wydaje mi się zabawny – nigdy jeszcze nie spojrzałam na niego w ten sposób.

---

– Ciao – szepczę mu na ucho i uciekam, uważając, żeby się o coś nie potknąć albo na coś nie wpaść, jak często mi się zdarza.

– Ciao – odpowiada mi jak echo. – Miłego dnia.

Wracam z Padwy około pierwszej trzydzieści. Nie wiem jeszcze, czy podejmę się zlecenia, które chcą mi powierzyć, ale jestem szczęśliwa i mam ochotę uśmiechać się do świata. Wszyscy na to zwrócili uwagę, nawet ta harpia Borraccini, która, widząc mnie dziś rano, przywitała mnie ciepło: „Dzień dobry, Eleno. Wygląda pani kwitnąco”. Najwyraźniej taki efekt przynosi kochanie się z Leonardem – jest znacznie lepszy niż krem wygładzający czy jakakolwiek witamina.

Drogę do domu pokonuję piorunem, pełna nadziei, w głowie mam piękny romantyczny film, w którym on jest głównym bohaterem. Wchodzę po schodach, przeskakując po dwa stopnie, unikam skrupulatnie spojrzenia Clelii, którą spotykam na

---

półpiętrze, otwieram drzwi i rozglądam się wokół. Ani śladu Leonarda.

Wchodzę do sypialni. Chciałabym zastać go wyciągniętego w łóżku – czekającego na mnie dokładnie w tej pozycji, w jakiej zostawiłam go rano. Wciąż go pragnę – jego skóry, jego zapachu, jego siły. Tu także go nie ma, ale w pokoju pozostał jego zapach. Łóżko zostało pieczołowicie zaścielone, a jedwabna narzuta ułożona z wdziękiem. Na poduszce leży złożona na pół kartka.

Otwieram bilecik i czytam.

*Dobry dzień rozpoznaje się nie po poranku, ale po poprzedzającej go nocy. A zatem dzisiejszy zapowiada się wspaniale. Do zobaczenia wkrótce,*

*Leo*

Rzucam się na łóżko, przyciskając kartkę do piersi. Wpatruję się w sufit, uśmiecham się i myślę, że to prawda. Ten dzień już jest wspaniały.

To kolejny dzień karnawałowego szaleństwa w Wenecji. Warsztaty rzemieślników i zakłady krawieckie przeżywają prawdziwe oblężenie, a całe miasto jest zastawione kramami sprzedającymi maski, kapelusze i peruki wszystkich kształtów i kolorów. Z całego świata ściągnęły tu hordy turystów. Kiedy ta masa ludzka się prze-wala, poruszanie się uliczkami czy vaporettem staje się niesamowicie żmudne i znojne. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i pogodzić z myślą, że gdziekolwiek zmierzasz, przybędziesz z opóźnieniem, choćbyś wyruszał ze sporym zapasem czasu.

Jest tłusty czwartek, a ja wybieram się do Leonarda. W ostatnich czasach często odwiedzam go w pałacu i za każdym razem sprawia mi przyjemność widok fresku witającego mnie jak znajoma twarz. Obecnie zaistniał między nami

---

rodzaj rutyny złożonej z serii drobnych przyzwyczajzeń, które łączą nas, jednocześnie nie wiążąc ze sobą. Należą do nich na przykład SMS-y od niego, przychodzące co jakiś czas niczym wezwanie rozkoszy, wybijając rytm naszych spotkań. „Przyjdź do mnie około piątej” – napisał mi wczoraj – „ubierz się elegancko i załóż pelerynkę. Idziemy na prywatne przyjęcie”. Ostatni raz przebrałam się w wieku dwunastu lat – miałam strój Pierrota, twarz pomalowaną na białą i czułam się niepewnie, jak to dziewczynka, która ma świadomość, że nie jest już dzieckiem, ale jeszcze nie stała się kobietą. Trochę się wstydziłam, zakutana w te ubrania, które nie były moimi, i pamiętam, że zaczęłam się dobrze bawić dopiero wtedy, gdy zapomniałam, że je mam na sobie.

Dziś wieczór natomiast włożyłam długą suknię z niebieskiego jedwabiu, a na ramiona zarzuciłam *armuscinu* od Leonarda. Nie mogę się doczekać, aż zanurzę się z nim w karnawałowej atmosferze – tak upajającej i pełnej obietnic. Słyszałam, że

---

podczas przyjęć, które odbywają się w czasie weneckiego karnawału w prywatnych *palazzi*, dzieją się najróżniejsze rzeczy. Osobiście jeszcze na żadnym nie byłam i choć z jednej strony trochę się obawiam, fakt, że będę przy nim, sprawia, że czuję się pewniej.

Pozdrawiam fresk i wchodzę do sypialni Leonarda. Właśnie kończy się przygotowywać. Zatrzymuję się, oparta o framugę drzwi, by mu się przyjrzeć. Włożył niesamowicie elegancki, czarny połyskliwy smoking, a na wierzch pelerynę z ciemnozielonego jedwabiu, podobną do mojej. Nadaje ona szczególny rys jego mrocznej urodzie.

Podchodzi i wita mnie pocałunkiem.

– Jesteś wspaniała – mówi, podziwiając mnie – ale czegoś jeszcze brakuje.

Sięga do szafy, z której wyjmuje zachwycającą maskę Kolombiny. Przykłada mi ją do twarzy.

– Jest przepiękna – komentuję, przyglądając się sobie w lustrze. Zakrywa okolice oczu i dużą

---

część policzków, pozostawiając na wierzchu jedynie usta.

– Kupiłem ją u Nicolao. Specjalnie dla ciebie.

Boję się nawet myśleć, ile jest warta. To oryginalna wenecka maska z papier-mâché, ręcznie wykonana, pokryta wspaniałym białym aksamitem i udekorowana haftami oraz arabeskami. Po jednej stronie, na wysokości lewej skroni, przyczepiona jest róża z białej satyny i miękkie połączone pióro.

Leonardo zawiązuje mi wstążkę na karku, po czym sięga po własną maskę. Jest ona biała i pozbawiona ozdób, w osiemnastowiecznym stylu Baùta. Zakrywa mu całą twarz, tworząc spiczastą wypukłość na wysokości ust. Przystajemy być sobą i pod osłoną swoich nowych twarzy jesteśmy gotowi do wyjścia na świat.

Wieczór jest szary i wilgotny, zbiera się na deszcz, ale nam niepotrzebne jest słońce. We mnie króluje uparta wesołość i nie dbam nawet o to, czy zmierzwią mi się włosy. Rzucamy się w tłum i przemierzamy świętujące miasto, gubiąc się



---

w ferworze muzyki, kolorów, piór, welonów, dzwoneczków i chichotów. Studenci Akademii Sztuk Pięknych rozstawili przenośne warsztaty makijażu artystycznego i z radością ozdabiają twarze ludzi za pomocą machnięć kolorową farbą czy kaskad błyszczącego pyłu. Wszędzie panuje chaos i rozbuchana euforia.

Zatrzymujemy się przy budce, żeby zjeść dyniową frittellę<sup>22</sup>. Weneckie frittelle mają boski smak – słodczy, która nigdy nie męczy i z serca spływa prosto do serca. Spacerujemy bez celu, pozwalając się nieść radosnemu nurtowi i podążając za nastrojem chwili. Gdy wychodzimy na plac św. Marka, natykamy się na Paradę Marii. Jak co roku w tygodniach poprzedzających karnawał odbyły się swoiste wybory – spośród lokalnych piękności wybrano dwanaście Marii, które mają prezentować swoje wdzięki podczas parady w tłusty czwartek. Za parę godzin zostanie oficjalnie ogłoszona zwyciężczyni, „Maria roku”, która otrzyma znaczną nagrodę pieniężną.

---

Wenecjanki walczą ze sobą zaciekle, by zapewnić sobie miejsce w ostatniej turze. Aż do ostatniego roku w wyborach startowała także Gaia – dzięki swoim szerokim znajomościom udawało jej się zawsze wejść do finałowej dwunastki, ale nigdy nie wygrała, być może dlatego, że przewodniczący jury preferuje brunetki. Okropnie przeżyła to, że musiała zrezygnować z udziału ze względu na limit wieku. Na szczęście moja niezdarność wyklucza nawet samą myśl o konkursie piękności, a mój niepewny charakter sprawia, że trzymam się z daleka od wszelkiej formy współzawodnictwa.

Przechodzimy koło Mostu Westchnień i skręcamy w ukrytą uliczkę. Po kilku krokach jesteśmy przy wejściu do palazzo Soranzo.

– Przyjęcie jest tutaj? – pytam, poprawiając na oczach maskę.

– Tak – odpowiada Leonardo z diabolicznym uśmiechem.

---

Drzwi otwiera nam specyficzny majordomus przebrany za lekarza z czasów zarazy – z maską o długim nosie, przypominającą dziób bociana. Zaprasza do środka, obsypując nas konfetti ze złotego papieru. Mam wrażenie, że przechodzę do odmiennej czasoprzestrzeni, gdzie nawet konfetti jest inne niż na zewnątrz.

Mijamy werandę i trafiamy do ogrodu. Mur porośła winorośl o wielkich liściach, mieniących się odcieniami żółci i czerwieni. Kilka postaci w maskach stoi na obrzeżach dziedzińca, inne chowają się między pokrytymi mchem rzeźbami i śmieją się, ganiając wokół fontanny z puttami. Wszystko jest magiczne, zaczarowane, uwodzicielskie.

Stąd wchodzimy do pałacu, gdzie natychmiast otacza nas atmosfera rozbuchanego luksusu, który jednak między tymi murami zdaje się najnaturalniejszym stanem na świecie. Wokół nas panuje rozgardiasz pełen ludzi, dźwięków i głosów. Prawie wszyscy mają na sobie maski i zachowują się

---

jak oszalali. Mężczyźni całujący mężczyzn w maskach kobiet, kobiety bezwstydnie ukazujące piersi i pośladki, ludzie tańczący na stołach i na pokrytych aksamitem kanapach, kochankowie zaszywający się w ciemnych zakątkach, usta opróżniające butelki, języki, które nawzajem się szukają, dłonie, które eksplorują. Jest karnawał: puszczają hamulce, nie istnieją granice, a jedyną dozwoloną rzeczą jest przesada. Kto wie, czy stanę na wysokości zadania. Czuję się niemal jak intruzka, choć przyznaję, że ta atmosfera wyuzdania mnie nieco uwiodła.

Jak zaczarowani przechodzimy przez kolejne pomieszczenia, aż docieramy do głównego salonu. Na antresoli oświetlonej psychodelicznymi światłami króluje DJ ze swoją konsolą. Rozpoznaję go. To Tommaso Vianello, pseudonim artystyczny – Tommy Vee. Chodziliśmy tą samą drogą do liceum – ja byłam w pierwszej klasie, a on w czwartej – i szalenie mi się podobał, ale nigdy nie znalazłam w sobie dość odwagi, by mu o tym

---

powiedzieć. Pozdrawiam go skinieniem ręki, a on odwzajemnia się, puszczając oko, ale po chwili zastanowienia dochodzę do wniosku, że i tak mnie nie rozpoznał pod maską. Właśnie puszcza swój popisowy kawałek – zremiksowaną wersję *Rondò Veneziano*. To muzyka w stylu Gai, ale podoba się nawet mnie, ma rytm, który wchodzi w krew i nie pozwala stać bez ruchu. Ludzie dają się porwać, ruchy stają się coraz bardziej konwulsyjne.

Pośrodku sali grupka dziewczyn w kusych sukienkach improwizuje szalony, ognisty taniec, przykuwając uwagę pozostałych gości. Wkrótce stoi wokół nich krąg i wszyscy stajemy się obserwatorami ich spontanicznego występu. Leonardo obejmuje mnie od tyłu za talię i uniósłszy swoją maskę, opiera twarz o moją, wprawiając mnie ramionami w ruch zgodny z rytmem muzyki. Nie mogę oderwać oczu od tańczących dziewczyn, jestem zafascynowana – być może jest to choreografia z prawdziwego zdarzenia. Jedna spośród nich szczególnie się wybija, nie sposób jej nie

---

zauważyć. Wygląda jak cudowna hybryda anioła i służki, niczym współczesna Salome o bezczelnie idealnym ciele. Ma na sobie króciuteńką sukienkę z półprzezroczystych białych warstw, blond włosy zebrane na karku, a pomiędzy pasma wpleciony łańcuszek z kryształków, który kończy się opadającą na czoło łezką. Obraca się lekko, stojąc elegancko na czubkach palców. Wszystko w niej jest miękkie i swobodne, każdy ruch zachwyca i oczarowuje.

W pewnej chwili podnosi maskę, ukazując niesamowicie zielone oczy, podkreślone jeszcze mocnym makijażem. Wszystkie na nią patrzą. Pozostałe dziewczyny ustawiają się w półkoło, zostawiając ją na środku sceny. Salome jest dumna, pozwala swojemu ciału prowadzić się bez obawy, poddaje się muzyce, rzucając jej wyzwanie. Kiedy przechodzi koło nas, jej spojrzenie krzyżuje się z moim, a potem puszcza oko do Leonarda. Obracam się i widzę, że się do

niej uśmiecha. Nie jestem zazdrosna. Jest tak piękna, że ja też mam ochotę się uśmiechnąć.

– Znasz ją? – pytam go.

– Ma na imię Claudia – mówi neutralnym tonem. – Widziałem ją parę razy w restauracji.

Chciałabym wypytać o ich relacje, ale Leonardo nie daje mi czasu na wymianę zdań i na nowo kieruje moją uwagę na kobietę. Claudia zbliża się teraz do figury Saracena w rogu salonu i zupełnie jakby był to mężczyzna z krwi i kości, zaczyna go uwodzić energicznymi ruchami bioder. Chwyta rzeźbę za szyję i wybijając się z palców, siada jej elegancko na ramieniu, jak królowa na tronie.

Muzyka cichnie, a od strony publiczności podnosi się gromki aplauz, któremu towarzyszy szmer rozmów. Salome schodzi z ramion Saracena, wykonuje dwa piruety i kłania się zebrany dwukrotnie. Arlekin muska jej twarz czerwoną różą, a ona wyniośle chwyta łydę między zęby i oddala się z uśmiechem.

Mój Boże, ta kobieta ma nieodparty urok – działa nawet na mnie. Boję się wyobrazić sobie myśli mężczyzn. Czuję się uwiedziona, nie mogę od niej oderwać wzroku... A ona, idąc lekkim krokiem, zmierza właśnie ku nam, uśmiechając się do Leonarda.

– Witaj, Leo – mówi z urzekającym uśmiechem, lekko dotykając jego policzka ustami.

Wciąż jest nieco zdyszana, a na skórze błyszczą jej małe kropelki potu. Potem zwraca się ku mnie.

– Witaj i ty... kim jesteś?

Bogini zauważyła moje istnienie.

– Miło mi, Elena – odpowiadam, ściskając jej dłoń.

– Mam nadzieję, że dobrze się bawicie dziś wieczór...

Przygląda mi się badawczo. W oczach ma dziwne światło.

– Oczywiście – odpowiadam nieco zdezorientowana. – Patrzyliście, jak tańczysz,



---

wcześniej... byłaś wspaniała... to znaczy jesteś!  
Jesteś wspaniała.

– Dziękuję.

Widać, że jest przyzwyczajona do kompletów. Podnosi mi maskę i przygląda mi się z zaciekawieniem.

– Miło to słyszeć z ust tak pięknej kobiety.

Jej słowa wywołują we mnie dziwne zmieszanie, którego nie jestem w stanie rozszyfrować.

– Mamy podobny gust, Leo. I to nie tylko w sprawach jedzenia – kontynuuje z uwodzicielskim spojrzeniem.

Nie wiem, czy zrozumiałam, co ma na myśli, ale widzę, że Leonardo się do niej uśmiecha. Widocznie on zrozumiał.

– Elena i ja mamy coś do palenia. Możesz do nas dołączyć, jeśli masz ochotę.

Elena i ja? Do palenia? Nic o tym nie wiedziałam i rzucam mu zdziwione spojrzenie, które on jednak ignoruje.

---

– Teraz mam jeszcze coś do zrobienia – odpowiada Claudia, która sprawia wrażenie zaintrygowanej – ale odszukam was później. Nie uciekajcie...

Obrzuca nas ostatnim zadziornym spojrzeniem i niknie w tłumie.

Spoglądam na Leonarda, oczekując wyjaśnienia.

– To jedna z twoich kochanek? – pytam prosto z mostu.

Unosi brew i patrzy na mnie z rozbawieniem.

– Nie. A przynajmniej dotąd nie była...

– Co masz na myśli? – denerwuję się.

– To co zawsze. Zaspokojenie twoich fantazji – odpowiada z przymilnym spojrzeniem tygrysa siedzącego w klatce. – Widziałem, jak na nią wcześniej patrzyłaś.

– I jak na nią patrzyłam?

– Tak jak patrzysz na mnie.

Rumienię się.

---

– Patrzyłam, bo jest piękna. Ale wydaje mi się, że sam to zauważyłeś. Mylę się? – pytam, szukając usprawiedliwienia.

– Całowałaś się kiedyś z kobietą? – jego oczy są jak wbijające się we mnie cieniutkie igły.

– W sumie nie.

– A nigdy nie miałaś ochoty? – prowokuje mnie.

– Nie.

– A w każdym razie: dotąd nie – kończy za mnie odpowiedź.

– Dość tego – mówię, grożąc mu palcem. – Przestań natychmiast.

On wybucha śmiechem, nic sobie nie robiąc z moich pogroźek, chwyta mnie za dłoń i prowadzi w kierunku baru, gdzie zamawia dwa kieliszki szampana. Piję, wciąż wracając myślami do tej kobiety, która, muszę przyznać, wywołała we mnie intensywne emocje. Potem spoglądam na Leonarda i zadaję sobie pytanie, czy aby naprawdę nie zamierza pchnąć mnie w ramiona tej kobiety. Nie, nie

---

pozwoliłabym mu zrobić czegoś takiego – mówię sobie. A jednak panująca wokół euforia jest zaraźliwa – ja też ulegam myśli, że tej nocy wszystko jest możliwe.

Krążymy przez jakiś czas po zakątkach pałacu, a potem zagłębiamy się w tonący w półcieniu salonik. Kilka wyraźnie podpitych osób z zapalem prowadzi dyskusję, której tematu nawet nie jestem w stanie odgadnąć. Ich głosy przebijają się przez muzykę, która zagłusza wszystko inne, tak że nie zauważają nawet, że usiedliśmy na kanapie za ich plecami. Ściągamy maski, a Leonardo wyciąga z kieszeni gotowego skręta i zapala go. Spirala dymu o nieco kwaśnym zapachu drażni moje nozdrza. Pachnie jak palone siano. Leonardo zaciąga się, a potem podaje mnie. Spoglądam na niego niepewnie, nigdy nie paliłam nawet papierosa, a co dopiero skręta...

– Spróbuj – zachęca. – Pociągnij lekko, potem nabierz powietrza w płuca i po chwili wypuść.

---

OK, próbuję. Oczywiście pierwsza próba to istna katastrofa – dym utyka mi w gardle, a do płuc dociera jak ostry nóż. Kaszlę tak mocno, że oczy mi wychodzą z orbit, a Leonardo przygląda mi się rozbawiony. Przy drugim razie już jest lepiej. Przy trzecim robię to jak profesjonalistka. Zamykam oczy i wsuwam skręta między wargi, zaciągając się powoli. Przytrzymuję dym przez dwie sekundy, skupiając się na jego zakazanym smaku, a potem wypuszczam i przed moją twarzą rozwija się gęsta chmura. Ten zapach mi się podoba, w głowie mi się kręci, a mięśnie rozluźniają. Moszczę się wygodnie na oparciu kanapy i poddaję się cudownemu uczuciu oszołomienia. Potem podaję skręta Leonardowi. Trzymając go środkowym i serdecznym palcem, zamyka dłonie na kształt pięści i zaciąga się głęboko. Nagle świat wokół mnie wydaje mi się odległy, czuję, że głowa robi się lekka i zdaje mi się, że na moich ustach zagościł uśmiezek błogości. Tracę kontakt

---

z rzeczywistością. I to mi się podoba. Nagle tuż przy mnie pojawia się twarz Claudii.

– Cześć – mówię trochę zaskoczona.

– Cześć – odpowiada miękko, biorąc od Leonarda skręta, którego ten podaje jej przed moim nosem.

Patrzę, jak usta Claudii obejmują filtr, a potem lekko się uchylają, by wypuścić cienką smużkę dymu. Są takie pełne... Chciałabym ich dotknąć.

– Sądząc po twoim stanie, to zioło musi być dobre – mówi, odsuwając mi z czoła pasemko włosów.

– Cóż, palę pierwszy raz... Nie potrafiłabym ocenić, ale mnie się bardzo podoba – odpowiadam jej, czując, jak wszelki opór i zakłopotanie opuszczają moje ciało.

Claudia spogląda na Leonarda z rozbawieniem.

– Twoja przyjaciółka jest milutka – potem patrzy na naszą dwójkę i dodaje: – Oboje jesteście tacy piękni, że naprawdę nie wiedziałabym, kogo wybrać.

---

– Ale nie musisz wybierać... – odpowiada on z prostotą.

I zanim sens tej odpowiedzi do mnie dotrze, czuję dotykające mojej szyi usta. Nie należą do Leonarda, ale są równie miękkie i zmysłowe. Ani przez chwilę nie mam ochoty ich odepchnąć. Czuję, że coś się niebawem wydarzy. Zaraz uderzy we mnie fala, której ani myślę zatrzymać. Odwracam się ku Claudii i spotykam jej ogniste spojrzenie. Nabiera w płuca dymu, a potem wydmuchuje mi go w usta, przyciskając swoje wargi do moich. Dym dociera głęboko we mnie i gdzieś się rozplywa. Pozostają tylko jej małe, pełne usta i jej język, który porusza się przy moim. Ten pocałunek jest dobry, całkiem odmienny od każdego innego. Leonardo obejmuje mnie od tyłu i czuję, że także to jest jego darem. I jest naturalne, jak wszystko, co z nim robię, choć nigdy nawet mi się nie śniło, że mnie spotka.

Claudia odrywa się ode mnie i zbliża się do Leonarda. Wymieniają na moich oczach namiętny

---

pocałunek, ale nie wiedzieć czemu, nie jestem zazdrosna. Uwodzi mnie ich podniecenie, a wszystko to, co wcześniej zdawało się mieć sens – słowa, myśli, zasady – teraz chyba go straciło.

– Co powiecie na przeniesienie się w jakieś spokojniejsze miejsce? – proponuje nagle Claudia.

Nie czekając na odpowiedź, wstaje z kanapy i bierze mnie za rękę. Natychmiast szukam wzrokiem Leonarda, a on ujmuje moją drugą dłoń. Uśmiechamy się do siebie jak wspólnicy i podążamy za Claudią. Teraz jestem panią siebie samej – wiem, co się wydarzy.

Wchodzimy na wyższe piętro i trafiamy do długiego, słabo oświetlonego korytarza z mnóstwem drzwi. Claudia doskonale wie, dokąd iść, bo po chwili otwiera jedno z nich i wpuszcza nas przodem.

Pokój spowija półmrok, kontury przedmiotów zlewają się, tak samo jak moje rozszalałe w tej chwili emocje. Pośrodku stoi łoże z baldachimem, a w rogu pali się w kandelabrze wielka czarna



---

świeca w kształcie piramidy, rozsiewająca zapach kadzidła. Claudia obraca się ku nam. Jest przepiękna, przypomina marmurową rzeźbę ze starożytnej Grecji. Ledwo dotykając mojej skóry, przybliżyła mnie do Leonarda, zachęcając nas, byśmy się całowali. Sama w tym czasie głaszcząc mnie po ramieniu, powoli schodząc ku piersi. Jej dłoń porusza się lekko po mojej skórze. Jest inna... ciepła, delikatna. Odrywam się od Leonarda i patrzę na nią. Jej zielone oczy porywają mnie, przyciągają ku sobie jak magnesy. Niespodziewanie rozpalil się płomyk, który topi wszystkie blokujące mnie zahamowania. Moje usta, których nie jestem już w stanie powstrzymać, nieśmiało opadają na usta Claudii. Nasze wilgotne wargi łączą się, nasze języki splatają, a po naszych ciałach wędrują silne dłonie Leonarda, który nas obejmuje.

Całuję kobietę.

Obcą.

---

A mój mężczyzna dotyka jej, tutaj, wraz ze mną.

Nie ma już śladu dawnej Eleny, nie w tej chwili.

Nagle Claudia się odsuwa. Trzymając mnie za dłoń, całuje Leonarda, a potem wraca do mnie. Ich ślina miesza się w moich spragnionych z pożądania ustach. Leonardo w tym czasie głaszcze jej piersi i odpina dłońmi guziczki na przedzie jej sukienki. Ciało Claudii jest gładkie, subtelne, delikatne – odkrywa się powoli pod naszymi spojrzeniami. On rozbiera ją, a po chwili także mnie. Następnie Claudia i ja rozbieramy jego.

Teraz wszyscy troje jesteśmy całkiem nady. Widok tych dwóch tak różnych nagich ciał, tak blisko mnie, tak żywych, wywołuje we mnie falę podniecenia. Z mieszczącego się poniżej salonu okrzyki i muzyka docierają do nas stłumione, jedynym głośniejszym dźwiękiem jest odgłos naszych oddechów. Układamy się na łóżku,

---

odsuwając adamaszkową narzutę – troje kochanków, trzy krzyżujące się pożądania. A jedynym celem jest przyjemność.

Claudia zbliża się do mnie, zachęcając mnie do działania. Językiem ciała nakłania, bym się jej oddała. Jej nogi, ciepłe i silne, rozchylają się przede mną, jej ciało jest przy moim ciele. Jest mokra. Liże moje piersi, ocierając się łonem o moje łono, podczas gdy Leonardo układa się przy mnie i mnie całuje. Potem zmieniamy pozycję i teraz to ja jestem na niej. Nie mogę się oprzeć pokusie posmakowania jej piersi. Tymczasem palce Leonarda torują sobie drogę i miękko wchodzą we mnie. Jego spojrzenie, trochę surowe, a trochę przekorne, pyta, czy będę w stanie dojść. Czy będę potrafiła wziąć udział w grze. Teraz jego palce ustępują miejsca palcom Claudii, które pieścą mnie z wprawą, jakby mnie znały. On tymczasem ujmuje moją dłoń i prowadzi ją między jej nogi. Jej szparka jest ciepła i śliska, zachęcająca. Z wahaniem zagłębiam palce w jej mokrą

---

pleć i ją odkrywam. Moje mięśnie się rozluźniają, a umysł wyzwala i wreszcie posiadam ją i pozwalam się osiąść.

To mój pierwszy raz. To moja noc. Ale to Leonardo kieruje naszymi gestami, dozuje nam przyjemność. Zanim osiągniemy szczyt, zdyszane i spocone, rozdziela nas, całując nasze piersi, jedna po drugiej. Potem ustawia Claudię tak, by całowała mój biust, a sam wchodzi w nią od tyłu. Czuję, jak jej usta zaciskają się wokół mojego sutka coraz silniej i silniej, w miarę jak przyjemność narasta. Opada na mnie z twarzą między moimi piersiami, a ja obejmuję ją mocno, ciesząc się jej orgazmem, podczas gdy mój wzrok napotyka oczy Leonarda – lubieżne i dominujące.

Claudia podnosi się z mojej piersi, jeszcze piękniejsza, z zarumienionymi policzkami i błyszczącymi oczami i opada na łóżko wykończona, szukając jeszcze naszych dłoni.

Teraz wasza kolej – mówi, spoglądając na nas. Wkłada mi delikatnie dwie poduszki pod głowę,

---

a potem przywiązuje mnie do wykonanego z kutego żelaza zagłówka, odrywając dwa skrawki materiału od swojej sukienki. Leonardo patrzy na jej działania z zadowoleniem.

Ona zbliża się do mnie delikatnie, uwodzi mnie, pragnie mnie. Sposób, w jaki na mnie patrzy, sprawia, że czuję się jak bogini, podczas gdy ona w milczeniu kieruje głowę między moje nogi. Moje podbrzusze przygotowuje się na rozdzierającą, katastroficzną przyjemność. Nie ma już żadnej Eleny, pozostały tylko moje zmysły, jej język, jej dłonie i dłonie Leonarda. Jestem ciałem, które przyjmuje. Jestem skórą, która mówi i słucha.

Wówczas wzrokiem zapraszam Leonarda, by także dał się polizać. Jego członek jest nabrzmiąły przyjemnością. Teraz jest nade mną, w moich ustach.

Claudia trwa jeszcze chwilę z językiem we mnie, a potem pozwala, by to Leonardo mnie wypełnił, swoim wyprężonym penisem, swoim znajomym pchnięciem. Nasze wygłodniałe ciała

---

mieszają się, szukają nawzajem i biorą w posiadanie, podniecane wyuzdanym spojrzeniem Claudii. Teraz to ona mnie całuje i wędruje dłońmi po mojej piersi, zjeżdżając aż do mojej płci, gdzie wciąż porusza się Leonardo. Pieści nas oboje, rozkoszując się nami i z nami, a jej przyjemność powiększa aż do przesady nasze własne.

Orgazm nadchodzi wkrótce, przelewając się jak wezbrana rzeka, tryskając z moich oczu, nadając barwę ustom, rozpalając gardło. Jest jak nowy tlen dla moich płuc, nowa energia w moich żyłach, nowe emocje. A Leonardo jest ze mną – także w ekstazie, także wplątany w kłębowisko naszych ciał.

Wyciągamy się w łóżku i obejmujemy się jeszcze, zadowoleni, wykończeni.

Gdy wychodzimy z pałacu, jestem zdezorientowana, czuję się, jakbym straciła punkty odniesienia, i dopiero po chwili na nowo rozpoznaję otaczający mnie świat. Żegnamy się z Claudią, naszą

---

jednonocną towarzyszką podróży, i nie ma między nami zakłopotania, a jedynie przyjemne uczucie ciszy po burzy. Kierujemy się wraz z Leonardem do domu. Wkrótce będzie świt. Jego blade światło zaczyna właśnie rozjaśniać niebo nad nami. Tymczasem ziemię wciąż spowija noc.

Kroczymy powoli przez krajobraz po bitwie – ulice zasypane są pamiątkami zabawy: góry odpadków, butelek, papierów i niepewnie poruszających się ciał. Świat, wywrócony nocą na nice, stara się z powrotem stanąć na nogi. W tej samej chwili obracamy się, patrzymy na siebie i się nawzajem odnajdujemy. Nie mamy już masek, zostawiliśmy je w pałacu. Uśmiecham się. Do życia, do nocy, która umiera, do szaleństwa, które opada, do wszystkich masek, które ściągnęłam, do kobiecego ciała, którego posmakowałam. Uśmiecham się do Leonarda, wdzięczna. Gdyby nie on, nic z tego by się nie wydarzyło.

O dziesiątej trzydzieści rano Piazzale Roma to prawdziwa wieża Babel pełna ludzi, samochodów, autobusów i skuterów, które ruszają w drogę bądź z niej wracają – tu przebiega granica pomiędzy Wenecją kanałów a prowincją o wyasfaltowanych drogach. Jestem tu, bo Leonardo postanowił zabrać mnie w okolice wzgórz otaczających Treviso i ma mnie stąd odebrać wypożyczonym autem. Nie wiem dokładnie, dokąd jedziemy, wiem jedynie, że on ma spotkanie z producentem wina. „To sprawa zawodowa, ale byłoby mi miło, gdybyś mi towarzyszyła” – powiedział mi któreś nocy, gdy leżeliśmy w łóżku. Oczywiście byłam pełna entuzjazmu, ale starałam się nie dać mu tego do zrozumienia. Odkąd się poznaliśmy, nigdy nie wybraliśmy się poza miasto i nie spędziliśmy razem całego dnia.



---

Jestem na przystanku od paru minut i wciąż się rozglądam, starając się zgadnąć, skąd przyjedzie, ale wokół panuje taki chaos, że nie sięgam wzrokiem dalej niż dwa metry wokół siebie. Nagle się obracam, słysząc odgłos samochodowego klaksonu. To on, za kierownicą białego, błyszczącego BMW X6. Podjeżdża po mnie, włączając światła awaryjne. Nie wysiadając z auta, pochyla się, żeby otworzyć mi od wewnątrz drzwi i zaprasza mnie do środka.

– Gotowa? – wyciska mi na policzku miękki pocałunek i wrzuca pierwszy bieg.

– Tak.

Zapinam pas i odchyłam się na skórzane oparcie. Leonardo zakłada czarne ray-bany i wciska pedał gazu do końca, wjeżdżając na Ponte della Libertà, łączący Wenecję ze stałym lądem. Białe letnie słońce błyska nad laguną, a kilka grup mew nakrapia niebo bielą.

Zwracam uwagę, że licznik wskazuje już prawie setkę.

---

– Uważaj, bo dostaniesz mandat – tak naprawdę mówię to po to, by trochę zwolnił.

Duże prędkości zawsze wywoływały we mnie pewien niepokój.

Leonardo wybucha śmiechem i głaszcze mnie po udzie, by mnie uspokoić. Potem przesuwa palcami po desce rozdzielczej i włącza radio.

– Posłuchajmy trochę muzyki, w ten sposób się zrelaksujesz.

Za kierownicą jest swobodny i pewien siebie. Tak jak wszędzie indziej.

Leci *Starlight* zespołu Muse. Siedzimy chwilę w ciszy, słuchając. Gdy rozbrzmiewa refren, Leonardo zaczyna poruszać głową w rytm muzyki i podśpiewywać, uderzając palcami w kierownicę, tak jakby to była perkusja.

– Fałszujesz – komentuję ironicznie.

Patrzy na mnie kątem oka.

– Żartujesz sobie ze mnie?

– Tak.

---

– Uważaj, bo wystawię cię na pierwszym placyku po drodze, porzucę jak szczeniaka... – grozi, targając mi włosy. Wjeżdżamy na autostradę prowadzącą do Treviso.

– Dokąd dokładnie się wybieramy? – pytam, poprawiając dłońmi fryzurę.

– Do Valdobbiadene, ojczyzny prosecco. Państwo Zanin są ważnymi dostawcami naszej restauracji i mają wspaniałą piwniczkę.

Odsuwa palcem niepokorny kosmyk włosów, który ograniczał mu widoczność.

Państwo Zanin. Pamiętam to nazwisko. Byli obecni podczas otwarcia restauracji, gdy Leonardo był jeszcze niczym więcej niż fantazją mojego umysłu. Od tamtej pory wydarzyły się nieprawdopodobne rzeczy i wydaje mi się wręcz nierealne, że jestem teraz tutaj, z nim w aucie.

– Musisz zrobić zakupy do restauracji? – pytam, przyglądając się przesuwającemu się za oknem krajobrazowi.

---

– Tak. Chcielibyśmy zaproponować naszym gościom coś szczególnego, cartizze<sup>23</sup> najwyższej jakości.

– Sądziłam, że takimi sprawami zajmują się twoi współpracownicy – komentuję, przypominając sobie zdanie wypowiedziane przez niego parę miesięcy wcześniej.

– Dzisiaj zajmę się tym sam – odpowiada pewnym głosem. – Miałem ochotę na wycieczkę za miasto w twoim towarzystwie.

Dzisiaj nie będzie prób ani wyzwania. Tylko ja i on, a przed nami cały wspólny dzień. To jak obietnica normalności w relacji, która normalną nie jest, wyjątek od naszej rutyny opartej na cielesnych zbliżeniach i przelotnych spotkaniach. Przepęłnia mnie radość. Leonardo ofiarowuje mi iluzję, że jesteśmy prawdziwą parą.

Wpisuje do nawigacji dokładny adres.

– Za kwadrans będziemy na miejscu.

---

Patrzę na niego i czuję się całkowicie zagubiona. Nie mam żadnych żartów, pragnień i oczekiwań. Ta chwila wydaje mi się idealna.

– Leo?

– Tak? – obraca ku mnie twarz zdziwiony, bo po raz pierwszy go tak nazwałam.

– Jestem szczęśliwa.

Chciałabym powiedzieć o wiele więcej, ale nie starcza mi odwagi.

Patrzy na mnie nieco niepewnie, zaskoczony.

– Jestem szczęśliwy, że jesteś szczęśliwa – mówi z lekkim uśmiechem.

Uśmiechają się także zmarszczki mimiczne wokół jego cudownych ciemnych oczu. Potem szybko odwraca się z powrotem, by skoncentrować się na prowadzeniu auta. Dość, nie wolno mi przekraczać pewnej granicy, zrozumiałam.

Wizyta u państwa Zanin jest przyjemna i zajmuje nam cały poranek. On, mężczyzna pod sześćdziesiątkę, elegancki jak angielski lord,

---

oprowadza nas po swojej posiadłości z winnicami i sadami owocowymi. Potem, objaśniając nam techniki obróbki winogron, prowadzi nas do piwnicy. Podczas gdy dyskutuje z Leonardem o taninach, procesach fermentacyjnych, drożdżach i *perlage* – rozmowy, których sens rozumiem jedynie w przybliżeniu – ja przechadzam się wzdłuż rzędów beczek kojarzących się z wielkimi żołądkami, w których przebiega proces fermentacji. Na koniec Zanin prezentuje nam z dumą ściany zastawione butelkami prosecco, które odpoczywa przed konsumpcją, a następnie zaprasza nas na degustację cennych win, której towarzyszy poczęstunek z chleba i lokalnych wędlin.

Podczas gdy ja bawię się z domowymi psami, suczką pointera i jej dwoma szczeniakami, Leonardo kończy negocjacje. Potem żegnamy się z Zaninem i odchodzimy.

Wsiadamy do samochodu i pokonujemy raz jeszcze wspaniałą trasę widokową pomiędzy

---

wzgórzami. Choć jest wciąż luty, temperatura po południu jest przyjemna i zachęca do spędzania czasu na powietrzu.

– Co powiesz na mały spacer? – pyta Leonardo.

Miałam nadzieję, że to zaproponuje.

Zostawiamy auto na małym placyku i już na piechotę zagłębiamy się w małą, wyłożoną kamieniami ścieżkę, wzdłuż której ciągną się rzędy winorośli. Mieszkając w Wenecji, można zapomnieć, że istnieje stały ląd – solidny i przestronny – i że oprócz mostów nad kanałami są też prawdziwe drogi do chodzenia. Wzgórze wznosi się łagodnie, by opaść delikatnie ku dolinie, w której rośnie rząd ogromnych cyprysów. Ten pełen uroku krajobraz napędza serce spokojem, a umysł skłania do marzeń. Przemierzamy go z Leonardem w milczeniu, trzymając się za ręce. Oddychamy pełną pierśią, wciągając do płuc zapach trawy i wilgotnej ziemi. Nagle czuję na policzku coś chłodnego.

---

– Pada – podnoszę wzrok ku niebu, które po-  
ciemniało na horyzoncie. – Poczułam kroplę.

Leonardo podnosi poziomo ułożoną dłoń.

– O, kolejna.

Dotykam głowy, by się upewnić, czy mi się nie  
wydaje.

– To chyba niemożliwe, żeby padało tylko na  
mnie.

– Teraz ja też poczułem – mówi on, zaciskając  
dłoń na kropli wody.

W ciągu paru minut niebo całkiem pokrywa się  
chmurami i zaczyna lać jak z cebra. Nies-  
podziewane ulewy takie jak ta na ogół zdarzają się  
w marcu. Ta jest jak zapowiedź wiosny.

– Co teraz zrobimy? – pytam rozczarowana.  
Jest mi przykro, że nasz spacer kończy się w ten  
sposób. Jest mi przykro, bo wiem, że taka okazja  
może się prędko nie powtórzyć, a może nawet  
nigdy...

Leonardo osłania mi głowę swoją skórzaną  
kurtką.



---

– Jesteśmy zbyt daleko od auta, by do niego wracać – rozgląda się wokół, szukając rozwiązania. – Chodź. Pobiegniemy tam. – Wskazuje budynek w oddali, czerwony dom stojący z dala od innych zabudowań pośrodku doliny.

Trzymając się za ręce, pokonujemy biegiem kilkaset metrów w ulewnym deszczu. Wszędzie wokół jest woda, zupełnie jakbyśmy znaleźli się w płynnym świecie. Choć nie jesteśmy nią zachwyceni, to ta niespodziewana nawałnica ma smak przygody.

Dobiegamy do ganku przed domem i chronimy się pod jego dachem. Jestem przemoczona do suchej nitki i zdyszana. Koszula Leonarda, też całkiem mokra, oblepia przezroczystą warstwą jego klatkę piersiową. Z włosów i z rudawej brody skapują mu krople wody. Patrzę na niego i miałabym ochotę się roześmiać, ale nagle plecy przechodzi mi dreszcz zimna. Przyciskam ramiona do piersi. Leonardo obejmuje mnie i ogrzewa swoim ciałem.

– Zdaje się, że dom jest zamieszkały – stwierdza, zauważywszy palące się w nim światło. – Może spróbujemy zadzwonić?

– No nie wiem... myślisz, że wypada?

Wówczas z sąsiadującej z domem stodoły wybiega w naszą stronę starszy pan. Wysoki i chudy, w dłoni dzierży koszyk pełen *radicchio*. To zapewne właściciel gospodarstwa. Zanim ten zdąży się zaniepokoić, Leonardo pozdrawia go ruchem ręki.

– Dzień dobry. Proszę wybaczyć, schroniliśmy się pod pańskim daszkiem...

– Ależ czemu tam stoicie? Proszę, wejdźcie do środka – odpowiedział natychmiast mężczyzna tonem nieznoszącym sprzeciwu, a my, wymieniwszy porozumiewawcze spojrzenia, postanowiliśmy się zgodzić. – Ogrzejcie się, inaczej się przeziębicie – zaprasza nas, otwierając drzwi domu.

Wnętrze jest urokliwe i przytulne, urządzone prostymi, pozbawionymi ozdób meblami, które

---

zdają się pochodzić z innego czasu. Powietrze pachnie przyjemnie olejkami eterycznymi i drewnem – typowy zapach domku na wsi. W rogach rozstawiono ozdobne rośliny i bukiety świeżych kwiatów.

Nasz anonimowy gospodarz prowadzi nas do kuchni, gdzie przy kuchence uwija się mniej więcej siedemdziesięcioletnia kobieta.

– Adele, mamy gości – mówi głośno, stawiając na ziemi kosz.

Kobieta odwraca się i spogląda na nas ciekawie.

– Dzień dobry.

– Złał ich deszcz i schowali się pod gankiem, biedaki. – Mężczyzna wskazuje nasze ociekające wodą ubrania.

Adele sadza nas przed wielkim kominkiem, w którym buzuje wesoły ogień.

– Chodźcie, usiądźcie sobie tutaj, w ciepłe – jej głos jest równie miękki, co dłonie blade i pomarszczone. Te dłonie przepracowały całe życie.

---

– Dziękujemy – odpowiadamy unisono.

Ich gościnność robi na mnie wielkie wrażenie. Nie wiem, czy ja sama przygarnełabym tak szybko wędrowca. Przede wszystkim jednak zachwyca mnie pogodna i uspokajająca atmosfera, którą wszystko jest tutaj przesiąknięte.

– Sprawdzę, czy znajdę na górze jakieś suche ubrania dla was – mówi Adele, kierując się ku schodom powolnym krokiem.

– Proszę sobie nie robić kłopotu, signora... – próbuję ją zatrzymać. – I tak już nam państwo bardzo pomogli.

– Dobrze, dobrze, Adele, idź – zachęca ją mąż – przecież nie mogą siedzieć tacy mokrzy!

Kobieta znika na pierwszym piętrze, a mężczyzna siada przy nas, ogrzewając dłonie przy ogniu, i pyta nas o imiona.

– Ja jestem Sebastiano – przedstawia się ze swojej strony – ale wszyscy w okolicy nazywają mnie Tane.

Pyta nas, skąd jesteśmy i jak trafiliśmy w te strony. Zdaje się, że naprawdę się cieszy z naszej obecności. Patrzy na nas szczerymi oczami kogoś, kogo życie nauczyło słuchać.

Adele wkrótce wraca z dwoma wieszakami, z których zwisają ubrania – czyste, proste i nieco już przestarzałe.

– Proszę, należały do moich dzieci. To najlepsze, co udało mi się znaleźć – mówi, wręczając nam je. – Swoje możecie powiesić przy ogniu... w ten sposób szybciej wyschną.

Znam ją kilkanaście minut, ale już miałabym ochotę ją wyściskać.

– Jeśli potrzebujecie łazienki, jest tam, z tyłu – tłumaczy, wskazując drzwi na końcu korytarza.

– Bardzo dziękujemy, Adele, zaraz się przebierzemy – odpowiada Leonardo i ująwszy mnie za rękę, wyprowadza z pokoju.

Szybko zmieniamy ubrania. Ja wkładam przydużą parę dzinsów i starą bluzę Benettona w kolorowe paski, a Leonardo wełniany sweter

---

i sztruksowe spodnie. Spogląda na mnie z czułością i całuje mnie delikatnie w czoło, upewniając się, czy wszystko ze mną w porządku. Przed wyjściem z łazienki zatrzymujemy się jeszcze na chwilę przed lustrem – stoimy koło siebie, uśmiechając się do naszych nowych wcieleń.

Potem wracamy do kuchni i układamy nasze ubrania na dwóch krzesłach przy kominku. Adele daje nam po kieliszku grzańca i częstuje szarlotką.

– A pan nie będzie jadł? – pyta Leonardo Sebastiana.

Ten kręci głową.

– Mam cukrzycę. Ta tyranka mi nie pozwala.

Wskazuje żonę, a ta chwyta jego rękę ze śmiechem. Patrzą na siebie wzrokiem, w którym jest nieskończona tkliwość i niezachwiana, bezwarunkowa miłość, którą oboje zdają się akceptować jak przeznaczenie. Wymieniamy z Leonardem przelotne spojrzenia. Być może myślimy o tym samym – że rzadko widuje się pary takie jak Adele i Sebastiano i że kiedy trzymają się za ręce,

---

człowieka ogarnia niezmiernie rozczulenie. Ale nie wiem, czy on, tak samo jak ja, zazdrości im i zastanawia się, co przyniesie nam przyszłość.

– Od jak dawna są państwo małżeństwem? – pytam.

– Od pięćdziesięciu dwóch lat – odpowiadają jednocześnie.

– A pani, signorina, kiedy zamierza wziąć ślub z narzeczonym? – pyta mnie prosto z mostu Adele. – Przepraszam, ale zauważyłam, że nie ma pani na palcu obrączki... Chyba nie chciałaby pani, żeby się wywinął? – poucza mnie dobrotliwie. Już mam odpowiedzieć, że to nie tak, że w rzeczywistości nawet nie jesteśmy parą, lecz kiedy układam w myślach odpowiedź, Sebastiano mnie uprzedza.

– Kochanie, pilnujmy swoich spraw, nie wprawiajmy ich w zakłopotanie... Widać na kilometr, że są zakochani.

Serce na sekundę przestaje mi bić. To tylko zwykłe zdanie wypowiedziane z pełną naiwnością, ale spada na mnie niczym bomba. W oczach tego

---

nieznajomego coś, czego my nie chcieliśmy widzieć, jest ewidentne. Jego słowa sprawiają, że to, co uznawaliśmy zawsze za niemożliwe, staje się w nieunikniony sposób realne. Nie śmiem odwrócić się w stronę Leonarda, ale czuję, że podniósł się gwałtownie i oddalił od kominka, niemal jakby chciał uciec. Podszedł do komody, na której stoją zdjęcia, i zaczął się im przyglądać, stojąc do nas tyłem.

– To państwa dzieci? – pyta, biorąc w dłonie ramkę i zmieniając temat ze swobodą, która w tej chwili nie wydaje mi się przekonująca.

Adele podchodzi do niego, by odpowiedzieć na pytanie:

– To jest najstarszy, Marco, pracuje w Niemczech. A to Francesca, która mieszka w Padwie z mężem.

– Teraz w okolicy nie ma pracy dla młodych – dorzuca Sebastiano tonem pełnym rezygnacji.



---

Wciąż jestem wybita z rytmu i nie przychodzi mi do głowy żadna wypowiedź, która pomogłaby podtrzymać konwersację.

Adele tymczasem dalej opowiada o swoich dzieciach, pokazując inne zdjęcia:

– Proszę spojrzeć, tu są jeszcze mali, chodzili wówczas do podstawówki...

W tej chwili podnoszę wzrok w jej kierunku i niespodziewanie napotykam spojrzenie Leonarda. Trzyma w dłoni ramkę, ale patrzy na mnie. A w jego oczach widzę coś, czego nigdy dotąd nie widziałam – szalone pożądanie, desperackie przywiązanie, nieskończoną słodycz. Miłość. Przez ułamek sekundy jestem tego pewna.

Ale to trwa tylko chwilę, gdyż wkrótce ten wzrok mi umyka, szukając gdzie indziej schronienia. A później nie jestem już pewna niczego. Tylko moje serce wie z pewnością, że nie wystarczy mu to, co już ma.

---

Jest już piąta po południu i w końcu przestało padać. Ubrania wyschły i choć nasi gospodarze zapraszali nas, byśmy zostali jeszcze dłużej, postanowiliśmy jechać. Przebieramy się i dziękujemy im wylewnie.

– Gdybyście kiedyś wrócili w te strony, odwiedźcie nas, będziemy radzi – mówi Sebastiano, ściskając nam ręce.

– Kto wie... – odpowiada Leonardo. Ale myślami jest już daleko.

Wychodząc z tego domu, mam wrażenie, jakbym wracała z innej epoki. Na zewnątrz zrobiło się ciemno, a świat jest inny niż ten, który za sobą zostawiliśmy. Cienie i chłód opadły na wszystko, także na Leonarda. Jego oczy są zgaszone, a twarz skupiona w sposób, który wywołuje u mnie rodzaj lęku. Bierze mnie za rękę i prowadzi do samochodu, nie mówiąc ani słowa. Boję się zapytać, o czym myśli, nie śmiem naruszać tej tak ciężkiej ciszy.

---

Przez chwilę mam bardzo jasne przeczucie, że zaraz wydarzy się coś strasznego. Ale odsuwam od siebie tę myśl, potrząsając lekko głową.

Wsiadamy do samochodu i przez całą drogę Leonardo pozostaje odległy, milczący, tak jakby o czymś rozmyślał. Od czasu do czasu spogląda na mnie i stara się mnie podnieść na duchu jakąś pieśczętą, ale nawet jego dotyk jest zimny, czuję to przez skórę. Odnoszę dziwne wrażenie, że tego mężczyznę trzeba uratować przed nim samym.

– Można wiedzieć, co ci się stało? Skąd ta smutna mina? – pytam w końcu, gdy już idziemy w kierunku domu, po oddaniu auta do wypożyczalni.

On wzdycha głęboko i nagle przystaje, zmuszając mnie, bym zrobiła to samo. Jesteśmy o dwa kroki od mojego domu, dokładnie w tym samym miejscu, w którym zatrzymaliśmy się parę miesięcy temu, po tym gdy musiał, albo chciał, nieść mnie na plecach z powodu *acqua alta*.

– Widzimy się po raz ostatni, Eleno.

---

Mówi to, patrząc mi prosto w oczy. To proste stwierdzenie, które nie dopuszcza dyskusji.

Czuję, jak krew w żyłach zmienia mi się w lód, a potem rozpada na cząsteczki.

– Dlaczego? Nie rozumiem – bełkoczę zdezorientowana.

– Odsuwanie w czasie tej chwili nie ma sensu. Zdałem sobie z tego sprawę już jakiś czas temu, ale jak idiota chciałem wciąż czekać, łudząc się, że... Zawarliśmy umowę i wydaje mi się, że teraz dobiegła końca.

– Co? – jestem w stanie absolutnego szoku, a z piersi dobywa mi się gorzka skarga. – Dlaczego nagle mówisz o umowie?

– Ponieważ to, co zostało powiedziane na początku, wciąż moim zdaniem obowiązuje. Zaprowadziłem cię dotąd, a teraz nasza podróż dobiegła końca.

Jest niewzruszony. Nie mam najmniejszej nadziei, że skłonię go do zmiany zdania.

---

– Ale dlaczego nie możemy zostawić wszystkiego po staremu? – nalegam. – Nie możemy wciąż się spotykać jak dotąd?

Kręci głową.

– Daliśmy sobie już to, co było do ofiarowania, Eleno, i było wspaniale. Ale teraz trzeba się rozstać, zanim przyjemność przekształci się w przyzwyczajenie albo potrzebę.

Gdy mówi te słowa, na czole rysuje mu się głęboka zmarszczka. Sprawia wrażenie, jakby walczył z samym sobą.

To nie może być prawda, niemożliwe, że po dniu takim jak ten, najpiękniejszym, jaki razem spędziliśmy, Leonardo postanowił mnie porzucić. Ale być może właśnie taki jest powód, być może to uczucia, których dzisiaj doświadczył, go przeraziły.

– O co chodzi? Boisz się, że się w tobie zakocham? A może przeciwnie? – krzyczę ze złością.

Straciłam nad sobą kontrolę. Powiedziałam to bardziej jako prowokację niż wyraz rzeczywistego

---

przekonania, ale mam nadzieję, że trafiłam w czuły punkt. Leonardo jest skonsternowany – być może nie spodziewał się z mojej strony takiej odwagi.

Szuka schronienia za sarkastycznym uśmiechem.

– Jak mogę bać się myśli, która nawet nigdy nie przeszła mi przez głowę?

Bardziej niż jego słowa bolą mnie nagła obojętność i chłód.

– Eleno, między nami był seks, była lekkość i wspólny cel. Miłość – nigdy.

– Zazdroszczę ci, wiesz? – przerywam mu gorzkim tonem. – Także chciałabym mieć pewność, wiedzieć dokładnie, czym miłość jest, a czym nie, tak jak ty.

Oprócz tego chciałabym być twarda i nie płakać, ale widocznie oczy już mi się szklą, bo Leonardo nie jest w stanie patrzeć mi w twarz.

– Proszę cię, nie komplikuj tego – przełyka ślinę i przyciąga mnie do siebie.

---

Obejmuje mnie mocno, jakby chciał uchronić mnie przed bólem, który sam mi zadaje. Ciepło jego ciała jest tak rozkosznie znajome, że nie mogę znieść myśli o rozłące.

– Gdybym z tobą został, sprawiłbym ci jeszcze więcej bólu. A uwierz mi, to ostatnia rzecz, jakiej bym chciał – szepcze mi cicho.

Potem odsuwa mnie od siebie i ociera mi łzę z policzka.

– Z początku, gdy cię poznałem, byłem przekonany, że jesteś dla mnie wyzwaniem, rodzajem gry. Myślałem, że jesteś dziewczynką, którą mogę szokować i prowokować, ale odkryłem coś znacznie więcej. Widziałem, jak się rozwijasz, rozkwitasz na moich oczach. Jesteś wspaniałą kobietą, Eleno, jesteś wolna i silna, nie potrzebujesz mnie.

– Ale ja cię wciąż pragnę – mówię z rozdzierającą świadomością, że już go straciłam.

Leonardo na moment zamyka oczy. Widzę, jak po jego twarzy przemykają niezliczone emocje.

---

Gdy podnosi powieki, ma nieobecne, zagubione w pustce spojrzenie.

– Wybacz mi, Eleno, muszę już iść – mówi, jakby się spieszył.

Całuje mnie w czoło i wypowiada to słowo, którego nigdy nie chciałam usłyszeć:

– Żegnaj.

Wyplątuje się z uścisku moich ramion, zabierając ze sobą część mnie. A ja pozostaję tam jak po amputacji, z boleśnie pustymi ramionami i oczami, które nabrzmiewają płaczem. Zza łez widzę jedynie jego plecy, coraz bardziej odległe. Tę część jego ciała zobaczyłam jako pierwszą i tę widzę na koniec.



Dzisiaj płakałam bez przerwy przez dwie godziny. Wielkimi, bolesnymi łzami, z którymi nawet nie próbowałam walczyć. Kolejny dzień cierpienia, przypominający wszystkie minione. Od czterech dni siedzę zabarykadowana w domu, z węzłem, który uciska mi klatkę piersiową i sprawia, że targają mną duszące mdłości. Wciąż myślę o nim. Czasem sobie przypomnę, żeby coś zjeść, ale jestem w stanie jedynie wziąć parę kęsów, tyle by nie umrzeć z głodu. Żołądek mam ściśnięty, ciało słabe, w głowie sieczkę, a w sercu kipiącą złość. Nienawidzę Leonarda za to, że porzucił mnie w ten sposób. Nienawidzę siebie samej za to, że łudziłam się nadzieją, że to może skończyć się inaczej. Czy można być jeszcze głupszym? Nic nie dało powtarzanie sobie wciąż na nowo, by się nie zakochać, w końcu i tak wpadłam w pułapkę uczuć. A czego innego mogłam się po sobie spodziewać? Że

---

naprawdę się zmieniałam, że stałam się silna, niezależna i odważna? Nie udało mi się zostać wycieczniczką. Wszystko to była jedynie piękna iluzja. A teraz czuję się tak źle, tak źle, że na nic nie mam siły, a czuję tylko ból.

Nie odbieram telefonu. Gaia dzwoniła do mnie wielokrotnie w ciągu ostatnich dni, ale nie odebrałam ani razu. Nie odzywam się nawet do mojej mamy, która pewnie zastanawia się już, czy nie zadzwonić do programu „Ktokolwiek widział, ktokolwiek wie”. Chcę być sama, pławić się w samotności i smutku. Chwilami jestem tak wyczerpana, że z trudem się poruszam, i samo wstanie z łóżka i powleczenie się na kanapę wydaje mi się przedsięwzięciem ponad siły. W innych momentach z kolei jestem tak wściekła, że chciałabym rozwalić wszystko, co mi się nawinie pod rękę. Niedawno porwałam na strzępy paczkę ciasteczek, uderzając ją pięściami. Potem wyrzuciłam całość przez okno. Nie sądziłam, że rozłąka z Leonardem doprowadzi mnie do takiego stanu

---

i boję się myśleć, ile czasu zajmie, zanim się pozbieram.

Rozglądam się wokół. W moim mieszkaniu jeszcze nigdy nie panował taki chaos: brudne talerze, ubrania rzucone byle jak na niepościelone łóżko oraz podłoga pokryta warstwą kurzu, okruszków. To łóżko wciąż jeszcze pachnie nim, nami. W pościeli można odszukać zamazany odcisk naszych ciał. Chcę znów w nim być, by czuć, że jestem blisko Leonarda.

Ściągam wełniane kaptcie i wchodzę pod kołdrę. Mam na sobie flanelową koszulę w misie polarne. A jest trzecia po południu. Zsuwam się na sam środek materaca, podkurczając nogi, i pozwalam, by moje zmysły napełniały się nim. Widzę jego twarz, wdycham jego zapach, czuję na sobie jego dłonie i jego usta. To takie bolesne. Nie mogę się tego wyrzec, ale jednocześnie chciałabym, żeby wszystkie wspomnienia natychmiast zniknęły z mojej pamięci.

---

Na zewnątrz dmie przerażający sirocco. Wprawia w drżenie szyby i przelatuje przez szczeliny okiennic, wywołując niepokojące dźwięki. Ogarnia mnie nagły lęk. Pojawiają się na nowo wszystkie dawne obawy, tak trudne do pokonania – obawa, że nie stanę na wysokości zadania, że nie będę dość dobra, że nie będę kochana.

Obawa, że zostanę sama.

W jego ramionach wszystko było cudowne. Byłam szczęśliwa, śmiałam się cały czas, a teraz jestem w stanie jedynie płakać.

W przypływie irracjonalności przychodzą mi do głowy myśli z rodzaju tych, do których większość osób się nie przyznaje, na przykład by połknąć garść pastylek, popić wódką i rzucić się z dwunastego piętra. Tylko czy w Wenecji są tak wysokie budynki? Nie wydaje mi się...

Głuptas ze mnie, ale przynajmniej w całym tym cierpieniu znajduje się jeszcze miejsce na uśmiech.

---

Czy byłoby wielkim błędem wysłanie mu wiadomości z informacją, że mi go brakuje i chciałabym, żeby do mnie wrócił?

Tak, to byłby błąd, wiem o tym. Ale w gruncie rzeczy nie mam już nic do stracenia... Chwytam iPhone'a leżącego na stoliku nocnym i zaczynam drżącymi palcami i z bijącym sercem wpisywać na klawiaturze jego imię. Nagle, zanim jeszcze zdążyłam wpisać pierwszą linijkę tekstu, telefon się blokuje, a wyświetlacz robi się cały czarny. Na chwilę wpadam w panikę, wyłączam go i włączam na nowo, obawiając się już, że straciłam wszystkie dane. Uspakajam się dopiero wtedy, gdy powoli wyświetlają się ikony.

To był znak, jestem pewna. Wszechświat wysłała mi wiadomość i, niezbyt oryginalnie, postanowił zrobić to przez iPhone'a. Nie powinnam już kontaktować się z Leonardem, muszę o nim zapomnieć! To dupek, egocentryk, egoista, tchórz. Zapamiętaj to sobie dobrze, Eleno. Chcesz dalej cierpieć? Nie, nie chcę.

---

Zebrawszy całą swoją odwagę, kasuję jego numer z listy kontaktów. Czuję się z tym okropnie, ale to jedyny sposób, by nie ulec pokusie po raz kolejny. Od tej pory Leonardo definitywnie opuszcza moje życie. Dotknęłam dna, ale widocznie należę do osób, które muszą się sparzyć, aby przejrzeć na oczy i zrozumieć. Oto czemu służy cały ten ból – abym rzeczywiście otworzyła oczy. Leonardo to był błąd, szkoda, niebezpieczeństwo, na które nigdy nie powinnam się była narażać, skok bez zabezpieczenia, który skończył się katastrofą.

A teraz nadeszła chwila, by powiedzieć „basta”.

Myślę o wszystkich osobach, które w tym momencie cierpią z miłości, w Wenecji i na całym świecie, i czuję się mniej samotna. Powtarzam sobie, że jakoś dam sobie radę, że to nie może być tak trudne, jak się zdaje. Już nie płaczę i skupiam się na oddechu, czego nauczyłam się na zajęciach pilatesu. Wdech i wydech. Powoli.

---

Co teraz pocznę?

Podczas gdy staram się ułożyć sobie w głowie wszystkie poplątane myśli, słyszę dzwonek do drzwi. To na pewno Gaia, rozpoznaję ją po nieustępliwym sposobie, w jaki wciska przycisk. Nie mam najmniejszego zamiaru wstawać z łóżka, żeby jej otworzyć. Nie chcę, żeby zobaczyła mnie w tym stanie, nie dałabym rady stawić czoła jej pytaniom.

Leżę w milczeniu i bez ruchu. Dzwonek ucichł. Być może Gaia uznała, że w domu nikogo nie ma, i się poddała. Ale to do niej niepodobne, i rzeczywiście po kilku chwilach dzwonek znów się rozlega, i to jeszcze bardziej natrętny. Potem znowu zapada cisza.

– Elena! – jej głos rezonuje mi w głowie jak w pustym pokoju. – Eleno, otwórz, zaczynam się martwić!

Wlokę się leniwie w okolice drzwi i stoję tam w milczeniu.

---

– Wiem, że tam jesteś! Jeśli mi nie otworzysz, zadzwonię po strażaków i każę wywalić te pieprzone drzwi! – wrzeszczy, uderzając pięściami, jakby naprawdę chciała je wyważyć.

Wreszcie otwieram i ją wpuszczam.

Na mój widok aż przeciera oczy ze zdumienia.

– Można wiedzieć, co ci się stało? – pyta.

Nie czekając na odpowiedź, obejmuje mnie i całuje w policzek.

Ciepło tego uścisku sprawia, że serce otwiera mi się na oścież. Pod jego wpływem topię się i poddaję. Jak mogłam sądzić, że się bez niej obędę? Gaia jest jedyną osobą, której mogę powierzyć resztki mojej osoby.

Opowiadam jej wszystko. Odważnie, szczerze i bez wstydu. Kropla po kropli przelewam na nią całą gorzką prawdę o Leonardzie. Pierwszy raz w pałacu, diaboliczny pakt, próby, seks, mój opór, moje zagubienie. Ona słucha w milczeniu, siedząc naprzeciw mnie na kanapie. Oczy ma wlepione



---

w moje i co jakiś czas kręci głową z niedowierzaniem.

Pod koniec opowiadania jest wstrząśnięta i wzruszona, po policzku zaraz stoczy jej się łza. Brakuje jej słów – a to u niej rzadki stan. Milczy, ale obejmuje mnie mocno, a ten uścisk mówi wszystko. Zanurzam się w nim jak w ciepłym basenie, gdzie wszędzie można dotknąć dna i nigdy się nie utonie. Całą sobą czuję prawdziwą troskę. Przez tych kilka chwil, kiedy Gaia trzyma mnie w objęciach, policzek przy policzku, ogarnia mnie spokój, który przyjmuję niemal z trudem. Teraz naprawdę nie jestem już sama.

– Czemu nie powiedziałaś mi wcześniej? – pyta z niedowierzaniem, odsuwając mi z czoła kosmyk włosów.

– Bo się bałam, że będziesz mnie osądzać.

– Ja?! – wykrzykuje. – Ele, naprawdę sądzisz, że mogłabym cię osądzić?

Spuszczam wzrok, a potem znów go podnoszę.

– Wstydziałam się.

---

Teraz naprawdę się wstydzę, że ją okłamałam, ale w jej zielonych oczach widać tylko przebaczenie.

– Hej – szepcze, głaszcząc mnie po ramionach.  
– Przecież wiesz, że ja będę zawsze przy tobie, cokolwiek się wydarzy.

– Wiem.

I przyjemnie to usłyszeć.

– A teraz? Co zamierzasz zrobić w sprawie Leonarda? – pyta z delikatnością, jakiej jeszcze nigdy u niej nie widziałam.

– Zapomnieć go, zostawić za sobą. Okropnie cierpię, ale jestem też strasznie wściekła.

Gaia ujmuje moje dłonie między swoje i to dodaje mi odwagi do wyrażenia swoich myśli.

– Najbardziej wściekła jestem zaś na samą siebie. To ja zakochałam się jak głupia – pomstuję.

– On wielokrotnie mnie ostrzegał. Wydawało mi się, że mogę grać w tę grę, a tymczasem... Boże, ile nerwów! – słowa więzną mi w gardle.

Gaia potrząsa głową.

---

– Gdybyś powiedziała mi wcześniej, może jakoś bym ci pomogła. Tymczasem wszystko dusiłaś w sobie... a ja się nie zorientowałam!

Moja przyjaciółka wyrzuca sobie, że ja z rozmysłem o niczym jej nie powiedziałam.

– To moja wina... Popełniłam wszystkie możliwe błędy, przez Leonarda okłamałam osoby, na których najbardziej mi zależy. To okropne, wiem. Tak mi przykro.

– Nie! Przestań mówić o jakiegokolwiek winie. Skończyło się fatalnie, ale nie ma sensu teraz robić sobie wyrzutów.

– O rety, Gaia...

Przyciskam podbródek do piersi, załamana. Na chwilę zamykam oczy, a gdy podnoszę powieki, tryska spod nich nowy potok łez.

– Hej, nie płacz już. Nie zrobiłaś nic złego, słuchałaś tylko swojego serca.

Gaia pochyła się ku mnie i pociąga mnie za policzki, tak by powstał uśmiech.

---

– Powiedz chociaż, że przez jakiś czas dobrze się bawiłaś – prowokuje mnie porozumiewawczym tonem.

Teraz uśmiecham się naprawdę, osuszając łzy.

– Ale co u ciebie? – pytam, wygrzebując się z moich ciemnych myśli. – Wciąż mówimy tylko o mnie...

Gaia wzdycha ciężko.

– U mnie też zmiany. Chciałam z tobą rozmawiać również z tego powodu.

– Zmiany na dobre czy na złe?

– Sama nie wiem – mówi, wtulając głowę w ramiona.

– To znaczy?

– Zerwałam z Jacopem – nagle ciemniej na twarzy.

– Nie!

Jest mi naprawdę przykro. Trzymałam kciuki za ich związek.

– Co się stało?

---

– Zaproponował mi, żebyśmy razem zamieszkali – tłumaczy cichym, bezbarwnym głosem.  
– W obliczu takiego zobowiązania zrozumiałam, że nie mogę okłamywać jego ani samej siebie.

Na ogół tak impulsywna i niefrasobliwa, teraz zdaje się zrównoważona i bardziej świadoma.

– Belotti ma z tym coś wspólnego? – pytam pewna, że odpowiedź jest twierdząca.

– Ele, próbowałam o nim zapomnieć, ale mi się nie udało – mówi ze szklistymi oczami. – Jacopo traktował mnie wspaniale, poświęcał mi uwagę i obsypywał prezentami, ale to nie wystarczyło. Wciąż myślałam o tamtym draniu.

– Spotkaliście się?

– Rozmawialiśmy przez telefon – odpowiada niemal z rezygnacją. – Trenuje jak szalony. To dla niego bardzo ważny rok, musi się podnieść po porażkach z poprzednich miesięcy.

– A więc?

– To bez znaczenia – mówi ze smutną miną. – Choć on jest daleko, choć prawdopodobnie

---

zobaczę go dopiero, gdy sezon dobiegnie końca... będę na niego czekać. Co innego mogę zrobić?

Przytakuję, dając wyraz mojej bliskości i zrozumieniu.

– Być może popełniłam wielki błąd, którego jeszcze będę gorzko żałować – wzdycha Gaia. – Jacopo bardzo to przeżył. Naprawdę się zakochał, wiesz?

– Wiem. Kibicowałam mu. Zawsze chciałam mieć przyjaciółkę hrabinę... – staram się ją rozweselić.

Na jej ustach pojawia się uśmiech, ale ona zaraz go przepędza.

– Tymczasem masz przyjaciółkę idiotkę.

– No, tośmy się dobrały.

Po wyjściu Gai góra myśli, która mnie przygniatała, pomału się roztopiła, zupełnie jakby gład, który ciążył mi w brzuchu, nagle wytoczył się poza moje ciało, pozostawiając uczucie oswobodzenia i lekkości. Rozmowa z nią dobrze mi zrobiła,

---

a fakt, że opowiedziałam jej całą prawdę, pomógł mi spojrzeć na sprawy z innej perspektywy, z większym dystansem.

Byłam szczęśliwa, teraz nie jestem, ale w przyszłości znowu mogę być. Muszę zdystansować się wobec mojego bólu, uznać Leonarda za epizod z mojego życia, piękny, ale skończony. Oczekuje mnie przyszłość. Gdybym tylko wiedziała, w którą stronę iść... Mogłabym na przykład zaangażować się bez reszty w pracę, przyjmując zlecenie w Padwie, o ile sprawa wciąż jest aktualna. Chcę być silna i racjonalna. Mam prawie trzydzieści lat i chcę kierować moim życiem, skupiając się na sprawach, które są dla mnie ważne, odnaleźć moje miejsce na świecie. Nie ma już Eleny, która bawiła się w ramionach Leonarda, która ufnie czekała na każdy jego gest i każde słowo, która była gotowa zrobić wszystko, o co on ją poprosi. Ta kobieta to nie byłam ja. To była kobieta, której on pragnął. Teraz muszę wrócić do

---

bycia samą sobą, ale bez Leonarda – Eleną, która należy jedynie do Eleny.

Biorę głęboki oddech. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić. Ale trzeba zacząć od małych rzeczy. Idę do sypialni zaścielić łóżko. Układam na nim nową pościel, a brudną wrzucam do kosza na bieliznę, by pozbyć się jego zapachu i jego obrazu przed oczami. Potem otwieram okna i wypuszczam stojące w pokoju stęchłe powietrze. Potrzebuję powiewu wiatru, który wymiecie wspomnienia. Gdy wykonuję te zadania, przychodzi mi do głowy pewna myśl. A jeśli emocje, których doświadczałam przy Leonardzie, nie były wcale miłością, tylko czymś w rodzaju fascynacji owocem zakazanym, przyjemnością związaną z łamaniem reguł? Ta myśl jest bolesna. Nawet bardzo. Ale może to prawda?

Basta, nie chcę o tym myśleć.



---

Choć może zdegradowanie naszej relacji do historii ukrytego pragnienia transgresji pomogłoby mi wszystko na nowo zdefiniować...

Przechodzę do salonu i wyciągam z biblioteczki przepiękny album z pracami Michała Anioła z Kaplicy Sykstyńskiej. Patrzenie na dzieła sztuki wielkich mistrzów zawsze pomagało mi się zrelaksować. Kładę się na kanapie, opierając głowę na poduszce, i zaczynam przeglądać książkę, zatrzymując się przy szczegółach, które przykuwają moją uwagę.

Gdy docieram mniej więcej do środka, spomiędzy kartek wysuwa się kawałek papieru i spada mi na klatkę piersiową. Patrząc na niego – to mój portret, który Filippo naszkicował w wieczór przed swoim wyjazdem. Wsunęłam go tu, by się nie pogniótł, prawie już o nim zapomniałam, a znalezienie go sprawia, że ściska mi się serce.

*Jesteś przepiękna... Spałaś tak słodko tej nocy...*

---

Nagle ogarnia mnie za nim ogromna tęsknota. Dlaczego nie zrozumiałam od razu, że to tobie powinnam pozwolić się kochać, Fil? To przy tobie czułam się naprawdę pewnie, ty akceptowałeś mnie taką, jaka jestem, z wszystkimi moimi ograniczeniami i wadami, nie żądając zmian. A ja nie zrobiłam nic, by chronić to czyste i szczere uczucie, które nas łączyło, nie potrafiłam o nie zadbać, zniszczyłam je, uganiając się za głupimi złudzeniami. Dopiero teraz zdaję sobie sprawę, co straciłam.

Z oka spływa mi powolutku łza, potem kolejna, i jeszcze jedna. Pozwalam sobie na oczyszczający płacz, który nie wynika z bólu ani ze złości, płacz zarezerwowany dla osób, z którymi łączy nas coś, co wykracza poza serce, ciało i umysł. Te łzy zmywają wszystkie uczucia, których doświadczyłam w ciągu ostatnich miesięcy, i całkiem mnie wyczerpują. Ale teraz jest we mnie nowa determinacja, nowa siła. Jestem gotowa, by się odrodzić,

---

a w pierwszej kolejności muszę prosić  
o wybaczenie tego, kto padł ofiarą moich błędów.

Przez okno pociągu przyglądam się krajobrazowi, siedząc wygodnie, z dłońmi złożonymi na kolanach. Wzgórza Toskanii zawsze wprawiały mnie w stan głębokiego spokoju. Widziane z pędzącego wagonu zdają się niemal biec, podążając za mną, ze swoimi zwałami czerwonej ziemi. Pozostaję bez ruchu, uciszam myśli i skupiam się na tym, co dzieje się wokół mnie. Hałas wydawany przez koła, nakładające się na siebie głosy, rozbrzmiewające dźwięki komórek, drzwi, które otwierają się i zamykają. Tunele, ciemność, potem słońce, potem znowu ciemność i znów słońce.

Zaczynam na nowo stąd, z pociągu jadącego do Rzymu. Za niespełna dwie godziny będę w stolicy, u Filippa. To ryzykowny ruch, nie w moim stylu, ale po długich przemyśleniach doszłam do wniosku, że to najlepsze, co mogę zrobić. Nie wiozę ze sobą żadnych nadziei, a tylko

---

zamiar poproszenia o wybaczenie, choć nie oczekuję, że je otrzymam. Być może Filippo wcale nie ucieszy się na mój widok, być może nie uda mi się opłynąć rafy naszej ostatniej kłótni, tak by wrócić do miejsca, w którym się rozstaliśmy. Ale chciałabym przynajmniej z nim porozmawiać, powiedzieć mu, że mi przykro i że zrozumiałam swój błąd. Mogłabym do niego napisać albo zadzwonić, ale pomyślałam, że ta podróż będzie czymś w rodzaju małej drogi pokutnej. Zarezerwowałam pokój w małym hoteliku przy Porta San Giovanni. W najgorszym razie to będą krótkie wakacje.

Na dworzec Termini docieram o trzeciej po południu. Wita mnie jasne słońce, które zalewa mi twarz światłem, ściągam więc szybko kurtkę. Powietrze w Rzymie jest letnie, rozgrzewa serce nowością. Ciągnąc za sobą swoją małą walizeczkę, opuszczam dworzec i wsiadam do pierwszej wolnej taksówki.

– Viale della Musica – podaję adres kierowcy.

---

Jadę na plac budowy. Gdy ostatnio rozmawialiśmy, Filippo podał mi adres swojego miejsca pracy. Mam wrażenie, że od czasu tej rozmowy minęło ze sto lat i nie jestem wcale pewna, czy go tam odnajdę. Ale chcę spróbować, bo to jedyny punkt zaczepienia, jaki uzyskałam w czasie naszych połączeń na Skypie.

Taksówkarz przebija się przez zakorkowane i hałaśliwe miasto, aż wreszcie otwiera się przed nami widok na dzielnicę EUR z całą jej surową potęgą.

Wysiadam z auta i przechodzę pieszo kilka metrów, nie wiedząc zbyt dobrze, dokąd iść. W oddali dostrzegam ogromną konstrukcję ze szkła i cementu, otoczoną żurawiami i rusztowaniami. Ruszam w tę stronę. Gdy jestem na samym dole, podnoszę wzrok. Budynek nie jest jeszcze skończony, ale już przebija z niego harmonia i wyszukane piękno zmierzające wprost ku przyszłości.

---

Niepewnym krokiem wchodzę na plac budowy, w jednej dłoni trzymając iPhone'a, a drugą ciągnąc za sobą walizkę. Rozglądam się wokół nieco niepewnie, jakiś robotnik przygląda mi się ciekawie, ale nikt mnie nie zatrzymuje. Powoduje mną jedna ogromna nadzieja. Odnaleźć go.

I oto jest, rozpoznaję go z daleka, jest odwrócony tyłem i ma na głowie kask. Jestem pewna, że to on. Tylko Filippo potrafi gestykulować w tak zabawny sposób. Rozmawia z grupką robotników, palcem wskazuje na część budowy, zdaje się pewien swoich ruchów i słów. Moje serce bije w przyspieszonym rytmie, aż do przegrzania. Ale nie muszę się bać – teraz już wiem, co jest na końcu i na początku podróży. Jest życie, jest miłość, jest krótki moment i cudowna pewność, że się nie wie.

Gdy robotnicy się rozchodzą, dzwonię do niego na komórkę. Filippo sięga do kieszeni płaszcza Burberry, szukając swojego iPhone'a. Widzę, że przez chwilę się waha. Potrząsa głową,

---

unoszą brwi, przybiera dziwny wyraz twarzy. Czyżby był zaskoczony? Teraz naprawdę zaczynam się bać. Sprawia wrażenie, jakby nie miał zamiaru odbierać, jakby naprawdę ze mną skończył.

Przez chwilę proszę w myślach, by odebrał, i w tej chwili jego głos przenika do mojego ucha jak letni wiatr.

– Słucham?

Mówię tylko:

– Odwróć się.

Wykonuje moje polecenie i nasze spojrzenia się krzyżują. Otwiera szeroko oczy, staje jak wryty, potem ściąga kask, odkłada go na jakiś murek i powoli rusza w moją stronę. W gardle mam węzeł, kolana się pode mną uginają, ale przygotowuję się, by stawić mu czoło.

Zatrzymuje się pół metra ode mnie i mierzy mnie twardym, nieprzenikniętym spojrzeniem.

– Co ty tu robisz?



---

– Przyjechałam cię przeprosić – mówię jednym tchem. – Popełniłam błąd, Fil, chciałam ci to powiedzieć.

– Ty całkiem zgłupiałaś... – mówi z niedowierzaniem.

– Tak, ale jeszcze głupsza byłam, gdy powiedziałam ci te wszystkie rzeczy, a potem pozwoliłam ci odejść. Wiem, że nie da się nic poradzić, teraz, gdy wszystko zepsułam, ale przynajmniej mogę cię przeprosić. Przepraszam cię z całego serca. Które należy też trochę do ciebie...

Gdy tak mówię, prawie bez tchu, jego spojrzenie łagodnieje, a usta układają się w przepiękny uśmiech.

– Chodź tu, Bibi – mówi, przyciągając mnie ku sobie.

Boże, jak mi brakowało tego uścisku i tego dobrego ciepła! Przy nim wreszcie się rozluźniam, po raz pierwszy od dawna czując się bezpiecznie. Teraz przeszłość wydaje mi się jedynie

---

złudzeniem, o którym można zapomnieć, a przyszłość pudełkiem pełnym niespodzianek.

Patrzę na niego. On patrzy na mnie. Potem przyciska policzek do mojego. Czuję, jak tuż przy moim sercu bije szybko jego serce. Czuję jego rękę. Czuję, jak jego usta poruszają się powoli i leciutko osuwają się na moje usta. Filippo wciąż mnie pragnie, a ja pragnę jego.

Cała reszta jest bez znaczenia.

# DZIĘKUJĘ

Celestinie, mojej matce.

Carlowi, mojemu ojcu.

Manuelowi, mojemu bratu.

Caterinie, Michele, Stefanowi – latarniom we dnie i w nocy.

Silvii, nieocenionej przewodniczce.

Wydawnictwu Rizzoli, od parteru aż do ostatniego piętra.

Laurze i Ałowi, za ich obecność.

Wszystkim przyjaciołom, bezwarunkowo.

Diane i Anniemarii – ciociom całym sercem i duszą.

Filippowi P. i pociągowi powrotów.

Godzinie szesnastej dziesięć czternastego września roku 2012.

Wenecji.

Przeznaczeniu.

Ona nigdy nie kochała naprawdę.  
On poznał jedynie ciemną stronę miłości.  
Przeżyją wstrząsającą podróż w poszukiwaniu  
rozkoszy.  
Historia Eleny i Leonarda znajdzie dalszy ciąg  
w książce



tom II

---

Po rozłące z Leonardem Elena przeprowadziła się do Rzymu, by rozpocząć wraz z Filippem nowy rozdział swojego życia. Zostaje jej powierzone prestiżowe zlecenie konserwatorskie w kościele San Luigi dei Francesi i zdaje się, że odnalazła szczęście. Lecz przeznaczenie sprawia, że na jej drodze znów stanie mężczyzna, który na zawsze wstrząsnął jej światem. Leonardo wciąż jej pragnie, tak jak wcześniej lub jeszcze mocniej. Ich miłość jest jednak niemożliwa, gdyż wisi nad nią głęboko skrywany sekret, który sprawi, że znów będą musieli się rozstać.

Ona nigdy nie kochała naprawdę.  
On poznał jedynie ciemną stronę miłości.  
Przeżyją wstrząsającą podróż w poszukiwaniu  
rozkoszy.  
Ostatni tom trylogii



tom III

---

Elena straciła wszystko. Jej życie jest obecnie równią pochyłą. Pewnego dnia, gdy wychodzi z kawiarni, odbywa nieprzyjemną dla niej rozmowę i roztrzęsiona wpada pod samochód. Budzi się w szpitalu, gdzie czuwa przy niej Leonardo. Postanowił uleczyć ból za pomocą namiętności. Lecz przeszłość jest demonem, którego Leonardo wciąż nie zdołał pokonać.

- 
- 1 Jedna z sześciu historycznych dzielnic Wenecji, położona najbardziej na północ [wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczy].
  - 2 Zattere, właśc. Fondamenta delle Zattere to promenada na południowym krańcu Wenecji, biegnąca wzdłuż kanału Giudecca.
  - 3 Jedna z sześciu dzielnic (wł. *sestiere*) Wenecji, położona w sercu miasta i obejmująca m.in. plac św. Marka.
  - 4 Grupa wysp położona na południe od ścisłego centrum Wenecji oddzielona od niego kanałem Giudecca.
  - 5 Termin używany w Wenecji do określenia wyjątkowo dużego przypływu, który często zalewa ulice i place miasta.
  - 6 Santa Maria Gloriosa dei Frari – gotycki kościół z XIV wieku, znajdujący się w dzielnicy San Polo.
  - 7 Jedna z sześciu dzielnic Wenecji.
  - 8 Trójkątny cypel, przy którym Canal Grande i Canale della Giudecca łączą się z Zatoką Świętego Marka.
  - 9 Bolgheri Sassicaia – tokańskie czerwone wino, jedno z najdroższych we Włoszech.



- 
- [10](#) Ta wyspa weneckiej laguny znana jest jako siedziba Uniwersytetu Międzynarodowego, a także miejsce licznych wystaw i działań artystycznych.
- [11](#) Caffè Florian, założona w 1720 roku, jest najprawdopodobniej najstarszą działającą kawiarnią. Bywały w niej takie osobistości jak Carlo Goldoni, Goethe, Casanova, Lord Byron, Marcel Proust czy Karol Dickens. Słynie z muzyki na żywo i horrendalnych cen.
- [12](#) Bresaola – pochodząca z Lombardii wędlina z mięsa wołowego, przygotowywana poprzez suszenie na wolnym powietrzu, solenie i starzenie przez dwa lub trzy miesiące, aż nabierze ciemnej, purpurowej barwy.
- [13](#) Kościół San Nicolò dei Mendicoli w dzielnicy Dorsoduro, na obrzeżach historycznego centrum Wenecji.
- [14](#) Flavio Briatore – włoski przedsiębiorca i były dyrektor zespołów Benetton i Renault w Formule 1. Znany także ze związków z o wiele od niego młodszymi modelkami, m.in. Heidi Klum, z którą ma córkę.
- [15](#) Babka tradycyjnie spożywana we Włoszech w Boże Narodzenie.

- 
- [16](#) Ogrody, stworzone przez Napoleona Bonapartego, dziś są jedną z głównych scen Weneckiego Biennale – w pawilonach narodowych oraz w otwartej przestrzeni eksponowane są rzeźby i inne dzieła sztuki.
- [17](#) Popularny w Wenecji koktajl z prosecco i brzoskwiniowego nektaru lub musu.
- [18](#) Katullus, *Pieśń LXXXV*, tłum. J. Ciechanowicz.
- [19](#) W kaplicy Scrovegnich w Padwie znajduje się cykl fresków Giotto przedstawiających życie Chrystusa i Matki Boskiej. Jest to jedno z najświetniejszych i najcenniejszych dzieł włoskiej sztuki.
- [20](#) Tramezzino – trójkątna kanapka, w Wenecji podawana z wyjątkowo dużą ilością nadzienia, często jako dodatek do aperitif.
- [21](#) Assabinidica – sycylijskie przywitanie.
- [22](#) Frittella to rozpowszechniony w całych Włoszech, ale szczególnie w Wenecji i Veneto, smażony przysmak przypominający pączka.
- [23](#) Cartizze – odmiana prosecco uważana za najlepszą.
-

